

AGATHA CHRISTIE

SAMOTNY DOM

TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO: "PERIL AT END HOUSE"
PRZEŁOŻYŁA MIRA MICHAŁOWSKA

I. HOTEL MAJESTIC

Nie ma chyba na południu Anglii miejscowości bardziej atrakcyjnej od St. Loo. Toteż St. Loo znane jest powszechnie jako Królowa Uzdrowisk i przypomina pod wieloma względami najpiękniejsze zakątki francuskiej Riwiery. Wybrzeże Kornwalii jest bowiem równie piękne jak słynne południe Francji.

Uwagami tymi właśnie podzieliłem się z moim przyjacielem Herkulesem Poirot.

- To samo przeczytałem wczoraj w jadłospisie w wagonie restauracyjnym, mon ami. Twoje uwagi nie są bynajmniej oryginalne.

- Ale chyba się ze mną zgadzasz?

Uśmiechał się do siebie i nie od razu odpowiedział na moje pytanie. Powtórzyłem je więc.

- Wybacz mi, Hastings! Zamyśliłem się. Powędrowałem myślami właśnie ku tej części świata, którą wspomniałeś.

- Przypomniało ci się południe Francji?

- Tak, tak. Myślałem o tym, że spędziłem tam całą ubiegłą zimę, i o przygodach, które tam miałem.

Przypomniałem sobie: morderstwo popełnione w Błękitnym Ekspresie, tajemnicze morderstwo! Zagadka, którą Poirot rozwikłał z właściwą mu wnikliwością i lotnością umysłu.

- Jakże żałuję, że mnie tam z tobą nie było - powiedziałem ze szczerym żalem.

- I ja żałuję - odparł Poirot. - Twoje wielkie doświadczenie bardzo by mi się przydało.

Spojrzałem na niego z ukosa. Znam go od bardzo dawna, wiem, że nie należy jego komplementów przyjmować na serio. Ale wydawał się zupełnie poważny. A zresztą, czemu nie? Rzeczywiście posiadam przecież wieloletnie doświadczenie w tych sprawach!

- Szczególnie brak mi było twojej żywej wyobraźni, Hastings - ciągnął dalej Poirot w zamyśleniu. - Człowiek powinien mieć jakieś odprężenie w trakcie intensywnej pracy. Wiesz, George, mój służący, osobnik wielce utalentowany, z którym często rozmawiam o różnych sprawach, jest zupełnie pozbawiony wyobraźni. Uwaga ta wydała mi się raczej zbędna.

- Powiedz mi - rzekłem - czy nie miewasz ochoty na powrót do swoich dawnych zajęć? To twoje obecne bezczynne życie!...

- Odpowiada mi jak najbardziej, mój drogi. Siedzę sobie i wygrzewam się na słońcu. Czy wyobrażasz sobie bardziej rozkoszny tryb życia? U szczytu sławy zszedłem z piedestału. Czy możesz sobie wyobrazić wspanialszy gest? Mówią o mnie: "Herkules Poirot Wielki!" Wielki! Rozumiesz? Jedyny! Nigdy nie było na świecie takiego człowieka i nigdy takiego już nie będzie! Jestem zadowolony. Rozumiesz? Więcej nie trzeba, jestem człowiekiem skromnym.

Na jego miejscu nie mówiłbym o skromności. Uważam, że egocentryzm mojego przyjaciela bynajmniej nie zmniejsza się z wiekiem. Siedział teraz wygodnie rozłożony w fotelu, gładził swoje wasy i niemal mruczał jak zadowolony z siebie kot.

Siedzieliśmy na jednym z tarasów hotelu Majestic. Jest to największy hotel w St. Loo, otoczony dużym ogrodem, ze wspaniałym widokiem na morze.

Z tarasu widać było starannie utrzymane klomby i piękne palmy, morze było błękitne, niebo czyste, a słońce prażyło, jak tylko potrafi prażyć słońce sierpniowe. Dokoła nas brzęczały pszczoły - jednym słowem, nie można sobie chyba wymarzyć wspanialszego odpoczynku.

Przybyliśmy tu za ledwie poprzedniego wieczora na tygodniowy pobyt. Gdyby tylko pogoda chciała się utrzymać (a w Anglii nigdy nic nie wiadomo!), czekał nas zaiste wspaniały urlop.

Podniosłem z ziemi poranną gazetę, która wysunęła mi się z rąk, i zacząłem przeglądać nowiny dnia. Sytuacja polityczna była jak zwykle nieustabilizowana, jakieś niepokoje w Chinach, na drugiej stronie długi opis jakiegoś wielkiego oszustwa finansowego, ale na ogół z gazety ziała nuda.

- Ta papuzia choroba - odezwałem się - to coś przedziwnego!

- Tak, bardzo dziwna.

- Widzę, że w Leeds umarli na to jeszcze dwie osoby.

- To przykre. Odwróciłem stronę.

- Ani słowa o tym Setonie, który leci dokoła świata. Odważny, nie można powiedzieć. Ten "Albatros" to jego własny wynalazek, siada na wodzie tak samo jak na lądzie. Ciekawe, ciekawe! Mam nadzieję, że się nie rozbił. Widzę, że prasa jeszcze nie traci nadziei. Może wylądował na którejś z tych małych wysepek Pacyfiku?

- O ile się orientuję, to na Wyspach Salomona wciąż jeszcze mieszkają ludożercy?

- zapytał Poirot z figlarnym uśmiechem.

- Ten Seton to musi być wspaniały chłop. Jestem dumny, że jest Anglikiem!

- Musi to być dla ciebie pociecha po wszystkich waszych porażkach na kortach Wimbledonu - odezwał się Poirot.

- Ależ wcale nie to miałem na myśli!

Mój przyjaciel machnął ręką wdzięcznym ruchem.

- Ja - oświadczył - nie jestem stworzeniem amfibijnym jak ten wasz Seton. Jestem natomiast kosmopolitą. Dla Anglików, jak wiesz, mam od dawna dużo podziwu i szacunku. Szanuję na przykład staranność, z jaką czytają gazety...

Uwagę moją zaprzętnęły wiadomości polityczne.

- Widzę, że nasz minister spraw wewnętrznych będzie miał kłopoty - zauważyłem z chichotem.

- O tak, biedaczek. Ma swoje kłopoty, ma. Tak, tak. I to do tego stopnia, że szuka pomocy, gdzie się da.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

Z uśmiechem na ustach Poirot wyciągnął z kieszeni swoją poranną pocztę - plik kopert starannie owiniętych gumową opaską. Wybrał jedną z nich i rzucił w moją stronę. - Masz, przeczytaj!

Czytałem list z uczuciem ciekawości i podniecenia.

- Ależ, Poirot! - krzyknąłem. - To wielki zaszczyt!

- Tak sądzisz, mój drogi?

- Mówi o twoich umiejętnościach w bardzo gorących słowach.

- I ma zupełną rację - powiedział Poirot, skromnie odwracając wzrok.

- Prosi cię, byś zbadał dla niego tę sprawę, traktuje to jako osobistą przysługę. Nadzwyczajne!

- Tak, tak. Nie musisz mi tego wszystkiego powtarzać. Jak się zapewne domyślasz, kochany Hastingsie, list ten już czytałem.

- Co za pech! - wykrzyknąłem. - Cały nasz urlop na nic!

- Ależ skąd, calmez-vous! Nie ma o tym mowy.

- Przecież minister twierdzi, że sprawa jest niezmiernie pilna!

- Być może ma rację. Ci politycy! Łatwo przejmują się byle czym. Sam to widziałem w Paryżu, w Chambre des Deputes.

- Tak, tak, ale słuchaj, Poirot, przecież musimy się zająć naszym wyjazdem.

Ekspres do Londynu już odjechał, o dwunastej. Następny pociąg...

- Uspokój się, mój drogi, uspokój się! Błagam cię! Po co to podniecenie, to zamieszanie? Proszą mnie, abym zajął się tą sprawą jako prywatny detektyw. Już odmówiłem. Nie jedziemy do Londynu ani dziś, ani jutro...

- Ale przecież to jest wezwanie!

- Nie dotyczy mnie. Nie jestem członkiem waszej słynnej policji, Hastings.

Proszą mnie jako prywatnego detektywa, żebym się zajął jakąś ich sprawą.

Odmawiam.

- Odmawiasz?

- Oczywiście. Napisałem niezmiernie uprzejmy list, w którym wyrażam mój żal, moje głębokie ubolewanie, w którym tłumaczę, że jestem niepokieszony... no, ale

cóż? Muszą zrozumieć, że wycofałem się już ze wszystkiego. Jestem na emeryturze, skończyłem się!

- Jeszcze się nie skończyłeś! - wykrzyknąłem. Poirot poklepał mnie po kolanie.

- Oto dobry przyjaciel, wierny przyjaciel! I wiesz co, masz rację. Te nasze szare komórki wciąż jeszcze funkcjonują nie najgorzej. Metoda, porządek w głowie! Wszystko to jest jeszcze w najlepszym porządku. Ale pamiętaj o jednym: przeszedłem na emeryturę i nie zamierzam więcej pracować. Koniec! Nie jestem primadonna, która co sześć miesięcy urządza wielki pożegnalny spektakl. Mówię z całą otwartością: niechaj młodzi pokażą, co potrafią. Schodzę z placu. Być może, nowi ludzie pokażą coś lepszego, kto wie... Mam swoje wątpliwości, no, ale zobaczymy. W każdym razie wystarczą waszemu ministrowi do jego niewątpliwie szalenie nudnych spraw.

- Ależ, Poirot, zobacz, ile ci wypisał komplementów!

- Komplementy! Mnie! Jestem ponad to. Wasz minister spraw wewnętrznych jako człowiek inteligentny rozumie, że jeżeli uda mu się skłonić mnie do zajęcia się tą sprawą, to wszystko oczywiście pójdzie dobrze. Cóż! Twój minister nie ma szczęścia. Herkules Poirot rozwiązał ostatnią zagadkę w życiu i teraz odpoczywa sobie na słoneczku.

Spojrzałem na niego. Byłem zły za jego upór. Czułem, że rozwikłanie sprawy, którą chciał mu powierzyć minister spraw wewnętrznych, dodałoby jeszcze blasku sławie Poirota. Jednakże musiałem podziwiać jego wielką stanowczość.

Nagle uśmiechnąłem się, gdyż uderzyła mnie pewna myśl.

- Dziwię się - powiedziałem - że się nie boisz. Taka stanowcza zapowiedź końca mogłaby stać się pokusą dla bogów.

- Nikt i nic nie zdoła odmienić decyzji raz powziętej przez Herkulesa Poirot - powiedział z namaszczeniem.

- Czy jesteś zupełnie pewny?

- Oczywiście, mon ami, masz trochę racji. Nie powinno się nigdy używać zbyt wielkich słów. Wiem, że gdyby na przykład w tej chwili kula uderzyła w mur, o który opieramy nasze głowy, nie pozostałbym bezczynny, ale zbadałbym sprawę. Ostatecznie człowiek jest tylko człowiekiem! Uśmiechnąłem się. Mały kamyczek właśnie uderzył w mur tarasu, tuż koło nas, i zabawne skojarzenie Poirota pobudziło moją wyobraźnię. Poirot nachylił się, podniósł kamyczek i mówił dalej:

- Tak, tak, człowiek jest tylko człowiekiem! Znasz przysłowie o śpiącym psie? Jest to angielskie przysłowie, które mówi, że nie należy drażnić śpiącego psa. No tak, to wszystko bardzo słuszne, ale jak śpiący pies się obudzi, to jednak zaczyna węszyć, prawda?

- Oczywiście - powiedziałem. - Gdybyś jutro rano znalazł sztylet wbity w poduszkę, na której spałeś, to nie zazdrościsz przestępcy, który odważyłby się na podobną rzecz.

Poirot skinął głową, ale zapewne nie słyszał, co mówiłem.

Ku mojemu zdumieniu zerwał się nagle z fotela i zszedł ze stopni prowadzących z tarasu do ogrodu. W tej samej chwili pojawiła się na ścieżce młoda dziewczyna, która wyraźnie zmierzała w naszą stronę.

Zaledwie zdażyłem spostrzec, że jest bardzo ładna, kiedy uwagę moją zwrócił Poirot, który uczyniwszy kilka kroków, potknął się o jakiś wystający korzeń i ciężko upadł na ziemię. Dziewczyna i ja pomogliśmy mu się podnieść. Byłem cały pochłonięty niefortunnym wypadkiem mojego przyjaciela, jednak zauważyłem, że dziewczyna ma ciemne włosy, duże błękitne oczy i żywą, inteligentną twarz.

- Przepraszam tyśiąckroć - mruzczał Poirot. - Mademoiselle, jest pani niezmiernie dobra i miła. Bardzo przepraszam... Ooo... moja noga! Boli jak diabli! Nie, nie, to nic, to rzeczywiście nic, zaraz przejdzie!... Skręciłem w kostce, to wszystko. Za chwilę przejdzie. Ale gdybyś mógł mi pomóc, Hastings, i wraz z mademoiselle... O tak! Bardzo pani jest miła. Wstyd mi doprawdy...

Wzięliśmy go z dwóch stron pod ręce i zaprowadziliśmy do fotela na tarasie.

Zaproponowałem sprowadzenie lekarza, ale Poirot sprzeciwił się kategorycznie.

- To głupstwo. Skręciła się w kostce, to wszystko. Boli, ale zaraz przejdzie. - Skrzywił się. - Za chwileczkę będzie dobrze. Mademoiselle, nie wiem, jak pani dziękować! Proszę z nami choć na chwileczkę usiąść. Dziewczyna przysunęła sobie krzesło.

- To rzeczywiście pewnie drobiazg - powiedziała - ale byłoby dobrze, gdyby obejrzał pana lekarz.

- Mademoiselle, zapewniam panią, to bagatelka. W pani miłym towarzystwie ból przejdzie w mgnieniu oka.

Dziewczyna roześmiała się.

- To doskonale!

- Może koktajl? - zaproponowałem. - Akurat jest odpowiednia pora.

- Cóż... - zawahała się. - A zresztą, dziękuję bardzo, napiję się.

- Martini?

- Poproszę, ale nie za słodki.

Poszedłem do baru i zamówiłem napoje. Gdy powróciłem, Poirot prowadził z dziewczyną bardzo ożywioną rozmowę.

- Wyobraź sobie, Hastings - powiedział - że ten dom na cyplu, któryśmy tak podziwiali, to dom mademoiselle.

- Rzeczywiście? - odezwałem się, nie mogąc sobie w żaden sposób przypomnieć, kiedyś ten dom podziwiali. Prawdę mówiąc, nie zwróciłem nań wcale uwagi.

- Stoi tak samotnie na samym cyplu! Wygląda rzeczywiście imponująco i trochę tajemniczo.

- Nazywają go Samotnym Domem - powiedziała dziewczyna. - Bardzo się do niego przywiązałam, ale niestety jest zapuszczony i zaczyna się już walić.

- Czyżby pani była ostatnim członkiem starej rodziny? - spytał Poirot.

- O, nasza rodzina nie jest znowu wcale taka stara! Ale od dwustu czy trzystu lat w domu tym mieszkali Buckleyowie. Brat umarł trzy lata temu i rzeczywiście ja jestem ostatnia z rodziny.

- To smutna historia. A czy pani mieszka tu sama?

- O nie! W ogóle rzadko tu bywam. A jak przyjeżdżam, to zawsze przywożę ze sobą wesołą paczkę przyjaciół.

- Tak, tak, to nowoczesny tryb życia. A ja już sobie panią wyobrażałem w ponurym, starym domu, w którym straszą duchy przodków.

- To wspaniałe! Pan ma rzeczywiście bujną wyobraźnię. Nie, nie ma tam żadnych duchów. A jeżeli są, to chyba duchy dobrotliwe i opiekuńcze. W ciągu ostatnich trzech dni trzykrotnie ledwo uniknęłam śmierci. Jak widać dobre duchy opiekują się mną.

Poirot uniósł się w fotelu.

- Trzykrotnie uniknęła pani śmierci? To bardzo ciekawe, mademoiselle!

- Nie, nie ma w tym nic szczególnie sensacyjnego. Po prostu trzy wypadki. - Gwałtownie odwróciła głowę, gdyż osa bzyknęła jej nad uchem. - Do licha z tymi osami. Muszą tu mieć niedaleko gniazdo.

- Pszczoły, osy - nie lubi ich pani, mademoiselle? Czy była pani kiedyś ukąszona przez jedno z tych przyjemnych stworzeń?

- Nie, ale okropnie nie lubię, jak mi bzykają koło nosa.

- Jest jakieś angielskie przysłowie o pszczołach - usiłował sobie przypomnieć Poirot.

W tej samej chwili przyniesiono koktajle. Każde z nas wzięło swój kieliszek i zaczęliśmy rzucać drobne uwagi, jakie robi się przy tych okazjach.

- Czekają na mnie z kotajłami w barze hotelowym - powiedziała dziewczyna. - Pewnie się zastanawiają, co się ze mną stało.

Poirot chrząknął i odstawił swój kieliszek.

- Co bym dał za filiżankę dobrej, mocnej czekolady - mruknął. - Ale w Anglii tego nie uznają. A cóż, i w Anglii jest wiele bardzo przyjemnych obyczajów, no i przedmiotów. Na przykład kapelusze dziewcząt! Są leciutkie, nakładacie i zdejmujecie je bez trudu...

Dziewczyna patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem pana. Dlaczego by miało być inaczej?

- Pani pyta o to, ponieważ jest pani młoda, bardzo młoda, mademoiselle! Za mojej młodości fryzura dziewczyny była wysoka, spiętrzona na czubku głowy, a kapelusz przytwierdzony do niej długimi szpilkami... o tu, tu, tu i tu. Voila!

Wykonał rękami cztery gwałtowne ruchy, mające imitować wbijanie szpilek w kapelusz.

- Ależ to musiało być okropnie niewygodne!

- Jeszcze jak! - zawołał Poirot. Powiedział to z prawdziwym zrozumieniem. - A jak był wiatr, to było okropne! Wszystkie panie dostawały migreny. Panna Buckley jednym ruchem zdjęła z głowy miękki filcowy kapelusz i rzuciła go na sąsiednie krzesło.

- A teraz robimy po prostu tak - roześmiała się.

- To rozumiem. Jest ładne i praktyczne - skłonił się Poirot. Patrzyłem na nią z zainteresowaniem. Jej włosy były ciemne, nieco zmierzwiłone i wyglądała przez to jakoś chłopięco. Miała niewielką, ruchliwą twarz, olbrzymie błękitne oczy i było w niej jeszcze coś niezmiernie interesującego i atrakcyjnego, co trudno zdefiniować od razu. Możliwe, że była to śmiałość, łatwość obcowania z ludźmi. I jeszcze jedno: oczy miała podkrażone, jakby z niewyspania.

Taras, na którym siedzieliśmy, był mało uczęszczany. Niedaleko, zaraz za węglem hotelu, znajdował się główny taras, na którym spędzała czas większość gości. Skała, na której zbudowany był hotel, urywała się tam nagle i schodziła prosto w morze.

Od strony owego tarasu zmierzał teraz ku nam jakiś młody mężczyzna. Szedł dużymi, powolnymi krokami. Wielkie dłonie opuścił luźno, lekko zaciskając pięści. Było w nim coś bardzo beztronskiego i swobodnego. Od pierwszego wejrzenia poznawało się w nim marynarza.

- Nie rozumiem, gdzie się podziała ta dziewczyna - mówił, a wiatr niósł ku nam jego słowa. - Nick, Nick, gdzie jesteś?

Panna Buckley wstała.

- Wiedziałam, że się zaczną za chwilę niepokoić. Halo!... George!... Tutaj!

- Freddie nie może się już doczekać koktajli. Chodźże wreszcie!

Spojrzał nie bez zainteresowania na Poirota, który zapewne musiał się odróżniać od większości przyjaciół Nick.

Dziewczyna zrobiła gest w naszą stronę.

- Kapitan Challenger - powiedziała - a to... Ku mojemu zdumieniu Poirot nie wymienił swego nazwiska. Zamiast tego wstał, skłonił się nisko, ceremonialnie i powiedział:

- O! Przedstawiciel brytyjskiej floty, jestem wielkim wielbicielem brytyjskiej floty.

Większość Anglików nie lubi tego rodzaju oświadczeń, toteż kapitan Challenger zarumienił się, a Nick Buckley zrozumiała, że musi jakoś ratować sytuację.

- No, to chodź, George! - powiedziała. - Nie stój tak! Musimy znaleźć Freddie i Jima. - Uśmiechnęła się do Poirota. - Dziękuję za koktajl i mam nadzieję, że pańska noga szybko wydobrzeje.

Skłoniła głowę, wzięła marynarza pod ramię i obydwójce zniknęli za rogiem.

- A więc to jeden z przyjaciół mademoiselle - mruzczał Poirot pod nosem. - Z jej paczki. Co to za jeden? Proszę cię, Hastings, o twoje cenne zdanie! Jak myślisz, czy to dobry chłopak?

Zastanawiałem się chwilę nad tym, co Poirot miał na myśli, i wreszcie skinąłem głową, chociaż z pewnym wahaniem.

- Wydaje mi się taki sobie, bo ja wiem... Co można powiedzieć na pierwszy rzut oka!

- Właśnie myślę - powiedział Poirot.

Dziewczyna zostawiła kapelusz na krześle. Poirot wziął go do ręki i obracał bezmyślnie na wskazującym palcu.

- Jak myślisz, Hastings? Czy on dla niej ma, jak to się mówi, tendresse?

- Ależ, mój drogi, skąd ja mogę wiedzieć? Daj no ten kapelusz! Zaniosę go naszej młodej przyjaciółce.

- Pas encore. Ça m'amuse.3

- Doprawdy, Poirot!

- Tak jest, mój drogi. Stałem się nie tylko stary, ale i dziecinny, prawda? Właśnie o tym myślałem, ale zrobiło mi się raczej przykro, kiedy Poirot tak dokładnie odgadł moje myśli; Poirot zachichotał, potem nachylił się i powiedział:

- Ależ nie bój się, jeszcze niezupełnie zidiociałem. Oddamy kapelusz, ale nieco później. Oddamy go właścicielce w jej własnym domu. W ten sposób będziemy mieli okazję zobaczyć się raz jeszcze z czarującą panną Nick.

- Poirot! - wykrzyknąłem. - Obawiam się, żeś się zakochał!

- Ładna dziewczyna, co?
- Sam widziałeś. Po co mnie pytasz?
- Albowiem, niestety, nie potrafię już oceniać urody. Dla mnie teraz wszystko, co młode, jest piękne. Jeunesse4... jeunesse!... To tragedia mojego wieku. Ale ty... apeluję do ciebie! Twój sąd jest może nieco przestarzały, bo spędziłeś ostatnie pięć lat w Argentynie. Nie orientujesz się jeszcze w wymogach nowoczesnej europejskiej urody. Ale jesteś w każdym razie człowiekiem bardziej nowoczesnym ode mnie. Jest ładna... tak? Ma ten, no, ten seksapil? Ten wabik?
- Ma, ma, Poirot! To nie ulega wątpliwości. Ale dlaczego tak bardzo interesujesz się tą panią?
- Czyżbym się nią aż tak interesował?
- No, oczywiście!... Zastanów się nad tym, co przed chwilą powiedziałeś.
- Mylisz się poważnie, mon ami. Być może interesuję się panią, ale znacznie bardziej interesuje mnie w tej chwili jej kapelusz. Spojrzałem nań. Poirot wydawał się zupełnie poważny. Skinął głową.
- Tak, tak, Hastings, ten oto kapelusz. - Wyciągnął go ku mnie. - Czy widzisz przyczynę mojego zainteresowania?
- Jest to bardzo ładny kapelusik - powiedziałem - ale właściwie dosyć pospolity. Większość panien nosi ostatnio takie właśnie kapelusze.
- Nie, nie takie.
- Przyjrzałem się uważnie kapeluszu.
- Widzisz już?
- Widzę zwykły beżowy, filcowy kapelusz. W dobrym gatunku...
- Nie prosiłem cię wcale o opis. Jest rzeczą jasną, że nic nie widzisz. To zupełnie niesłychane! Mój nieszczęsny przyjacielu, ty prawie nigdy nic nie widzisz! Nie przestaje mnie to za każdym razem zadziwiać. Ale spójrz jeszcze raz, mój kochany stary tumanie! Nawet nie trzeba na to szarych komórek... wystarczą oczy. No... patrz!... patrz!...
- Nareszcie spostrzegłem to, o co mu chodziło. Kapelusz powoli obracał się na jego palcu, a palec tkwił w okrągłej dziurce w rondzie. Zrozumiałem od razu. Poirot wyciągnął teraz palec i podał mi kapelusz. Dziurka była niewielka, idealnie okrągła, i zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, jaki mógł być jej cel.
- Czy zauważyłeś, jak wzdrygnęła się mademoiselle, kiedy pszczoła bzyknęła jej koło ucha? - spytał Poirot. - Otóż to! Wtedy powstała dziura w kapeluszu, rozumiesz?
- Jakże to, czyżby pszczoła mogła zrobić taką dziurę?
- Mój drogi Hastingsie! Co za spostrzegawczość! Rzeczywiście pszczoła nie mogłaby, ale kula, kula! Kula by mogła, prawda?
- Kula?
- Mais oui. Taka jak ta!
- Wyciągnął dłoń, na której leżał drobny przedmiot.
- Widzisz, mon ami, to wystrzelona kula rewolwerowa. To ona uderzyła w mur tarasu, podczas kiedyśmy sobie tu rozmawiali. Tak, tak, wystrzelona kula rewolwerowa.
- Chcesz powiedzieć, że...
- Chcę powiedzieć, że gdyby przeszła o dwa centymetry w lewo, to nie przebiłaby kapelusza naszej mademoiselle, lecz jej czaszkę. Czy rozumiesz teraz, mój drogi Hastingsie, dlaczego tak bardzo interesuję się tą młodą osobą? Miałaś rację, kiedy radziłeś, żebym się nie zarzekał. Człowiek jest rzeczywiście tylko człowiekiem! Aha... jednakże ten łajdak, ten niedoszły morderca popełnił wielki błąd. Strzelić do swojej ofiary tuż koło Herkulesa Poirot! Dla niego to rzeczywiście une mauvaise chance5! Rozumiesz chyba teraz, dlaczego jest rzeczą ważną, byśmy się mogli dostać do Samotnego Domu i skontaktować się z mademoiselle? Powiedziała, że w ciągu ostatnich trzech dni trzykrotnie uniknęła cudem śmierci. No, no! Musimy działać szybko, Hastings, niebezpieczeństwo jest bardzo bliskie.

II. SAMOTNY DOM

- Poirot - odezwałem się - wiesz, co sobie myślę?

- Nie wiem, mój drogi, ale popieram, jak wiesz, gimnastykę umysłową. Nie przerywaj sobie. To ci dobrze zrobi.

Siedzieliśmy przy obiedzie, przy małym stole blisko okna.

- Ten strzał musiał być oddany z bardzo bliska, a jednak nie usłyszeliśmy go.

- Tak, tak. A wobec tego, że panuje tu idealna cisza, przerywana tylko monotonnym szumem fal, powinniśmy byli oczywiście doskonale słyszeć odgłos strzału, prawda?

- No tak. To bardzo dziwne.

- Nie, nie ma w tym nic dziwnego. Niektóre dźwięki są takie, że człowiek przyzwyczaja się do nich jak do odgłosów natury. Przypomnij sobie, mój przyjacielu, że przez cały dzisiejszy ranek odbywały się ćwiczenia ślizgaczy na zatoce. Z początku narzekałeś na hałas, a potem się przyzwyczaiłeś i zapomniałeś o nim. Można by strzelać z karabinu maszynowego i nic nie słyszeć, kiedy taki piekielny ślizgacz się zbliża.

- To prawda.

- Voila! - mruknął Poirot. - Mademoiselle i jej przyjaciele! Zdaje się, że przyszli tu na obiad. Trudno, będę musiał zwrócić jej teraz kapelusz. Ale to nic. Sprawa jest wystarczająco poważna, by odwiedzić ją w domu.

Uniósł się sprężysto z krzesła, przebiegł przez salę i skłoniwszy się nisko pannie Buckley, wręczył jej kapelusz akurat w momencie, gdy całe bractwo zasiadło do stołu.

Było ich czworo: Nick Buckley, kapitan Challenger i jeszcze jakaś młoda para. Od naszego stolika nie było ich prawie widać, dochodził nas jednak szmer rozmowy i od czasu do czasu tubalny śmiech marynarza. Podobał mi się: był taki jakiś prosty, bezpośredni i prawdziwy.

Mój przyjaciel milczał przez resztę posiłku. Kruszył chleb, mruczał coś do siebie i wciąż ruszał to solniczkę, to młynek z pieprzem, to widelce czy noże. Próbowałem wszcząć rozmowę, ale nie spotkawszy się z oddźwiękiem, dałem za wygraną.

Zjedliśmy deser, lecz Poirot jeszcze przez dłuższy czas siedział przy stole. Jednakże, z chwilą gdy tamci opuścili restaurację, natychmiast zerwał się na równe nogi. Rozsiedli się właśnie wygodnie przy stoliku w holu, gdy Poirot podszedł i skłoniwszy się po wojskowemu, powiedział:

- Mademoiselle, czy pozwoli mi pani zamienić z nią kilka słów?

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Rozumiałem ją doskonale. Zaczęła się obawiać, że ten dziwny mały cudzoziemiec zacznie ją molestować. Czułem dla niej prawdziwą sympatię, gdyż rozumiałem, co sobie musiała myśleć o Poirocie. Niechętnie oddaliła się z nim. Stanęli opodal pod ścianą.

Poirot powiedział kilka słów i wyraz twarzy dziewczyny zmienił się natychmiast. Była wyraźnie zaskoczona.

Tymczasem jednak czułem się dość nieswojo i Challenger z wrodzonym sobie taktem pośpieszył mi na ratunek, częstując papierosem i zwracając się do mnie z jakimś niewiele znaczącym zapytaniem. Poczuliśmy do siebie życzliwość od pierwszego wejrzenia. Wyobrażałem sobie, że on czuje do mnie na pewno większą sympatię niż na przykład do młodego człowieka, z którym siedział przy jednym stole.

Przyjrzałem się teraz dokładnie temu ostatniemu. Był to wysoki, przystojny i bardzo wypielęgnowany młody człowiek. Może nieco zbyt przystojny, zbyt wyniosły i afektowany. Było w nim coś przesadnie gładkiego, co mnie raziło.

Następnie przyjrzałem się młodej kobiecie. Siedziała naprzeciwko mnie w wygodnym fotelu i właśnie przed chwilą zdjęła kapelusz z głowy. Była to kobieta o niezwyklej urodzie. Wyglądała jak zmęczona Madonna. Włosy miała jasne, niemalże bezbarwne, z przedziałką pośrodku i ściągnięte do tyłu. Twarz kredowobiała i zmęczona, a jednak przedziwnie pociągająca. Była jak gdyby oderwana od spraw doczesnych. Spojrzała na mnie i nagle powiedziała:

- Niechże pan siada! Przynajmniej dopóki pański przyjaciel nie skończy mówić z Nick.

Głos jej był afektowany, sztuczny, a mimo to przyjemny. Przeciagała każdą sylabę. Robiła wrażenie najbardziej chyba zmęczonej istoty na kuli ziemskiej - zmęczonej raczej psychicznie niż cieleśnie, jak gdyby wszystko na świecie wydawało jej się puste i bezwartościowe.

- Panna Buckley bardzo uprzejmie przyszła dziś rano z pomocą mojemu przyjacielowi, gdy ten skręcił sobie nogę - objaśniłem.

- Tak, tak, mówiła nam. - Przyglądała mi się dość obojętnie. - Ale, jak widać, szybko mu to przeszło, prawda?

Zarumieniłem się.

- Było to bardzo lekkie skręcenie - dodałem.

- Doskonale. Cieszę się w takim razie, że Nick nie wymyśliła tej całej historii. Najwspanialszy z niej kłamczuch na kuli ziemskiej. Ma wprost dar wymyślania sobie najdziwniejszych rzeczy.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Moje zmieszanie wyraźnie ją bawiło.

- Nick jest moją starą przyjaciółką - ciągnęła. - Ale uważam lojalność za bardzo męczącą cnotę. Zgadza się pan? Szczególnie męczy mnie to u Szkotów, tak jak ich skąpstwo i to skrupulatne przestrzeganie świąt. To taka bzdura. Ale prawda, Jim, że Nick to urodzona blagierka? Wymyśliła sobie taką wspaniałą historię o hamulcach swojego wozu... Jim sprawdził i okazuje się, że tam jest wszystko w porządku.

Przystojny blondyn powiedział niskim, głębokim głosem:

- Znam się trochę na samochodach. - Odwrócił głowę ku oknu.

Na dworze stał rząd samochodów, wśród nich długi, czerwony, sportowy wóz. Wydał mi się dłuższy i jaskrawszy od jakiegokolwiek samochodu na świecie. Był to zaiste samochód nad samochody!

- Czy to pański samochód? - spytałem. - Tak jest.

Miałem wielką ochotę powiedzieć: "No tak, to do pana pasuje" - ale powstrzymałem się.

W tej samej chwili Poirot podszedł do stolika. Wstałem, Poirot skłonił się towarzystwu, wziął mnie szybko pod ramię i odciągnął na bok.

- Wszystko w porządku, przyjacielu! Odwiedzimy mademoiselle w Samotnym Domu o wpół do siódmej. Będzie to już po jej powrocie z wycieczki samochodowej. Mam nadzieję, że wróci zdrowa i cała.

Miał niezwykle zatroskany wyraz twarzy.

- Coś jej powiedział?

- Poprosiłem ją o udzielenie mi odrobiny jej cennego czasu, i to jak najszybciej. Ja wiem, co ona myśli. Myśli sobie: któż to jest ten mały człowieczek? Co to za jeden? Czyżby był producentem filmowym, oszustem, snobem czy może nawet spekulantem? Chciała odmówić, oczywiście, ale nie wypadało. Widzisz, zaskoczyłem ją. Przyznała się, że wróci do domu o wpół do siódmej. Wszystko w porządku.

Potwierdziłem, że w takim razie wszystko w porządku, ale Poirot nie zwracał uwagi na moje słowa. Nie potrafił usiedzieć na miejscu. Zachowywał się jak przysłowiowy kot z pęcherzem. Przez całe popołudnie spacerował po pokoju, mruczając do siebie i przestawiając różne przedmioty. Gdy zaczynałem coś mówić, machał tylko ręką i potrząsał głową.

Wreszcie, gdy wybiła godzina szósta, wyruszyliśmy z hotelu.

- To właściwie niesłychane! - zauważyłem, kiedy schodziliśmy ze stopni tarasu. - Co za pomysł strzelania do człowieka w ogrodzie hotelowym! Tylko wariat mógł się zdobyć na coś podobnego!

- Nie zgadzam się z tobą. Było to zupełnie bezpieczne przedsięwzięcie. Pod jednym oczywiście warunkiem. Przede wszystkim ogród ten jest na ogół zupełnie opustoszały. Ludzie, którzy przyjeżdżają do hoteli, przypominają stado owiec. Wobec tego, że utarło się, iż przesiaduje się na tarasie z widokiem na zatokę, przesiadują na tarasie. Tylko ja, ja który jestem oryginałem, siedzę sobie w miejscu z widokiem na ogród. I nawet ja nic nie widziałem. Jest tu pełno krzaków, drzew, palm. Osobnik ten łatwo mógł się skryć i spokojnie czekać na mademoiselle. A było rzeczą oczywistą, że przejdzie właśnie wtedy, gdyż droga z Samotnego Domu szosą jest znacznie dłuższa. Mademoiselle Nick Buckley należy najoczywiście w świecie do tych panien, które zawsze się śpieszą i zawsze chodzą skrótami.

- Mimo to ryzyko było ogromne. Gdyby go ktoś spostrzegł, to co? A trudno byłoby upozorować tego rodzaju strzał jako wypadek.

- Jako wypadek rzeczywiście nie.

- Nie rozumiem cię.

- Nic, nic. Coś mi po prostu przyszło do głowy. Może słusznie, a może niesłusznie, to się okaże. Ale dajmy temu pokój. Powróćmy jednakże do naszych rozważań. Wspomniałem przedtem, że pod jednym warunkiem zamach mógłby ująć bezkarnie.

- A mianowicie?

- Cóż to, Hastings, czyżbyś się nie domyślał?

- Oczywiście, ale nie chcę cię pozbawiać przyjemności bawienia się moim kosztem.

- Och! Co za sarkazm! Ileż ironii! Cóż, czy nie rzuca się w oczy fakt, że motyw nie może być zbyt oczywisty? W takim wypadku stanowiłoby to zbyt wielkie ryzyko i nikt by go nie podjął. Pomyśl, ludzie zaczęliby od razu pytać: czyżby to był ten a ten? Gdzie był ten a ten w momencie, kiedy padł strzał? Nie, nie, morderca, to znaczy niedoszły morderca, nie może mieć oczywistego motywu zbrodni. I dlatego, mój drogi, i właśnie dlatego się boję. Tak, tak, boję się, ale próbuję siebie samego uspokoić. Powiadam sobie: jest ich czworo. Powiadam sobie: nic nie może się stać, kiedy są razem. I jeszcze: to byłoby szaleństwo. I cały czas się boję. Wiesz co? Chciałbym już wiedzieć wszystko o tych trzech "wypadkach", o których mówiła mademoiselle. - Nagle zawrócił gwałtownie. - Jest jeszcze za wcześnie. Chodźmy od drugiej strony szosą, w ogrodzie nic nie znajdziemy. Zbadajmy więc główne dojście do Samotnego Domu.

Wyszliśmy przez główną furtkę ogrodu hotelowego na drogę prowadzącą dość stromo pod górę. Gdy doszliśmy do szczytu pagórka, skręciliśmy na ścieżkę opatrzoną napisem: TYLKO DO SAMOTNEGO DOMU.

Ścieżka zakręcała dość raptownie i po chwili znaleźliśmy się przed odrapaną bramą, której bardzo by się przydała warstwa dobrej farby. Za bramą stał mały domek. Domek był starannie utrzymany, pobielony i okolony niewielkim, schludnym ogródkiem, w oknach widniały czyściutkie firanki. Jednym słowem, domek ten stanowił jaskrawy kontrast z zaniedbaną bramą i porośniętym trawą wjazdem. Nad jednym z klombów nachylał się mężczyzna odziany w wypłowiałą kurtkę. Gdy brama zaskrzypiała, wyprostował się i spojrzał w naszą stronę. Był to człowiek mniej więcej sześćdziesięcioletni, wysoki i barczysty, o czerstwej, ogorzalej twarzy. Był niemal zupełnie łysy, miał wyraziste, mocno niebieskie oczy i miły uśmiech. Robił bardzo sympatyczne wrażenie.

- Dzień dobry - rzekł, gdy go mijaliśmy. Odpowiedziałem mu i idąc dalej, czułem wyraźnie jego wzrok na plecach.

- Ciekawe... - odezwał się Poirot w zamyśleniu. Ale nie dowiedziałem się, co go tak zaciekawiło.

Dom panny Buckley był duży i raczej zaniedbany. Okalały go stare drzewa, których gałęzie sięgały niemal dachu. Widać było, że przydałby się tutaj remont. Poirot obrzucił wszystko krytycznym wzrokiem, a następnie pociągnął za staroświecki dzwonek, który wymagał herkulesowych sił, ale raz uruchomiony rozbrzmiewał przez długą chwilę we wnętrzu domu smętnym, żalobnym tonem.

Drzwi otworzyła nam jakaś kobieta w średnim wieku. "Zacna kobieta w czerni" - powiedziałbym. Była bardzo dostojna, ponura i zupełnie nie wykazywała zainteresowania naszymi osobami.

Powiedziała nam, że panna Buckley jeszcze nie wróciła, a Poirot z kolei wyjaśnił, że się umówił. Niełatwo było ją przekonać, że należy nas wypuścić. Kobieta chyba z zasady nie dowierzała cudzoziemcom. Jestem przekonany, że mój wygląd przekonał ją wreszcie co do czystości naszych intencji. Wpuściła nas i zaprowadziła do salonu, gdzie mieliśmy zaczekać na powrót pani domu.

W salonie nie było już nuty smutku. Był to pokój jasny, słoneczny, z widokiem na morze, także nieco zaniedbany i umeblowany w dość dziwny sposób mieszaniną, solidnych wiktoriańskich mebli i modernistycznej tandety. Na oknach zasłony z ciężkiego, starego brokatu, ale za to obicia kolorowe, wesołe, a poduszki po prostu niesamowicie jaskrawe. Na ścianach wisiały portrety rodzinne. Niektóre nawet bardzo dobre. Był tam gramofon i wiele płyt rozrzuconych po stołach i fotelach, przenośne radio na baterię, jakaś gazeta przerzucona przez poręcz fotela i bardzo niewiele książek. Poirot wziął do ręki gazetę, ale rzucił ją zaraz z grymasem. Był to miejscowy tygodnik "Herald St. Loo". Jednakże coś kazało mu podnieść go raz jeszcze i właśnie przeglądał pierwszą stronę, gdy do pokoju weszła Nick Buckley.

- Przynieś lód, Ellen! - rzuciła przez ramię, a potem zwróciła się do nas.

- A więc jestem, udało mi się splawić tamtych. Po prostu pożera mnie ciekawość. Czyżbym była ową dziewczyną, która ma podbić ekrany świata? Pan był taki uroczy, iż wydaje mi się, że jest to jedyna możliwość. No więc, ile ofiaruje mi pan w kontrakcie?

- Hélas, mademoiselle... - rozpoczął Poirot.

- Niech pan nie rani mi serca! - krzyknęła. - Zaraz się okaże, że jest właśnie na odwrót. Jest pan słynnym malarzem, maluje pan miniatury i chce pan, bym coś u pana zamówiła za drogie pieniądze. Ale nie... z tym wąsem, no i jako gość w Majesticu, który słynie z najgorszego jedzenia i najwyższych cen w całej Anglii... Nie, chyba nie.

Kobieta, która otworzyła nam drzwi, weszła teraz do pokoju, niosąc tacę z lodem i butelkami. Nick z wielką wprawą przyrządziła koktajl, nie przestając mówić. Poirot milczał (rzecz u niego niezwykła) tak długo, że wreszcie zwróciło to uwagę dziewczyny. Nalewając koktajle do kieliszków, zatrzymała się nagle i powiedziała dość ostro: - A więc, dobrze!

- O to mi właśnie chodzi, mademoiselle - powiedział Poirot tajemniczo - żeby było dobrze. - Wziął z jej ręki kieliszek. - Pani zdrowie, mademoiselle! Pani zdrowie!

Dziewczyna nie była głupia, zrozumiała znaczenie jego tonu.

- Czy coś się stało?

- Tak, mademoiselle, to...

Wyciągnął do niej dłoń, na której leżała kula. Chwyciła ją ze zdziwieniem w oczach.

- Czy wie pani, co to jest?

- Oczywiście. Kula rewolwerowa.

- Zupełnie słusznie. To nie pszczoła bzyknęła pani koło ucha przed południem, tylko ta kula.

- Co to znaczy? Jakiś wariat czy zbrodniarz strzelał sobie ni stąd, ni zowąd w ogrodzie hotelowym?

- Tak by się zdawało.

- A niech to wszyscy diabli! - powiedziała Nick po prostu. - Mam niebywałe szczęście! To byłby czwarty raz.

- Tak jest, mademoiselle. To byłby czwarty wypadek. Chciałbym usłyszeć o poprzednich trzech.

Patrzyła na niego uważnie.

- Chciałbym być zupełnie pewny, mademoiselle, że były to wypadki.

- Ależ oczywiście! Cóż innego?

- Mademoiselle, niech się pani łaskawie przygotuje na wielki szok. Co by pani powiedziała, gdyby się okazało, że ktoś czyha na pani życie?

Nick wybuchnęła serdecznym śmiechem. Myśl ta rzeczywiście bawiła ją ogromnie.

- Co za wspaniały pomysł! Mój drogi panie, skądże? I kto by mógł czyhać na moje życie? Nie jestem, niestety, bogatą i piękną dziedziczką, której śmierć mogłaby przynieść komuś wielki majątek. A właściwie to nawet chciałabym, żeby ktoś próbował mnie zabić. To byłaby dopiero przygoda! Ale obawiam się, że jest to zupełnie beznadziejne.

- Mademoiselle, czy nie chciałaby mi pani jednak opowiedzieć o tych wypadkach?

- Proszę bardzo. Ale nic w tym nie ma. Po prostu głupstwa. Nad moim łóżkiem wisi obraz w ciężkiej ramie. W nocy spadł i tyle. Przez przypadek nie było mnie w łóżku. Usłyszałam, że drzwi stukają na dole, i wstałam, żeby je zaniknąć. W ten sposób uniknęłam prawdopodobnie śmierci, w przeciwnym razie miałabym teraz roztrzaskaną głowę. To jest wypadek numer jeden.

Poirot nie uśmiechnął się.

- I co dalej, mademoiselle? Przejdźmy do wypadku numer dwa.

- O, to nawet jeszcze głupsza historia. Jest tu dość stroma skała prowadząca do morza. Zawsze schodzę tamtędy do kąpieli, bo jest tam bardzo dogodny wielki głaz, z którego dobrze skacze się do wody. Wczoraj kawał granitu oderwał się od skały i spadł niemalże na mnie. A trzeci wypadek był zupełnie z innej beczki. Coś się zepsuło z hamulcem w moim wozie. Nie znam się na tym. Mechanik z garażu coś mi tłumaczył, ale nic nie rozumiałam. W każdym razie, gdybym pojechała w dół do miasteczka, to prawdopodobnie wpadłabym prosto na ratusz i byłaby niezła kraksa, w wyniku której ratusz zostałby lekko uszkodzony, a mnie nawet by nie

pozbierano. Ale właśnie dzięki temu, że zawsze czegoś zapominam, zawróciłam sprzed bramy i tyle tylko, że wpadłam w żywopłot.

- Czy nie może mi pani powiedzieć, na czym polegał defekt?

- Nie wiem, ale w garażu Motts'a panu powiedzą. Coś bardzo prostego zostało rozkręcone, tak przynajmniej mi się zdaje. Pomyślałam sobie, że pewnie syn Ellen, tej mojej gospodyni-totumfackiej, która wam otworzyła drzwi, coś tam zbroił. Chłopaki lubią majstrować i kręcić się przy samochodach. Oczywiście Ellen przysięga, że chłopak w ogóle nie zbliży się do mojego wozu. Poza tym ostatecznie mogło się samo rozluźnić, mimo że Motts zaklina się, iż to niemożliwe.

- Gdzie pani ma swój garaż?

- Za domem.

- Czy jest zamknięty na dobry zamek? Oczywiście Nick rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ależ skąd! Oczywiście, że nie.

- Każdy mógłby więc majstrować niepostrzeżenie przy samochodzie.

- No, tak, chyba tak. Ale to nonsens!

- Nie, mademoiselle, to nie nonsens. Pani nie rozumie. Pani jest w wielkim niebezpieczeństwie. W prawdziwym, wielkim niebezpieczeństwie. Ja pani to mówię. Ale pani wciąż nie wie, kim ja jestem?

- Nie - powiedziała Nick głosem nieco zdyszczonym z emocji.

- Jestem Herkules Poirot.

- O! - wykrzyknęła Nick rozczarowana. - Oczywiście.

- Zna pani moje nazwisko?

- O tak!

Kręciła się na krześle z wyraźnym zażenowaniem. Poirot przyglądał jej się uważnie.

- Pani zapewne nie czytała moich książek?

- No, nie... nie wszystkie. Ale znam, oczywiście, tytuły.

- Mademoiselle, jest pani osobą dobrze wychowaną, ale za to niezbyt prawdomówną - oświadczył Poirot. (Przypomniały mi się słowa wypowiedziane na ten sam temat w hotelu Majestic.) - Ale zapominam, że pani jest prawie dzieckiem... że nie mogła pani słyszeć... Tak szybko przemija sława. Mój przyjaciel... on pani powie. Nick spojrzęła na mnie. Chrząknęłam.

- Monsieur Poirot jest... hm... był wielkim, znakomitym detektywem - wyjaśniłem.

- O, mon ami! - krzyknął Poirot. - Czy to wszystko, co masz do powiedzenia na mój temat? Mais dis donc! Powiedz, że jestem detektywem, jakiego nie było nigdy na świecie, że jestem niezrównany, jedyny, niepowtarzalny!

- To już jest zbyt cenne - odezwałem się chłodno. - Sam przed chwilą wszystko powiedziałaś.

- O, tak, ale lepiej jest, gdy można zachować skromność. Nie powinno się śpiewać hymnów pochwalnych na własną cześć.

- I jak się ma psa, to nie powinno się samemu szczekać - dodała Nick. - A piesek? Czy można wiedzieć, kim jest piesek? Założę się, że to sam doktor Watson?

- Nazywam się Hastings - powiedziałem chłodno.

- Bitwa pod Hastings, rok 1066 - rzuciła Nick. - Kto twierdzi, że nie jestem osobą wykształconą? No, ale doprawdy, przecież to jest zupełnie cudowna historia. Czy naprawdę ktoś chce mnie zgładzić? Byłoby to rzeczywiście przezabawne. Ale ja w to nie wierzę. Takie rzeczy nie zdarzają się w rzeczywistości. Tylko w książkach. Pan Poirot jest zapewne jak ten chirurg, któremu udało się dokonać jakiejś bardzo trudnej operacji, albo ten lekarz, co odkrył rzadką chorobę i chciałby, żeby każdy człowiek na nią zachorował.

- Sacre tonnerre! - zagrzemiał Poirot. - Czy pani nigdy nie mówi poważnie? Ta dzisiejsza młodzież jest zbyt frywolna, to zupełnie nie do zniesienia! Gdyby pani z dziurką w głowie leżała teraz w ogrodzie hotelowym w charakterze bardzo ładnego, ale zupełnie sztywnego trupa, nie byłoby to wcale śmieszne. Nie śmiałyby się pani wtedy, co?

- Chyba już tylko w charakterze ducha na seansie spirytystycznym - powiedziała Nick. - Ale mówiąc poważnie, panie Poirot, bardzo jestem panu zobowiązana i tak dalej, ale to chyba musi być przypadek, prawda?

- Pani jest uparta jak diabeł!

- Stąd właśnie bierze się moje dziwne imię. Mój dziadek był bardzo dziwnym człowiekiem i uważano powszechnie, że zaprzedał duszę diabłu. Wszyscy tu nazywali go Starym Nickiem. Był to rzeczywiście bardzo niedobry staruszek, ale można się było z nim ubawić. Strasznie go kochałam. Nie odstępowałam go. Nazywali nas Stary Nick i Młody Nick. Naprawdę to na imię mi Magdala.
- To też niezwykle imię.
- Tak, ale używane w naszej rodzinie. Jedna Magdala, o proszę, wisi tu na ścianie.
- Aha - powiedział Poirot i spojrzawszy na inny portret, spytał: - Czy to jest pani dziadek?
- Tak, prawda, że to doskonały portret? Jim Lazarus chciał go kupić, ale nie zgodziłam się. Jestem przywiązana do tego obrazu i do Starego Nicka. Poirot milczał przez chwilę, potem powiedział z wielką powagą:
- Revenons a nos moutons. Mademoiselle, błagam panią o chwilę powagi. Pani jest w wielkim niebezpieczeństwie. Dzisiaj ktoś strzelił do pani z mauzera...
- Z mauzera?
- Była rzeczywiście zaskoczona.
- Tak jest. Ale czemu się pani tak dziwi? Czy zna pani kogoś, kto posiada mauzera?
- Uśmiechnęła się.
- Ja mam mauzera.
- Pani?
- Tak. Należał do mego ojca. Przywiózł go z wojny. I od tego czasu poniewiera się po domu. Widziałam go kilka dni temu w tej szufladzie. Wskazała na staroświeckie biurczko. I zaraz, jakby wiedziona jakąś myślą, podeszła do biurka i otworzyła szufladę. Spojrzała na nas zdziwionym wzrokiem, a w jej głosie brzmiała zupełnie nowa nuta:
- Nie ma go. Znikł!

III. WYPADKI

Od tego momentu rozmowa nasza nabrała zupełnie innego tonu. Dotychczas nie było żadnego porozumienia pomiędzy Poirotem a panną Buckley. Przede wszystkim dzieliła ich bariera wieku. Jego wielka sława i autorytet nic dla niej nie znaczyły. Należała do pokolenia, które zna tylko sławne nazwiska dnia. Dlatego też przestrogi jego nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Był dla niej po prostu śmiesznym, starszym cudzoziemcem o raczej melodramatycznych skłonnościach.

Ta jej postawa była dla Poirota zupełnie niezrozumiała. Jako człowiek bardzo próżny czuł się urażony. Miał przekonanie, że cały świat zna nazwisko Poirot. A tu znalazła się osoba, która o nim nigdy nie słyszała. Dobrze mu tak! - pomyślałem sobie.

Jednakże, z chwilą gdy dziewczyna stwierdziła brak pistoletu, sytuacja zmieniła się radykalnie. Nick przestała uważać słowa Poirota za kiepski dowcip. Wciąż wprawdzie nie przejmowała się zbyt sytuacją, gdyż taką miała naturę, ale jej ton i sposób zachowania wyraźnie się zmieniły.

Wróciła do swojego fotela, usiadła na poręczy i zamyśliła się.

- To dziwne - powiedziała po chwili. Poirot obrócił się gwałtownie w moją stronę.

- Czy pamiętasz, Hastings, co ci mówiłem? Widzisz, miałem rację. Załóżmy, że znaleziono by zwłoki mademoiselle w ogrodzie hotelowym. Nawiasem mówiąc, mogła sobie tam poleżeć przez wiele godzin, gdyż mało kto tamtędy chodzi. A obok jej prawej dłoni leżałby rewolwer, jej własny rewolwer. Madame Ellen niewątpliwie rozpoznałaby go. Zaczęłyby się wątpliwości, okazałoby się, że mademoiselle cierpiała ostatnio na bezsenność, że miała liczne kłopoty, że bywała zamyślona...

- To prawda, miałam ostatnio bardzo wiele przykrości. Wszyscy mi mówią, że jestem okropnie nerwowa. Tak, tak... wciąż mi to powtarzają...

- Na pewno orzeczenie brzmiałoby: samobójstwo. Odciski palców mademoiselle znalazłyby się oczywiście bez trudu na rękojeści rewolweru. Wyłącznie jej odciski palców, oczywiście! Tak, tak, wszystko byłoby takie jasne i proste.

- To rzeczywiście szalenie zabawna historia! - wykrzyknęła Nick tonem, z którego wynikało wyraźnie, że wcale jej ta historia nie bawi.

Poirot jednakże przyjął jej słowa w dosłownym ich znaczeniu.

- N'est-ce pas? Ale pani chyba rozumie, mademoiselle, że nie możemy dopuścić do dalszych "wypadków". Cztery razy się nie udało, ale piąty... piąty raz może się przecież udać.

- Szykujemy więc karawan - mruknęła Nick.

- Ale ja i mój przyjaciel jesteśmy tu i zajmiemy się całą sprawą.

Byłem mu wdzięczny za tę liczbę mnogą. Poirot często zapominał o moim istnieniu.

- Tak, tak - dodałem - może pani być zupełnie spokojna. Gwarantujemy pani bezpieczeństwo.

- Jesteście, panowie, naprawdę bardzo mili - powiedziała Nick. - Uważam, że ta cała historia jest niesłychanie zabawna i podniecająca.

Pomimo wesołego tonu, w oczach jej wyczytałem pewien niepokój.

- A więc, zacznijmy od początku - odezwał się Poirot. - Przede wszystkim, mademoiselle, musimy odbyć małą naradę. - Usiadł i uśmiechał się do niej przyjaźnie. - A więc, mademoiselle, czy ma pani wrogów?

Nick potrząsnęła głową z pewnym żalem.

- Niestety, nie - odpowiedziała.

- Bon. Odrzućmy więc tę możliwość. A teraz pytanie, które znamy tak dobrze z powieści kryminalnych i z filmów amerykańskich: kto skorzystałby na pani ewentualnej śmierci?

- Nie mam pojęcia - zachnęła się Nick. - To wszystko wydaje mi się absurdalne. Mam ten dom, oczywiście, ale jak sami widzicie, rozlatuje się, a poza tym jest obłożony hipotekami po sam dach, który zresztą cieknie i grozi zawaleniem. Chyba że w skale znajdują się jakieś pokłady węgla, o których nic mi nie wiadomo.

- A więc dom jest obłożony hipoteką?

- Tak. Byłam do tego zmuszona. Widzi pan, musiałam zapłacić dwukrotnie podatek spadkowy. Raz po śmierci dziadka, sześć lat temu, a potem po śmierci brata. To mnie zupełnie wykończyło finansowo.

- A ojciec?

- Ojciec mój wrócił z wojny jako inwalida i w 1919 roku dostał zapalenia płuc i umarł. Matka umarła, kiedy byłam zupełnie mała. Mieszkałam tu z dziadkiem. Dziadek i ojciec wiecznie się kłócili, czemu zresztą trudno było się dziwić. Toteż ojciec zostawił mnie i pojechał sobie w świat. Mój brat, Gerald, też jakoś nie umiał żyć z dziadkiem. Jestem pewna, że gdybym była chłopcem, to i ja bym miała z nim ciężkie życie. Ale fakt, że byłam dziewczyną, wytwarzał zupełnie inną sytuację. Dziadek kochał mnie bardzo, uważał, że wrodziłam się w niego, że odziedziczyłam jego charakter. - Roześmiała się. - Był to prawdziwy stary tyran, ale wielki szczęściarz. Mówiono o nim, że ma szczęśliwą rękę, że wszystko, czego się dotknie, zamienia się w złoto. Ale jednocześnie był graczem i ryzykantem i wszystko, co zdobywał, szybko przepuszczał. Gdy umarł, pozostał po nim tylko ten dom i kawałek ziemi. Miałam wówczas szesnaście lat, a Gerald dwadzieścia dwa. Gerald zginął w wypadku samochodowym trzy lata temu i dom przeszedł na mnie.

- A po pani, mademoiselle? Kto jest pani najbliższym krewnym?

- Kuzyn Charles. Charles Vyse. Mieszka tu w miasteczku i jest adwokatem. To bardzo porządny i szanowany człowiek, ale okropny nudziarz. Daje mi mnóstwo dobrych rad i Próbuje poskramiać moją ekstrawagancję. - Czy to on zajmuje się pani sprawami?

- No tak, powiedzmy. Nie bardzo jest się czym zajmować. On załatwia mi pożyczki hipoteczne i odnajdował ten mały domek przy bramie.

- Aha, domek. Miałem panią właśnie o to zapytać. Jest odnajęty?

- Tak. Mieszkają tam jacyś Australijczycy. Państwo Croft. Bardzo mili i porządni, i okropnie, ale to okropnie uczynni i sąsiedzcy. Wciąż przynoszą jakieś marcheweczki czy selery ze swojego ogródka. Są na mnie oburzeni, że nie zajmuję się ogrodem. W gruncie rzeczy działają mi na nerwy. Zwłaszcza on. Ocieka życzliwością, niedobrze się wprost robi. Ona, biedactwo, jest kaleką i cały dzień leży na kanapie. Ale co tu dużo gadać! Płacą komorne, a to najważniejsze.

- Od dawna tu mieszkają?

- Od jakichś sześciu miesięcy.

- Aha. A poza tym kuzynem? A propos, czy to kuzyn ze strony matki, czy ojca?

- Matki. Moja matka nazywała się Amy Vyse.
 - Bien! A poza tym kuzynem, czy nie ma pani już żadnych krewnych?
 - Jakichś Buckleyów w Yorkshire, bardzo dalekich krewnych.
 - I nikogo więcej?
 - Nikogo.
 - To jest pani dosyć samotna.
- Nick spojrziała na niego ze zdziwieniem.
- Ja, samotna? Skąd! Bywam tu bardzo rzadko. Przeważnie mieszkam w Londynie. A w ogóle krewni to przeważnie okropne towarzystwo. Wtrącają się i zawracają głowę. Wolę sto razy być samotna.
 - Widzę, że współczucia pani nie trzeba. Jest pani osobą bardzo nowoczesną. Dobrze, mademoiselle. A kto prowadzi pani tutejsze gospodarstwo?
 - To brzmi bardzo wspaniale. Całe gospodarstwo składa się z jednej Ellen. Jej mąż spełnia funkcje ogrodnika - pożał się Boże. Płacę im bardzo mało, bo pozwoliłam im zamieszkać tu z dzieckiem. Ellen obsługuje mnie, kiedy przyjeżdżam, a jak mam więcej gości, to sprowadzam sobie kogoś z sąsiedztwa do pomocy. W poniedziałek odwiedzi mnie sporo osób. Regaty!
 - W poniedziałek? A dzisiaj jest sobota. Tak, tak. A teraz, mademoiselle, pomówmy o pani przyjaciółkach. Na przykład o tych, z którymi jadła pani dzisiaj obiad.
 - Cóż, Freddie Rice, ta blondynka, to moja najlepsza przyjaciółka. Miała okropne życie. Wyszła za mąż za łajdaka, pijaka, narkomana, no, w ogóle strasznego człowieka. Musiała się z nim rozstać jakieś dwa lata temu. Od tej pory jest jakaś dziwaczna. Marzę już o tym, żeby załatwiła sprawy rozwodowe i wyszła za mąż za Jima Lazarusa.
 - Lazarus? Czy to ten antykwariusz z Bond Street?
 - Tak. Jim to jego jedyny syn. Ma masę forsy. Czy widział pan jego samochód? Jest oczywiście Żydem, ale bardzo porządnym chłopakiem. I ubóstwia Freddie. Nie rozstają się nigdy, wszędzie bywają razem. Przyjechali do Majesticu na weekend i przyjdą do mnie w poniedziałek.
 - A mąż pani Rice?
 - Ten łajdak? Bo ja wiem, jakoś znikł z horyzontu. Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Dlatego też Freddie jest w takiej okropnej sytuacji. Nie można się rozwieść z człowiekiem, którego nie ma.
 - Evidemment!
 - Biedna Freddie - zamyśliła się Nick. - Całe życie miała pecha. Raz już prawie wszystko było załatwione. Znalazła go i okazało się, że on się zgadza na rozwód i na wszystko. Ale po prostu nie miał pieniędzy, żeby pójść z jakąś babą do hotelu i dać się przyłapać. Wie pan, że u nas to jedyny sposób na otrzymanie rozwodu. Freddie dała mu pieniądze na opłacenie hotelu, dziewczyny i świadków. On wziął pieniądze i znikł jak kamfora. Mówiłam, że to łajdak.
 - Boże drogi! - krzyknął.
 - Mój przyjaciel Hastings jest oburzony - stwierdził Poirot. - Mademoiselle, niech pani przy nim uważa. To człowiek starej daty, pani rozumie. Powrócił niedawno z dziewiczej puszczy i jeszcze nie zapoznał się ze współczesnym językiem. - Nie, wiem, czym się tu można oburzać - zdziwiła się Nick. - Chyba każdy wie, że istnieją tego rodzaju ludzie na świecie. Ale mimo to uważam, że wszystko ma swoje granice i że to łajdactwo z jego strony. Freddie była taka zmartwiona po tej historii, że nie wiedzieliśmy, co z nią zrobić.
 - Tak, tak, to rzeczywiście nieprzyjemne. A drugi nasz przyjaciel, kapitan Challenger?
 - O, George! George'a znam od wieków, to znaczy, mówiąc ściśle, od pięciu lat. George to dzielny chłopak.
 - Chciałby, żeby pani wyszła za niego za mąż, co?
 - Napomyka o tym od czasu do czasu. Zwykle po drugiej szklance porto albo gdzieś nad ranem, po grubszej wypitce.
 - A pani jest wciąż niewzruszona?
 - A czy to miałoby sens? Żadne z nas nie ma grosza przy duszy. Poza tym okropnie bym się z nim nudziła. Te jego dżentelmeńskie maniery! A zresztą nie jest taki młody, ma co najmniej czterdzieści lat.
- Ta ostatnia uwaga nieco mnie ubodła.

- Prawdę mówiąc, jest jedną nogą w grobie - dodał Poirot poważnie. - Ja jestem wprawdzie dziadkiem, ale to nie ma żadnego znaczenia. A teraz chciałbym powrócić do tych dziwnych wypadków. Ta historia z obrazem, na przykład?

- Powiesiliśmy go z powrotem, na nowym, mocnym sznurze. Mogę go panu pokazać, jeżeli pan chce.

Zaprowadziła nas do innego pokoju. Obraz okazał się pejzażem olejnym w ciężkiej, staroświeckiej ramie i wisiał bezpośrednio nad wezglowiem łóżka.

Poirot mruknął: - Pani daruje - zdjął buty i wszedł na łóżko. Zbadał dokładnie obraz, sznur i wagę obrazu. Zszedł z łóżka z grymasem na twarzy. - Gdyby to zleciało komuś na głowę, to rezultat byłby wcale niezgorszy. A sznur, na którym wisiał przedtem, czy był taki sam jak ten?

- Tak, taki sam. Po prostu mocny sznur, ale nie taki gruby jak ten.

- Rozumiem. Czy pani obejrzała sobie dobrze miejsce, w którym się zerwał, czy końce były wystrzępione?

- Zdaje się, ale nie jestem zupełnie pewna. Nie miałam powodu, by mu się tak dokładnie przyglądać.

- Oczywiście. Nie miała pani powodu. W każdym razie ja chciałbym mu się przyjrzeć. Czy pani nie wie, co się z nim stało?

- Nie wiem. Przypuszczam, że ogrodnik, który założył nowy sznur, wyrzucił kawałki starego.

- To wielka szkoda.

- A więc nie uważa pan, że był to po prostu przypadek? Ale jakże mogłoby się to inaczej stać?

- Oczywiście, że nie można wykluczyć czystego przypadku. Ale uszkodzenie hamulca w samochodzie to już nie był przypadek. A głąz, który stoczył się wprost na panią? Chciałbym zobaczyć miejsce tego wypadku, dobrze?

Nick zaprowadziła nas do ogrodu, na skraj skały. Pod nami iskrzyło się błękitne morze. Wyboista ścieżka wiodła w dół. Nick pokazała nam dokładnie miejsce wypadku, a Poirot poważnie kiwał głową.

- Ile jest sposobów dostania się do tego ogrodu? - spytał wreszcie.

- Wejście główne to brama, tuż koło domku Australijczyków. Potem jest wejście boczne, po prostu furtka w murze, mniej więcej w połowie tej ścieżki. I jeszcze jedno wejście niedaleko stąd, zaraz koło skraju skały. Tędy wychodzi się na dość zygzakowatą ścieżkę, która prowadzi od plaży prosto do hotelu Majestic. Tamtędy właśnie szłam dzisiaj rano. No i oczywiście jest jeszcze dziura w żywopłocie, która prowadzi do ogrodu hotelowego. Przejście przez ogród Majesticu jest zresztą najkrótszą drogą do miasta.

- A ogrodnik pani, w której części ogrodu najczęściej pracuje?

- Cóż, przeważnie majstruje coś w ogródku warzywnym albo przesiaduje w altanie i udaje, że ostrzy narzędzia ogrodnicze.

- To znaczy, że zwykle znajduje się po tamtej stronie domu? Tak, że gdyby ktoś zamierzał zakraść się tu i obluzować wielki głąz, to mógłby go na dobrą sprawę nikt nie zauważyć?

Nick wzdrygnęła się nagle.

- Czy tak... czy tak pan sobie to wyobraża? - spytała. - Jakoś nie mogę w to uwierzyć. To wydaje się takie absurdalne!

Poirot znów wyjął z kieszeni kulę rewolwerową i spojrział na nią.

- A to, czy to też wydaje się pani absurdalne?

- To chyba musi być robota jakiegoś wariata.

- Niewykluczone. Jest to zresztą ulubiony temat kawiarniany. Zagadnienie, czy wszyscy przestępcy są chorzy umysłowo, czy też tylko niektórzy! Być może, że ich szare komórki są zdegenerowane. Nie wykluczam tej możliwości. Ale to jest sprawa lekarzy. Ja mam przed sobą inne zadanie. Ja muszę myśleć o przyszłych ofiarach, a nie o przestępcy. Ja w tej chwili myślę wyłącznie o pani, a nie o pani nieznanym wrogu. Pani jest młoda i piękna, słońce świeci, świat jest Wspaniały! Przed panią całe życie. O tym myślę, tylko i wyłącznie o tym, mademoiselle! Ale niech mi pani powie: ci pani przyjaciele, pani Rice i pan Lazarus, od kiedy tutaj przebywają?

- Freddie przyjechała do Kornwalii w środę. Zatrzymała się na dwa dni u jakichś swoich przyjaciół w Tavistock. Do St. Loo przyjechała wczoraj. Jim jeździł swoim samochodem po okolicy, o ile się orientuję.

- A kapitan Challenger?

- Mieszka w Devonport. Przyjeżdża samochodem, kiedy tylko może. Przeważnie na weekendy.

Poirot skinął głową. Wróciliśmy powoli do domu. Przez chwilę panowała cisza.

Nagle Poirot zapytał:

- Czy ma pani jakąś zaufaną przyjaciółkę?

- Mam. Freddie.

- A poza panią Rice?

- Bo ja wiem. Chyba mam. A dlaczego pan pyta?

- Ponieważ chciałbym, żeby z panią tutaj ktoś zamieszkał, i to natychmiast.

- O!

Nick była zaskoczona. Przez chwilę szła w zamyśleniu.

- Jest jeszcze Madzia - powiedziała niepewnym głosem. - Przypuszczam, że udałoby mi się ją ściągnąć.

- A kto to taki?

- To jedna z moich kuzynek z Yorkshire. Mam ich tam całą gromadę. Ich ojciec jest pastorem, pan rozumie? Madzia jest mniej więcej w moim wieku. Zwykle zapraszam ją na kilka tygodni w lecie. To dosyć nudna dziewczyna, ale bardzo porządna. Niepozorna, ale ma ten kolor włosów, który teraz akurat przypadkowo stał się modny. Miałam nadzieję, że wykręcę się w tym roku od jej wizyty.

- Wprost przeciwnie. Pani kuzynka, mademoiselle, będzie znakomitą opiekunką dla pani. Właśnie kogoś takiego miałem na myśli.

- No, dobrze! - westchnęła Nick. - Wyślę do niej depeszę. Zresztą w tej chwili już wszyscy się porozjeżdżali na wakacje. Ale jeżeli Madzia nie zobowiązała się wystąpić akurat w chórze kościelnym lub zorganizować Dnia Matki, to na pewno od razu przyjedzie. Chociaż czego się pan właściwie po niej spodziewa?

- Czy mogłaby spać z panią w jednym pokoju?

- Oczywiście!

- Nie zdziwi się?

- Madzia się niczemu nie dziwi. Ona robi wszystko bardzo serio. Zna pan ten typ? Ma anielską cierpliwość, jest wierząca, łagodna. No cóż, zadepeszuję, żeby przyjechała w poniedziałek.

- Dlaczego nie jutro?

- W niedzielę? Gdybym tego od niej zażądała, pomyślałaby, że jestem umierająca. Nie, niech przyjedzie w poniedziałek. Czy pan powie jej o mieczu Damoklesa, który nade mną wisi?

- Widzę, że pani wciąż jeszcze sobie żartuje. Ale dobrze, że jest pani osobą odważną.

- Mam w każdym razie rozrywkę, musi pan przyznać.

Coś uderzyło mnie w jej tonie i spojrzałem na nią z zainteresowaniem. Miałem wrażenie, że czegoś nie dopowiedziała. Wróciliśmy do salonu. Poirot przeglądał znowu gazetę leżącą na kanapie.

- Czy pani to czyta, mademoiselle?

- "Herald St. Loo"? Nie, raczej tylko przeglądam. Chciałam zobaczyć, jakie są pory przypływu i odpływu. Podają je raz na tydzień. - Aha. Ale mówiąc nawiasem, mademoiselle, czy pani spisała testament?

- Owszem. Jakies pół roku temu. Tuż przed operacją.

- Operacja?

- Nic ważnego. Wycięli mi ślepa kiszkę. Ktoś mi powiedział, że powinnam spisać testament. Zrobiłam to. Czułam się przy tym niezmiernie ważna.

- Jak pani rozporządziła swoim testamentem?

- Cóż, zapisałam Samotny Dom Charlesowi. Poza tym nic innego nie mam. Jakies drobiazgi dla Freddie. Zresztą kosztą pogrzebu i tak by wszystko pochłonęły. Poirot skinął głową w zamyśleniu.

- Pójdziemy już. Au revoir, mademoiselle! I niech pani na siebie uważa.

- Ale jak?

- Tak, tak, z tym właśnie bieda, nie wiadomo właściwie, czego się wystrzegać. Kto to może wiedzieć. Ale pani jest osobą inteligentną. Proszę mieć do mnie zaufanie. Za kilka dni dojdę do sedna sprawy.

- A tymczasem - wykrzyknęła Nick - należy się wystrzegać bomb, gazów, strzałów rewolwerowych, wypadków samochodowych i zatrutych strzał południowoamerykańskich Indian!

- Niech pani przestanie żartować - powiedział Poirot poważnie. - Podeszedł do drzwi i zatrzymał się chwilę. - Aha, jeszcze jedno: ile ofiarował pani pan Lazarus za portret dziadka?

- Pięćdziesiąt funtów.

- Aha! - powiedział tylko Poirot.

Spojrzał uważnie na surowe oblicze z portretu nad kominkiem.

- Ale, jak już mówiłam, nie mam zamiaru sprzedawać staruszka.

- No tak - powiedział Poirot na odchodnym. - Rozumiem to doskonale.

IV. COŚ W TYM MUSI TKWIĆ

- Poirot - odezwałem się, gdy tylko znaleźliśmy się na drodze - wydaje mi się, że powinieneś wiedzieć jedną rzecz.

- Co takiego, mon ami?

Opowiedziałem mu to, co mówiła pani Rice o hamulcach samochodowych.

- Tiens! C'est interessant, ça. Istnieje oczywiście pewien typ ludzi, ludzi próżnych, rozhisteryzowanych, którzy pragnąc zwrócić na siebie uwagę, stale unikają w cudowny sposób zasadzek. Ci ludzie opowiadają niestworzone rzeczy, zawsze ktoś czyha na ich życie. Owszem, typ ten jest dobrze znany. Ludzie tacy potrafią nawet zadać sobie ciężkie uszkodzenia cieleśne, byle tylko podtrzymać fikcję.

- Nie przypuszczasz chyba...

- ...Że panna Nick jest tym typem? Nie, na pewno nie. Zauważyłeś zapewne, mój drogi, że z wielkim trudem udało mi się ją przekonać o grożącym jej niebezpieczeństwie. I do samego końca utrzymywała ton ironiczny i pełen niedowierzania. O, ta mała to typowa przedstawicielka swojego pokolenia. Mimo to historyjka pani Rice jest oczywiście interesująca. Dlaczego miałyby mówić takie rzeczy? Nawet gdyby to była prawda? Myślę, że to zupełnie zbyteczne, a nawet gauche.

- Tak - odrzekłem - to prawda. Naprowadziła rozmowę na ten temat niemalże siłą. Ni stąd, ni zowąd.

- To dziwne, tak, to bardzo dziwne. Ale cieszę się z tych drobnych, dziwnych fakcików. Zawsze się na coś w końcu przydadzą. Często wskazują drogę.

- Drogę? Tak, ale dokąd?

- Trafieś w samo sedno, mój drogi Hastingsie. Właśnie. Dokąd? Niestety nie dowiemy się, zanim nie dojdziemy do celu.

- Powiedz mi - zacząłem - dlaczego kazałeś jej sprowadzić tę kuzynkę?

Poirot zamilkł na chwilę i zaczął mi wymachiwać palcem przed nosem.

- Weź pod uwagę! - krzyknął. - Pomyśl tylko, Hastings! Pomyśl, jaka to trudna sprawa! Mamy związane ręce i nogi! Odkrycie mordercy po dokonaniu przezeń zbrodni - c'est tout simple! Przynajmniej dla człowieka o moich zaletach umysłu. Morderca, że tak powiem, podpisał się imieniem i nazwiskiem, z chwilą kiedy popełnił przestępstwo. Ale w tym wypadku zbrodni w ogóle nie została popełniona - a co więcej, nie chcemy do niej dopuścić. Odkrycie zbrodni przed jej popełnieniem to zaiste zadanie nie lada. Naszym pierwszym i głównym celem jest zapewnienie mademoiselle bezpieczeństwa. A to nie jest rzecz łatwa. Nie, niełatwa to rzecz, Hastings! Nie możemy czuwać nad nią w dzień i w nocy, nie możemy nawet posłać tam policjanta, żeby jej pilnował. Nie możemy spędzić nocy w sypialni młodej dziewczyny. Sprawa najeżona jest trudnościami. Ale możemy zrobić jedną rzecz. Możemy utrudnić mordercy jego zadanie. Możemy ostrzegać mademoiselle, zmuszać ją do ostrożności i możemy ponadto wprowadzić do całej sprawy zupełnie bezstronnego świadka. Tylko bardzo mądry człowiek potrafi sobie poradzić z tego rodzaju sytuacją. - Zamilkł, a po chwili dodał zupełnie innym tonem: - Ale wiesz, czego się obawiam, Hastings?

- No?

- Obawiam się, mój drogi, że mamy do czynienia z bardzo mądrym człowiekiem. I wiesz, że wcale, ale to wcale nie jestem spokojny!

- Poirot, przerażasz mnie!

- Sam jestem zdenerwowany, zapewniam cię. Posłuchaj, mój drogi. Ta gazeta, co leżała w salonie. Czy zauważyłeś, że była otwarta i złożona w ten sposób, że wzrok mój od razu padł na notatkę następującej treści: "Wśród gości hotelu Majestic znajdują się pan Herkules Poirot i kapitan Hastings". Założmy, że ktoś inny również zauważył tę notatkę. Na pewno wie, kim jestem. Każdy ostatecznie zna moje nazwisko.

- Panna Buckley nie знаła - zauważyłem, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Ona się nie liczy, to jeszcze dziecko. Ale poważny człowiek, przestępca, na pewno poznałby moje nazwisko, możesz być spokojny. I przeraziłby się. O tak! Zaczęły się zastanawiać. Zaczęły zadawać sobie pytania. Trzykrotnie organizował zamachy na życie mademoiselle, a teraz nagle Herkules Poirot zjawia się na horyzoncie. "Czy to zbieg okoliczności?", zapyta samego siebie. I będzie się bał, że to nie jest zbieg okoliczności. I co zrobi, jak myślisz?

- Prawdopodobnie przyczał się i będzie się starał zatrzeć ślady.

- Tak... oczywiście... Ale jeżeli jest to człowiek zuchwały, to spróbuje skończyć z tym zaraz, zanim ja zdążę poczynić jakiegokolwiek kroki. Pif, paf! i już jest po wszystkim, mademoiselle nie żyje i koniec! Oto co zrobiłby człowiek zuchwały.

- Ale może po prostu panna Buckley czytała tę notatkę?

- O nie! Gdy wymieniłem swoje nazwisko, widziałem, że ona jej nic nie mówi. Nie zmieniła wyrazu twarzy. Zresztą powiedziała nam przecież, że otworzyła gazetę, żeby spojrzeć na tabelę przypływów i odpływów. Na tej stronie nie było takiej tabeli.

- A więc myślisz, że ktoś w tym domu?...

- Ktoś, kto tam mieszka albo ma tam dostęp. A to nie jest trudne. Okna są otwarte. Jestem pewny, że przyjaciele panny Buckley wchodzą i wychodzą z zupełną swobodą.

- Czy masz jakieś podejrzenia? Poirot wznosił ręce w górę.

- Żadnych! Motyw, Hastings, motyw! Nie widzę go jeszcze. Dlatego ten niedoszły morderca ma taką przewagę nad nami, dlatego działał tak zuchwale dzisiaj rano. Na pozór wydawałoby się, że nie ma człowieka na świecie, który mógłby pragnąć śmierci tej małej Nick. Majątek? Samotny Dom? Zapisany jest na kuzyna. Ale wątpliwe, by kuzyn marzył o posiadaniu bardzo zniszczonego i na dodatek zadłużonego domu. Dla niego nie jest to nawet dom rodzinny. Pamiętaj, że on nie jest z Buckleyów! Musimy koniecznie obejrzyć sobie pana Vyse, ale wydaje mi się, że dużo nam z tego nie przyjdzie. Potem jest ta pani, ta przyjaciółka, ze swoimi dziwnymi oczyma i wyglądem zagubionej Madonny.

- Wiesz, na mnie zrobiła to samo wrażenie! - zdziwiłem się.

- Jaki ona ma w tym interes? Powiada, że Nick jest kłamczuchem. C'est gentille, ça! Dlaczego to mówi? Czyżby obawiała się czegoś, co z kolei mogłaby nam powiedzieć Nick? Czy ma to jakiś związek z samochodem? Czy też użyła samochodu jako pretekstu, a w rzeczywistości obawia się czegoś zupełnie innego? Czy ktoś majstrował przy samochodzie, a jeżeli tak, to kto? I czy ona wie o tym? Potem jest ten przystojny blondyn, ten pan Lazarus. Jaka jest jego rola? Z tym swoim wspaniałym samochodem i ze swoimi pieniędzmi! Czy on jest w jakiś sposób zamieszany w tę dziwną sprawę? Jeżeli idzie o kapitana...

- Co do niego, nie mam żadnych podejrzeń - przerwałem. - Jego jestem zupełnie pewny. To prawdziwy dżentelmen.

- Oczywiście. Jestem przekonany, że uczęszczał, jak to się u was mówi, do "odpowiednich szkół". Na szczęście jako cudzoziemiec nie mam tych waszych okropnych przesądów i mogę się zdobyć na bezstronność. Jednakże przyznaję, że trudno byłoby mi uwierzyć, że kapitan Challenger ma coś wspólnego z tą sprawą.

- Naturalnie, że nie - powiedziałem z przekonaniem. Poirot patrzył na mnie w zamyśleniu.

- Wiesz, Hastings, twoja obecność działa na mnie w przedziwny sposób. Ty zawsze kierujesz swoje podejrzenia na tak oczywiście fałszywy trop, że wprost kusi mnie, żeby iść w przeciwnym kierunku. Należysz do tych absolutnie uczciwych, łatwowiernych i porządnych ludzi, których każdy łądak potrafi nabrać. Należysz do tych, którzy kupują akcje nie istniejących kopalni złota czy złóż nafty. Z takich jak ty, oszuści całego świata żyją i zarabiają na swój codzienny chleb.

Wiesz co? Zajmę się tym kapitanem Challengerem. Wzbudziłeś we mnie głębokie wątpliwości co do jego osoby.

- Poirot! - krzyknąłem zdenerwowany. - Gadasz straszliwe głupstwa! Człowiek taki jak ja, który obijał się przez lata po całym świecie!...

- Nigdy niczego się nie uczy - dodał Poirot ze smutkiem.

- To rzecz zadziwiająca... Ale cóż... tak już jest.

- Czy wyobrażasz sobie, że potrafiłbym rozwinąć moje ranczo w Argentynie, gdybym był takim sakramenckim durniem, za jakiego mnie uważasz?

- Nie złość się, mon ami. Wiem, że rzeczywiście znakomicie prowadziliście to ranczo, ty i... twoja żona.

- Bella - odpowiedziałem - zawsze liczy się z moim zdaniem.

- Jest to kobieta pełna wdzięku i rozumu - rzekł Poirot.

- Nie sprzecajmy się, przyjacielu! O, widzisz, doszliśmy do garażu Motts'a. O ile pamiętam, jest to właśnie ów garaż, o którym wspominała nam panna Buckley. Kilka pytań zaraz nam wyjaśni tę całą sprawę z samochodem.

Weszliśmy do garażu i Poirot przedstawił się, nadmieniając jednocześnie, że został tu skierowany przez pannę Buckley. Najpierw postawił kilka pytań dotyczących ewentualnego wynajmu samochodu i niepostrzeżenie przeszedł na temat uszkodzeń samochodu Nick.

Właściciel garażu natychmiast się ożywił. To najdziwniejsza rzecz, jaka mu się przydarzyła w jego długoletniej praktyce. Niestety, nic się na ty nie znam, a Poirot chyba jeszcze mniej ode mnie. Ale jedno zrozumieliśmy z całą pewnością. A mianowicie, że ktoś rozmyślnie uszkodził wóz. I że nie zabrało mu to ani wiele czasu, ani wysiłku.

- A więc, co do tego mamy absolutną pewność - stwierdził Poirot, gdy oddalaliśmy się od garażu. - Mała Nick miała rację, a ten twój bogaty Lazarus się mylił.

Powiadam ci, mój przyjacielu, że to wszystko razem zaczyna być bardzo interesujące. - Co robimy dalej?

- Idziemy na pocztę i wysyłamy depeszę, jeżeli nie jest jeszcze za późno.

- Depeszę?

- Tak jest, depeszę.

Poczta była jeszcze czynna. Poirot wypisał na blankiecie tekst depeszy i wysłał ją. Nie udzielił mi żadnych informacji co do jej treści. Wiedziałem, że czeka, bym go zapytał, wobec czego oczywiście milczałem jak zaklęty.

- To fatalnie, że jutro jest niedziela - odezwał się, gdyśmy się zbliżali do hotelu. - Nie będziemy mogli zobaczyć się z panem Vyse przed poniedziałkiem.

- Mógłbyś pójść do niego do domu.

- Oczywiście, ale tego właśnie wolałbym uniknąć. Chciałbym przede wszystkim zasięgnąć jego porady prawnej i w ten sposób wyrobić sobie o nim zdanie.

- Rozumiem - zamyśliłem się. - To byłoby najlepsze.

- Odpowiedź na jakieś mało ważne pytanie mogłaby nam nasunąć szereg nowych ewentualności. Jeżeli na przykład pan Charles Vyse znajdował się w swoim biurze o godzinie dwunastej trzydzieści, to przynajmniej będziemy wiedzieli, że nie on oddał strzał do swojej kuzynki.

- Czy nie należało zbadać alibi tej całej trójki jej przyjaciół? - zapytałem.

- To byłoby już znacznie trudniejsze. Każdy z nich mógł ostatecznie odejść na kilka chwil. Przecież wszyscy znajdowali się w tym czasie w hotelu. Mogli wyjść przez któreś z licznych drzwi prowadzących do ogrodu z holu, z salonu, z czytelni pism, z pokoju bilardowego. Cóż, to tylko kwestia kilku minut. Zakraść się do ogrodu, ukryć się w krzakach, oddać strzał i wrócić do towarzystwa. Ale pomyśl, mój przyjacielu, my nawet nie wiemy, czy uwzględniliśmy już wszystkie dramatis personae. Mamy też ową szacowną Ellen i jej nie znanego nam jeszcze męża. Oboje mieszkają w domu panny Nick, mogą mieć do niej jakieś nie znane nam pretensje. A ci również nie znani nam Australijczycy! A poza tym, czy znamy wszystkich przyjaciół i znajomych panny Buckley, o których ona w ogóle nie wspomniała? Wiesz, Hastings, mam dziwne wrażenie, że kryje się tu coś, co w ogóle jeszcze nie zaczęło nawet wychodzić na światło dzienne. Poza tym wydaje mi się, że panna Buckley wie więcej, niż nam powiedziała.

- Czy sądzisz, że coś przed nami ukrywa?

- Tak.

- Z zamiarem chronienia jakiejś osoby? Poirot gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie, nie. Mam wrażenie, że była z nami zupełnie szczerą. Jestem przekonany, że jeżeli chodzi o te zamachy na jej życie, to powiedziała nam wszystko, co wiedziała. Ale tam musi być jeszcze coś - coś, czego związku z całą sprawą ona zupełnie nie podejrzewa. Chciałbym wiedzieć, co to jest. Albowiem ja - mówię to z całą skromnością - jestem człowiekiem o wiele inteligentniejszym od takiej dziewczyny. Herkules Poirot dostrzega związek przyczynowy tam, gdzie ona go nawet nie podejrzewa. Mogę trafić na poszlakę, która zaprowadzi mnie prosto do celu. Powiem ci z całą szczerością, mój drogi, że jestem, jak to się u was mówi, w lesie. Dopóki nie dojrzę jakiegoś cienia logiki w tym wszystkim, będę się poruszał w całkowitych ciemnościach, na chybił trafił. Musi tam być jeszcze coś - jakiś czynnik, któregośmy nie dojrzeli. Co to jest? Je me demande ça sans cesse. Qu'est-ce que c'est?
- Na pewno się domyślasz - powiedziałem, by go pocieszyć.
- Tak, tak - rzekł ponurym tonem - tylko żeby nie było już za późno.

V. PAŃSTWO CROFT

Tego wieczoru w hotelu był dansing. Nick Buckley i jej przyjaciele mieli swój stolik i jedli kolację. Gdy Nick nas zobaczyła, pomachała nam wesoło ręką. Miała na sobie wieczorową suknię ze szkarłatnego szyfonu. Wyglądała w niej prześlicznie. Kolor sukni podkreślał biel jej dekoltu i ramion i czerń falistych włosów.

- Wygląda jak piękny diabełek - zauważyłem.
- W odróżnieniu od swojej przyjaciółki, co? Fryderyka Rice była ubrana na biało. Tańczyła powoli, wdzięcznie i miękko, rzeczywiście stanowiła niezwykły kontrast z żywą i ruchliwą Nick.
- Jest bardzo piękna - powiedział nagle Poirot.
- Kto? Nasza Nick?
- Nie, ta druga. Czy jest dobra, czy zła? Czy po prostu tylko nieszczęśliwa? Jest rzeczywiście kobietą tajemniczą. Być może, iż pod tą tajemniczą powłoką nic się nie kryje. Ale powiadam ci, przyjacielu, ona jest une allumeuse!0.
- Co to znaczy? - spytałem z zainteresowaniem. Potrząsnął głową z uśmiechem.
- Poczujesz to prędzej czy później. Zapamiętaj sobie moje słowa.
- Nagle, ku mojemu zdziwieniu, wstał. Nick tańczyła z Challengerem, Fryderyka i Lazarus właśnie przestali tańczyć i siedli przy stoliku. Lazarus po chwili wstał i oddalił się. Pani Rice pozostała sama. Poirot podszedł prosto do niej. Podążyłem więc za nim.
- Metody jego były zaiste niezwykle bezpośrednie.
- Pozwoli pani? - Usiadł na krześle. - Chciałbym zamienić z panią kilka słów, dopóki pani przyjaciółka tańczy.
- Tak? - głos jej brzmiał chłodno i obojętnie.
- Madame, nie wiem, czy przyjaciółka panią poinformowała, ale dziś rano miał miejsce zamach na jej życie...
- Spojrzała na Poirota wzrokiem pełnym przerażenia.
- Co to znaczy?
- Strzelano do niej z rewolweru w ogrodzie hotelowym. Uśmiechnęła się nagle, uśmiechem pobłażliwym, trochę drwiącym.
- Czy Nick panu to powiedziała?
- Nie, madame. Widziałem to na własne oczy. Tutaj jest kula.
- Wyciągnął rękę, a ona cofnęła się trochę.
- Ale... Ale...
- To nie wytwór wyobraźni panny Buckley, pani rozumie. Gwarantuję za to, co widziałem. Ale to jeszcze nie wszystko. W ciągu ostatnich paru dni miało miejsce kilka bardzo dziwnych wypadków. Może być, że pani o nich słyszała. Pani dopiero wczoraj przyjechała, prawda?
- Tak... wczoraj.
- A przedtem spędziła pani kilka dni u przyjaciół w Tavi stock?
- Tak.
- Czy mogłaby mi pani podać nazwisko tych przyjaciół? Uniosła brwi.
- Bardzo panią przepraszam. Jestem bardzo maladroiti1. Ale widzi pani, sam mam przyjaciół w Tavistock... państwo Buchanan... czy przypadkiem była pani u nich?

Pani Rice potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie znam ich. Nie przypuszczam nawet, żebym się z nimi kiedykolwiek zetknęła. - Mówiła tonem zupełnie przyjaznym. - Ale nie mówmy o nudziarzach. Niech pan opowiada dalej o Nick. Kto do niej strzelił? I dlaczego?

- Jak dotąd, jeszcze nie wiem kto - powiedział Poirot. - Ale się dowiem. O tak! Dowiem się! Czy wie pani, że jestem detektywem? Nazywam się Herkules Poirot.

- To bardzo słynne nazwisko.

- Madame jest doprawdy bardzo uprzejma.

Powiedziała teraz powoli i poważnie:

- Czy mogłabym w czymś pomóc?

Mam wrażenie, że obydwu nas zaskoczyła. Nie spodziewaliśmy się po niej takiego pytania.

- Prosiłbym panią, madame, żeby pani czuwała nad swoją przyjaciółką.

- Oczywiście.

- To wszystko.

Wstał, ukłonił się szybko i powróciliśmy do naszego stolika.

- Poirot - zapytałem - czy nie postępujesz zbyt obcesowo?

- Mon ami, a cóż innego mi pozostało? Wiem, że nie jest to zbyt subtelne, ale chodzi mi tylko o bezpieczeństwo tej młodej osoby. Nie mogę tu ryzykować, rozumiesz? No, ale w każdym razie dowiedzieliśmy się z całą pewnością jednego.

- A mianowicie?

- Pani Rice nie była wcale w Tavistock. Ale gdzie wobec tego spędziła tych kilka dni? Dowiem się. Dla Herkulesa Poirot to nie jest taka trudna sprawa. O, widzisz, ten przystojniak Lazarus wrócił. Ona opowiada mu o nas. On spogląda w naszą stronę. To niegłupi człowiek, powiadam ci. Popatrz na kształt jego czaszki. O, chciałbym teraz wiedzieć...

- Co? - spytałem, gdyż Poirot zamilkł nagle.

- To, co będę już wiedział w poniedziałek. Spojrzałem na niego, ale nie odezwałem się. Westchnął.

- Nie ma w tobie już prawdziwej ciekawości, mon ami. W dawnych czasach...

- Są przyjemności - odpowiedziałem chłodno - bez których lepiej się obejść.

- A mianowicie?

- Przyjemność nieodpowiadania na pytania.

- C'est malin!¹²

- Tak jest.

- No cóż - mruknął Poirot. - Jestem owym silnym, milczącym mężczyzną, ulubioną postacią z wiktoriańskich powieści. - W jego oczach migotały iskierki humoru. Po chwili ujrzeliśmy Nick. Opuściła swojego partnera i przybiegła do naszego stolika jak kolorowy ptak.

- Tańczę nad brzegiem przepaści - oświadczyła.

- To chyba zupełnie nowe uczucie, mademoiselle?

- O tak. Ale raczej bardzo przyjemne. - Machnęła ręką i pobiegła dalej.

- Wiesz, żałuję, że to powiedziała - zamyśliłem się. - Tańczy nad brzegiem przepaści. Nie, to mi się wcale nie podoba.

- Wiem, wiem. To zbyt bliskie prawdy, żeby mogło być dowcipne. Ona ma odwagę, ta mała. Ale niestety, w tej chwili odwaga nic tu nie pomoże. Potrzebna jest ostrożność, nie odwaga - voila ce qu'il nous faut!¹³

Nazajutrz była niedziela. Siedzieliśmy na frontowym tarasie. Była godzina wpół do dwunastej, gdy Poirot nagle się zerwał.

- Chodź, przyjacielu, zrobimy mały eksperyment. Upewniłem się, że pan Lazarus i madame udali się na przejażdżkę samochodem i zabrali ze sobą mademoiselle. Mamy więc wolną drogę.

- Ale do czego?

- Zobaczysz.

Zeszliśmy po stopniach w dół, a następnie przez niewielki trawnik ku furtce, która wychodziła na zygzakowatą dróżkę prowadzącą do morza. Wspinało się na nią właśnie kilku wczasowiczów w kostiumach kąpielowych. Minęli nas, rozmawiając i śmiejąc się.

Gdy znikli nam z oczu, Poirot podszedł do małej, zardzewiałej furtki, na której widniał na pół zatarty napis: SAMOTNY DOM. POSIADŁOŚĆ PRYWATNA. Otworzyliśmy furtkę i weszliśmy.

Po chwili znaleźliśmy się na trawniku przed frontem domu. Nikogo nie było widać. Poirot podszedł do skraju skały i spojrział w dół. Następnie udał się do domu. Francuskie okna wychodzące na werandę były szeroko otwarte i przez jedno z nich weszliśmy sobie spokojnie do salonu. Poirot nie zatrzymał się tam ani na chwilę. Otworzył drzwi i wyszedł do holu. Wspiął się na schody, a ja oczywiście za nim. Weszliśmy do pokoju Nick; siadłszy na brzegu łóżka, spojrzeliśmy na siebie. Poirot mrugnął do mnie.

- No, widzisz, przyjacielu, jakie to łatwe! Nikt nas nie widział. Nikt nas nie zobaczy, gdy będziemy wychodzili. Moglibyśmy zupełnie bezpiecznie i niepostrzeżenie zrobić, co by nam się żywnie podobało. Moglibyśmy na przykład przetrzeć sznur, na którym wisi ten obraz, tak by po kilku godzinach pękł. A nawet gdyby ktoś zobaczył nas wchodzących do domu, to założywszy, że jesteśmy przyjaciółmi pani domu, nie wzbudzilibyśmy niczyich podejrzeń.

- To znaczy, że zupełnie wykluczasz ludzi obcych?

- Tak jest, Hastings. To nie jakiś przygodny obłąkaniec tutaj działa. Musimy szukać naszego zbrodniarza wśród bywalców tego domu.

Wyszliśmy w milczeniu z pokoju. Obydwaj byliśmy nieco zaniepokojeni.

Na podeście zatrzymaliśmy się gwałtownie. Jakiś człowiek wchodził po schodach. Człowiek ten również się zatrzymał. Widzieliśmy, że jest zaskoczony, chociaż twarz jego była w cieniu. Odezwał się pierwszy donośnym, raczej ordynarnym głosem.

- A cóż, u diabła, tutaj robicie?

- Aa! - powiedział Poirot. - Monsieur Croft, jeśli się nie mylę?

- Tak, to ja, ale...

- Wejźmy do salonu. Pogadamy sobie. Myślę, że tak będzie lepiej.

Tamten ustąpił, odwrócił się gwałtownie i zszedł ze schodów, a my tuż za nim. Poirot zamknął drzwi salonu i skłonił mu się uprzejmie.

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Herkules Poirot, do usług. Twarz mężczyzny rozpogodziła się nieco.

- To pan jest tym detektywem! Czytałem o panu.

- W "Herald St. Loo".

- Co? Nie, czytałem o panu jeszcze w Australii. Pan jest Francuzem?

- Nie, Belgiem. To bez znaczenia. A to mój przyjaciel, kapitan Hastings.

- Bardzo mi miło. Ale co to ma znaczyć? Co wy tu robicie? Czy coś się stało?

- To zależy, co pan ma na myśli.

Australijczyk skinął głową. Był to wspaniale zbudowany mężczyzna, przystojny mimo łysiny i niezbyt młodego już wieku. Twarz miał dużą, raczej nalaną.

"Ordynarną" - pomyślałem sobie. Jego najbardziej charakterystyczną cechą był niezwykle błękit przenikliwych oczu.

- Przyszedłem tu, żeby przynieść panie Buckley kilka pomidorów i ogórków - powiedział. - Ten jej ogrodnik jest do niczego. Straszny leń. Nic w ogóle nie uprawia. Wałkoń i tyle. Moja żona i ja po prostu nie możemy już na to patrzeć.

Jako sąsiedzi robimy, co możemy, żeby ta miła panienska też od czasu do czasu miała świeże jarzyny czy owoce. Mamy zresztą znacznie więcej pomidorów, niż nam trzeba. A poza tym sąsiedzi powinni się przyjaźnić, no nie? Jak zwykle wszedłem przez okno i postawiłem koszyk na ziemi i właśnie chciałem odejść, kiedy usłyszałem na górze męskie głosy i odgłos kroków. Pomyślałem sobie, że to dziwne. Nieczęsto zdarzają się włamania w naszych stronach, no ale w końcu wszystko jest możliwe. Pomyślałem sobie, że sprawdzę, co się tam dzieje, no i spotkałem panów schodzących ze schodów. Przyznam się, że byłem trochę zdziwiony. A teraz pan powiada, że jest pan detektywem. Co to ma wszystko znaczyć?

- To zupełnie prosta sprawa - uśmiechnął się Poirot. - Mademoiselle miała raczej nieprzyjemną przygodę w nocy. Obraz niemalże spadł jej na głowę, w dodatku bardzo ciężki obraz. Czy nic panu nie mówiła?

- Opowiadała mi o tym. Miała dziewczyna szczęście.

- Obiecałem jej specjalny łańcuszek, żeby się to więcej nie powtórzyło.

Powiedziała mi wprawdzie, że jej dzisiaj rano nie będzie, ale chciałem zmierzyć długość ramy. Voila, i to wszystko. - Wyrzucił w górę ręce z prostotą dziecka i uśmiechnął się naiwnie. Croft westchnął.

- To wszystko?

- Tak, tak. Niepotrzebnie się pan zdenerwował. Jesteśmy bardzo praworządnyimi obywatelami, mój przyjaciel i ja.

- Czy przypadkiem nie widziałem panów wczoraj? - spytał Croft. - Tak, tak, wczoraj wieczorem. Przechodziliście koło naszego domku.

- To prawda. A pan pracował w swoim ogródku i był pan tak uprzejmy, że pozdrowił nas.

- Pamiętam. A pan jest owym Poirotem, o którym tyle słyszałem. Czy jest pan bardzo zajęty? Bo jeżeli ma pan chwilkę czasu, to chciałbym, żeby pan zaszedł teraz do nas na filiżankę herbaty. To australijski zwyczaj. Moja żona bardzo się ucieszy. Czytała o panu w gazetach.

- To bardzo miło z pańskiej strony. Nie mamy żadnych planów i chętnie przyjmujemy zaproszenie.

- A więc doskonale!

- Czy jesteś pewny, żeśmy dobrze zmierzyli sznur? - zwrócił się do mnie Poirot. Zapewniłem go, że tak, i razem udaliśmy się za naszym nowym znajomym.

Croft był gadułą. Opowiedział nam o swoim domu w Melbourne, o swojej młodości, o tym, jak poznał swoją żonę, o tym, jak razem pracowali i w końcu dorobili się jakiego takiego majątku.

- Postanowiliśmy podróżować - powiedział. - Zawsze marzyliśmy o poznaniu "starego kraju". No i przyjechaliśmy w te strony, próbując odszukać rodzinę żony. Ale nie udało się natrafić na żaden ślad. Potem pojechaliśmy na kontynent

- do Paryża, Rzymu, nad jeziora włoskie, do Florencji, wie pan: do tych wszystkich znanych miejscowości. I właśnie we Włoszech mieliśmy wypadek kolejowy. Moja biedna żona została ciężko ranna. To straszne, prawda? Wezwałem do niej najlepszych lekarzy, jeździliśmy do różnych profesorów, ale wszyscy mówią to samo: na razie nic nie można zrobić. Zapewne z czasem powoli się polepszy. Tymczasem musi leżeć i czekać. Ma uszkodzony kręgosłup.

- Co za okropne nieszczęście!

- Tak, straszny pech! No, ale cóż! Potem chciała już tylko jednego. Osiedlić się w tych stronach, tu, skąd pochodzi jej rodzina. Miała ochotę na własny domek, najmniejszy, ale własny. Uważała, że tak szybciej wydobrzeje. Oglądaliśmy wiele okropnych ruder i wreszcie znaleźliśmy ten domek. Tu jest naprawdę przyjemnie, spokojnie, nie ma samochodów ani cudzych gramofonów. Cisza i spokój. Wynająłem to z miejsca.

W tej chwili znaleźliśmy się przed domkiem Croftów. Nasz rozmówca zawołał głośno: "Kuo!" I z głębi domu odpowiedział mu kobiecy głos tym samym: "Kuo!"

- Proszę, wejdźcie, panowie - zaprosił nas pan Croft i zaprowadził na niewysoką antresolę do przytulnej sypialni. Tam, na sofie, leżała dość tęga kobieta w średnim wieku z siwymi, falującymi włosami i o bardzo miłym uśmiechu.

- Staruszeko, jak myślisz, kogo ci przyprowadziłem? - zapytał pan Croft. - Znakomitego detektywa, Herkulesa Poirot, we własnej osobie. Przyprowadziłem go od razu do ciebie na górę, żebyście sobie mogli pogadać.

- Ach, co za zaszczyt! - wykrzyknęła pani Croft. - Co za przyjemność! - Uścisnęła dłoń Poirota. - Czytałam każde słowo o tej zbrodni w Błękitnym Ekspresie. To nadzwyczajne, że pan właśnie wtedy nim jechał, prawda? No i nie tylko o tym, ale o różnych pana wyczynach czytałam. Od czasu kiedy mam tę historię z kręgosłupem, przeczytałam chyba wszystkie powieści kryminalne świata. Nic innego nie daje człowiekowi zapomnienia. Bert, kochanie, krzyknij na Edith, żeby nastawiła herbatkę.

- Już, staruszeko.

- Edith to moja pomocnica i pielęgniarka - objaśniła pani Croft. - Przychodzi co rano, ubiera mnie i myje. Poza tym nie mamy żadnej służby. Bert jest wspaniałym kucharzem i w ogóle jest szalenie gospodarny. Poza tym nie ma nic innego do roboty. No, pozostaje jeszcze ogród.

- Oto herbata - zawołał pan Croft, stając w drzwiach z tacą w ręku. - To wielki dzień w naszym życiu, co, staruszeko? - To pan spędza tutaj urlop, panie Poirot?

- spytała pani Croft, nalewając herbatę z czajnika.

- Tak, madame, spędzam tutaj urlop.

- Czytałam, że poszedł pan na emeryturę, że wziął pan sobie, że tak powiem, urlop do końca życia.

- Ach, madame, nie powinna pani wierzyć gazetom.

- To prawda? Czyli że pan wciąż jeszcze zajmuje się wykrywaniem zbrodniarzy?
- Jeżeli wypadek mnie interesuje.
- Ale chyba nie przyjechał pan tutaj zawodowo? - dowiadywał się pan Croft. - Bo przecież ostatecznie mógłby pan tylko upozorować urlop, a w rzeczywistości...
- Bert, nie bądź niedyskretny - wtrąciła się pani Croft. - Bo pan Poirot więcej nie zechce do nas przyjść. Jesteśmy prostymi ludźmi, panie Poirot, i pańska dzisiejsza wizyta jest dla nas wielkim wydarzeniem. Panowie nawet nie wiecie, ile sprawiacie nam przyjemności.
- Była taka bezpośrednia i tak prawdziwie uradowana, że wzbudziła we mnie szczerą sympatię.
- Nie podoba mi się ta historia z obrazem - odezwał się pan Croft.
- Ta biedna panienska mogłaby przecież zostać zabita - dodała pani Croft z prawdziwym współczuciem. - Co za temperament! Kiedy przyjeżdża, to wszystko dokoła się ożywia. Nie bardzo ją tu lubią, tak przynajmniej słyszałam. Ale tak już jest w tych różnych angielskich miejscowościach. Wszyscy zadzierają nosa. Nie lubią w dziewczynie temperamentu i wesołości. Wcale się nie dziwię, że tak rzadko tutaj przyjeżdża. A ten jej długonosy kuzyn na pewno nigdy w życiu nie namówi jej, żeby się tu na dobre osiedliła. A poza tym... bo ja wiem...
- Nie plotkuj, Milly - powiedział mąż.
- Aha - odezwał się Poirot - to stąd wiatr wieje! Rozumiem. Już ja wierzę w zdrowy instynkt madame. Pan Charles Vyse kocha się w naszej młodej przyjaciółce?
- Jeszcze jak! Świata poza nią nie widzi - ciągnęła pani Croft. - Ale ona nie wyjdzie za prowincjonalnego adwokata. Wcale jej tego nie mam za złe. On zresztą nie ma pensa przy duszy. Wolałabym, żeby wyszła za tego przystojnego marynarza, jak to on się nazywa... Challengeera. Z takiego małżeństwa na pewno będzie lepszy pożytek niż z jakiegoś tam małżeństwa z rozsądku. On jest wprawdzie starszy od niej, ale co z tego? Jej potrzeba kogoś statecznego. Lata ciągle po świecie z tą swoją przyjaciółką, panią Rice, nawet na kontynent jeżdżą razem. To bardzo dobra dziewczyna, panie Poirot. Ja się na tym znam. Ale martwię się często o nią. Ostatnio wcale nie wygląda na szczęśliwą. Coś ją dręczy, jestem tego pewna. I to mnie martwi. Ja mam powody, żeby się interesować tą dziewczyną, prawda, Bert?
- Pan Croft dość gwałtownie podniósł się z krzesła.
- Nie mówmy o tym, Milly - powiedział. - Czy chciałby pan obejrzeć moje zdjęcia z Australii?
- Reszta naszej wizyty nie była zbyt interesująca. Po dziesięciu minutach pożegnaliśmy się.
- Mili ludzie - zauważyłem. - Prości i sympatyczni. Typowi Australijczycy.
- Podobali ci się?
- A tobie?
- Są bardzo mili... bardzo bezpośredni.
- No więc? Widzę, że masz jakieś zastrzeżenia.
- Byli może trochę za "typowi". Ten okrzyk "Kuoo!" był za bardzo australijski. To naleganie, żebyśmy obejrzel zdjęcia z Australii. Czy nie wydaje ci się, że grali swoje role z odrobiną przesady?
- Ale z ciebie podejrzliwy stary diabeł!
- Masz rację, mon ami. Podejrzewam każdego i o wszystko. Widzisz, boję się, po prostu się boję!

VI. WIZYTA U PANA VYSE

- Poirot jadał oczywiście typowe kontynentalne śniadania. Ja zaś, jak prawdziwy Anglik, jadałem jajka na boczku. Widok ten sprawiał mu prawdziwą przykrość. Toteż wolał, by podawano mu śniadanie do łóżka. Pił kawę z bułeczką, a ja sobie spokojnie zjadałem jajka na boczku i grzanki z pomarańczowymi konfiturami. W poniedziałek rano zajrzałem do jego pokoju. Siedział w łóżku odziany we wspaniałą szlafrok.
- Bonjour, Hastings! Właśnie zamierzałem nacisnąć dzwonek. Napisałem karteczkę i chciałem, żebyś ją zaniósł do Samotnego Domu i wręczył mademoiselle. Wyciągnąłem rękę po kopertę, kiedy Poirot westchnął głęboko.
 - Twoje włosy, Hastings! Gdybyś chciał mnie posłuchać i zrobić sobie przedziałek na środku, zamiast z boku. Wyglądałbyś zupełnie inaczej, symetrycznie j. A te

twoje wasy! Jeżeli już musisz mieć wasy, to zapuść prawdziwe, wspaniałe, sumiaste, takie jak ja.

Zadrzałem na samą myśl o czymś podobnym, wziąłem kopertę i opuściłem pokój. Gdy powróciłem do naszego wspólnego saloniku, zaanonsowano przybycie panny Buckley. Poirot kazał poprosić ją na górę.

Weszła, jak to ona, z wesołym uśmiechem, ale wydawało mi się, że ma podkrażone oczy. W rękę trzymała telegram, który wręczyła Poirotowi.

- Proszę - powiedziała. - Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony.

Poirot odczytał telegram na głos. - "Przyjeżdżam piąta trzydzieści, Madzia".

- Moja opiekunka i piastunka! - powiedziała Nick. - Ale chciałam panu powiedzieć, że robi pan błąd. Madzia jest bardzo głupiotka. Nadaje się tylko do spełniania przysłowiowych dobrych uczynków. Poza tym jest całkowicie pozbawiona poczucia humoru. Freddie nadaje się sto razy lepiej do tropienia ukrytych morderców. A jeszcze lepszy byłby Jim Lazarus. Jim to rzeczywiście inteligentny facet.

- A kapitan Challenger?

- O, George! On nigdy nic nie widzi. Ale, oczywiście, gdyby mu pokazać winnego palcem, to nie darowałby. George byłby niezmiernie pożyteczny, gdyby trzeba się było konkretnie z kimś rozprawić. - Zdjęła szybkim ruchem kapelusz i ciągnęła dalej: - Kazałam wpuścić tego człowieka, o którym pan pisał. Ale o co chodzi? Czy ma zainstalować dyktafon, czy coś podobnego?

Poirot potrząsnął głową.

- Nie, nie, nic tak skomplikowanego. Bardzo prosta i drobna sprawa. Ma coś dla mnie sprawdzić.

- No, dobrze - powiedziała Nick. - Wszystko to razem jest bardzo zabawne.

- Bardzo - powiedział Poirot łagodnie.

Stała chwilę, plecami do nas, i wyglądała przez okno. Potem odwróciła się. Z twarzy jej znikła cała ta dziecinna buta i duma. Po prostu walczyła ze łzami.

- Nie - powiedziała - właściwie to nieprawda. To wcale niezabawne. Boję się. Zwyczajnie się boję. A zawsze myślałam, że jestem odważna.

- Bo pani jest odważna, mon enfant. I ja, i Hastings podziwiamy pani odwagę.

- O tak - dodałem ze szczerym przekonaniem.

- Nie - Nick potrząsnęła głową - nie jestem wcale odważna. Najgorsze jest to oczekiwanie. Cały czas myślę, kiedy i co mi się jeszcze przytrafi. I w jaki sposób, gdzie! I przy tym wiem na pewno, że coś się stanie. To okropne!

- Tak, to rzeczywiście bardzo przykre.

- Wczoraj wieczorem wysunęłam łóżko na środek pokoju i zamknęłam okna i drzwi. Dzisiaj przyszedłam tu okrężną drogą, szosą. Po prostu nie mogłam... nie miałam odwagi iść ogrodem. Nerwy mi nawalają. Do wszystkich moich kłopotów jeszcze to musiało dojść. Tego już za dużo.

- Co pani ma na myśli? Do jakich kłopotów? Przez chwilę milczała.

- Nic szczególnego. To pewnie to, co niektórzy nazywają "wyczerpaniem nerwowym, spowodowanym tempem wielkomiejskiego życia". Za dużo przyjęć, koktajli, papierosów... bo ja wiem. Jestem w bardzo złej formie, to pewne.

Siadła na fotelu, zaciskając i rozwierając nerwowo swoje drobne dłonie.

- Pani nie jest ze mną szczerą, mademoiselle. Pani coś przede mną ukrywa.

- Nie, skąd! Nic, zapewniam pana!

- Pani mi czegoś nie powiedziała.

- Ależ powiedziałam panu każdy najmniejszy szczegół. - Mówiła poważnie i szczerze.

- Owszem, o tych wypadkach, o tych zamachach na pani życie...

- A więc?

- Ale nie powiedziała mi pani, co się dzieje poza tym w pani życiu... w pani sercu.

- Czy można mówić o tych sprawach z kimś obcym? - spytała poważnie.

- Przyznaje się pani! - wykrzyknął Poirot. Potrząsnęła głową, a on przyglądał jej się uważnie.

- A może - zaczął chytrze - a może to nie jest tylko pani sekret?

Zauważyłem, że zatrzepotała gwałtownie powiekami. Ale prawie natychmiast się zerwała.

- Panie Poirot, opowiedziałam panu wszystko, co wiem o tej całej bzdurnej historii. Jeżeli wydaje się panu, że coś ukrywam, że wiem coś o kimś, a nie chcę mówić, to grubo się pan myli. Właśnie fakt, że nikogo, ale to nikogo nie mogę podejrzewać, doprowadza mnie do szału. Zapewniam pana, iż nie jestem idiotką. Wiem dobrze, że te "wypadki" wcale nie były przypadkowe, że to ktoś bardzo sprytny je organizował, ktoś bardzo bliski, ktoś, kto mnie dobrze zna. To jest właśnie najokropniejsze. Ponieważ nie mam pojęcia, najmniejszego pojęcia, kto by to mógł być!

Podeszła do okna i zaczęła wyglądać na ogród. Poirot zrobił znak, żebym się nie odzywał. Liczył, że dziewczyna może jeszcze coś powie teraz, kiedy straciła panowanie nad sobą.

Gdy odezwała się po chwili, głos jej był zupełnie odmieniony, łagodny i jakby marzycielski.

- Wie pan, o czym zawsze marzyłam? Kocham Samotny Dom i zawsze chciałam wystawić tam sztukę teatralną. Jest tam atmosfera... atmosfera dramatu. Wyobrażałam sobie cały szereg sztuk, które by świetnie można było tam wystawić, a teraz, teraz rozgrywa się tam dramat. Tylko że nie ja jestem reżyserem... Jestem natomiast jednym z głównych aktorów, i to mimo woli. Może aktorem, który umiera w pierwszym akcie. - Głos jej się złamał.

- Mademoiselle - głos Poirota był wesoły i stanowczy. - Dość już tego! To histeria. Nie trzeba się poddawać takim myślom. Odwróciła się i spojrzała na niego ostro.

- Czy to Freddie powiedziała panu, że jestem histeryczką? - spytała. - Często mi to mówi. Ale nie trzeba zawsze wierzyć w to, co mówi Freddie. Bywają chwile, wie pan, kiedy ona... kiedy ona nie bardzo wie, co mówi.

Zaległa chwila ciszy, po czym Poirot przeszedł na zupełnie inny temat.

- Niech mi pani powie - zaczął - czy oferowano pani już kiedyś coś za Samotny Dom?

- Pyta pan, czy ktoś chciał go kupić?

- Tak.

- Nie, nikt.

- Czy sprzedałaby go pani za dobrą cenę? Nick pomyślała chwilę.

- Nie, nie sądzę. Chyba że byłaby to tak ogromna suma, iż byłoby śmieszne nie zgodzić się.

- Precisement.

- Nie chciałabym się rozstać z tym domem, wie pan. Jestem do niego bardzo przywiązana.

- Rozumiem to doskonale.

Nick powoli szła ku drzwiom.

- Aha, czy wie pan, że dzisiaj wieczorem będą fajerwerki? Inauguracja tygodnia regat. Przyjdźcie, panowie! Kolacja będzie o ósmej. Fajerwerki rozpoczną się o wpół do dziesiątej. Z mojego ogrodu jest wspaniały widok na zatokę i stamtąd świetnie wszystko zobaczymy.

- Będzie mi bardzo miło.

- Oczekuję obydwu panów - powiedziała Nick.

- Dziękuję pięknie - odezwał się.

- Zabawa to najlepsze lekarstwo na nerwy - rzuciła Nick i wyszła z pokoju.

- Pauvre enfant! - westchnął Poirot.

Wziął swój kapelusz i starannie starł z niego jakiś niewidzialny pyłek.

- Wychodzimy? - spytał.

- Oczywiście. Mamy do załatwienia pewne sprawy u pewnego adwokata, mon ami.

- Tak, tak, rozumiem.

- Człowiek o tak wybitnym umyśle jak ty, Hastings, nie mógłby nie rozumieć, o co chodzi.

Kancelaria Vyse, Treyannion and Wynnard znajdowała się przy głównej ulicy miasteczka. Wspięliśmy się na pierwsze piętro i weszliśmy do pokoju, w którym kilku urzędników nachylało się pilnie nad jakimiś aktami. Poirot spytał o pana Vyse.

Jeden z urzędników wymamrotał coś do słuchawki telefonicznej, otrzymał zapewne odpowiedź przychylną i zaraz zaprowadził nas korytarzem do jakichś drzwi, zapukał i otworzył jeż ukłonem.

Spoza wielkiego biurka zarzuconego licznymi papierami uniósł się pan Vyse, by się z nami przywitać.

Był to wysoki blondyn w okularach, raczej blady, o nieokreślonych rysach twarzy, łysiejący.

Poirot przygotował się starannie na to spotkanie. Miał przy sobie jakąś na szczęście nie podpisaną umowę i przyszedł poradzić się co do pewnych punktów. Pan Vyse tonem bardzo dydaktycznym, wymawiając z przesadną wyrazistością poszczególne słowa, szybko uspokoił obawy Poirota i bez trudu wytłumaczył mu jakieś zagmatwane prawnicze sformułowania.

- Jestem panu niezmiernie zobowiązany - rzekł Poirot. - Jako dla cudzoziemca, rozumie pan, te zwroty prawnicze są dla mnie szalenie trudne do pojęcia.

Wtedy pan Vyse zapytał, kto skierował do niego Poirota.

- Panna Buckley - odpowiedział Poirot z miejsca. - To pańska kuzynka, prawda? Urocza osoba. Wspomniałem przy niej, że jestem w kłopotcie, i od razu skierowała mnie do pana. Próbowałem skontaktować się z panem w sobotę, koło wpół do pierwszej, ale nie było pana.

- Przypominam sobie. Wyszedłem dość wcześnie.

- Pańska kuzynka musi się czuć bardzo samotna w tym wielkim domu. Czy to prawda, że mieszka tam zupełnie sama?

- Tak jest.

- Chciałem pana zapytać, panie mecenasie, czy istnieje możliwość ewentualnego nabycia tej posiadłości.

- Wydaje mi się, że to wykluczone.

- Pan rozumie, że nie pytam z czystej ciekawości. Jestem tym osobiście zainteresowany. Poszukuję właśnie takiego domu dla siebie. Klimat tutejszy bardzo mi odpowiada. Prawdą jest, że dom jest dosyć zaniedbany i że trzeba w niego wpakować dużo pieniędzy. Czy mademoiselle nie zastanowiłaby się, gdyby zaofiarowano jej gotówkę?

- Nie ma o tym mowy - powiedział pan Vyse stanowczo. - Kuzynka moja jest fanatycznie przywiązana do tego starego domu. Nie ma takiej siły, która skłoniłaby ją do sprzedaży. Wiem o tym doskonale. Jest to, pan rozumie, posiadłość rodzinna.

- Doskonale to rozumiem, ale...

- To zupełnie wykluczone. Znam swoją kuzynkę. Jest osobą bardzo szanującą tradycje rodzinne.

Po kilku minutach byliśmy znowu na ulicy.

- No i cóż, przyjacielu? - odezwał się Poirot. - Jakie wrażenie zrobił na tobie pan Charles Vyse? Zastanowiłem się.

- Nieprzyjemne - powiedziałem wreszcie. - To rzeczywiście dziwnie niemiły człowiek.

- Nie można powiedzieć, żeby był silną indywidualnością.

- Masz rację. To typ człowieka, którego nie poznaje się przy drugim spotkaniu. Po prostu nieciekawym.

- Wygląd ma też nieinteresujący. A czy zauważyłeś jakąś niekonsekwencję w tym, co mówił?

- Owszem. W związku z ewentualną sprzedażą Samotnego Domu.

- Właśnie. Czy określiłbyś stosunek panny Buckley do tego domu jako fanatyczne przywiązanie?

- To raczej zbyt mocne określenie.

- No tak, a pan Vyse nie należy do ludzi używających mocnych określeń. Jest typowym adwokatem, ostrożnym w doborze słów. A jednak twierdzi, że mademoiselle jest fanatycznie przywiązana do domu swoich przodków.

- Wcale nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, zwłaszcza dzisiaj rano - powiedziałem. - Jest na pewno przywiązana do swojego domu, ale w granicach rozsądku.

- Wobec tego jedno z nich najwidoczniej kłamie - zamyślił się Poirot.

- Trudno podejrzewać Vyse'a o kłamstwo.

- Co oczywiście bardzo ułatwiłoby mu sytuację, gdyby zechciało mu się skłamać - dorzucił Poirot. - Wygląda tak dostojnie jak sam Jerzy Waszyngton. Czy zauważyłeś jedną rzecz, mój drogi?

- Co?

- W sobotę o godzinie wpół do pierwszej nie było go w biurze.

VII. TRAGEDIA

Gdy tegoż wieczoru zjawiliśmy się w Samotnym Domu, pierwszą osobą, jaką ujrzyliśmy, była Nick. Tańczyła po holu, odziana we wspaniałe kimono haftowane w smoki.

- A, to pan!

- Mademoiselle, jest mi niezmiernie przykro, że to tylko ja.

- Wiem. Ale, widzi pan, czekam na moją suknię od krawcowej. Obiecała... święcie obiecała, że ją przyśle w porę.

- Aha, a więc to sprawa pierwszorzędnej wagi. Odbędzie się dziś wieczorek taneczny, prawda?

- Tak. Idziemy wszyscy zaraz po fajerwerkach. To znaczy mam nadzieję, że wszyscy idziemy - nagle zniżyła głos. Po chwili jednak śmiała się znowu. - Nie trzeba się poddawać! To moje motto. Nie myśleć o troskach, a troski obrażą się i pójdą sobie gdzie indziej. Dzisiaj mam zamiar się bawić i nie myśleć o niczym!

Usłyszeliśmy kroki na schodach. Nick odwróciła się.

- O, Madzia! Madziu, chodź tu i poznaj moich detektywów, którzy chromą mnie przed nieznanymi prześladowcami. Zabierz ich do salonu i niech ci wszystko opowiedzą.

Przedstawiliśmy się Madzi Buckley, a potem udaliśmy się z nią do salonu.

Spodobała mi się na pierwszy rzut oka.

Jej powierzchowność, spokój i cała postawa, z której bił zdrowy rozsądek, wzbudzały natychmiastową sympatię. Było w niej coś staroświeckiego. Nie używała szminki i ubrana była w prostą, czarną, nieco zniszczoną suknię wieczorową.

Miała sympatyczne, jasnoniebieskie oczy i ogromnie przyjemny głos. - Nick opowiadała mi jakieś zupełnie niezwykłe historie - zaczęła. - Chyba jednak przesadza. Któż by chciał zrobić jej krzywdę! Nie ma ani jednego nieprzyjaciela na świecie, ręczę za to!

Patrzyła na Poirota z dezaprobatą. Zrozumiałem, że dla takiej dziewczyny jak Madzia Buckley każdy cudzoziemiec jest podejrzanym osobnikiem.

- Zapewniam panią jednak, że to wszystko jest prawda - rzekł Poirot poważnie. Nie odpowiedziała, ale twarz jej wyrażała wyraźne powątpiewanie.

- Nick jest dzisiaj jakaś dziwna, podniecona - odezwała się po chwili. - Nie wiem, co się z nią dzieje?

Zastanowiła mnie jej wymowa.

- Czy pani jest Szkotką? - spytałem.

- Moja matka jest Szkotką - wyjaśniła.

Patrzyła na mnie ze znacznie większą sympatią niż na Poirota. Czułem, że moje zdanie o tej całej sprawie będzie przez nią brane poważniej niż sądy Poirota.

- Pani kuzynka zachowuje się bardzo dzielnie - powiedziałem. - Udaje po prostu, że nic się nie stało.

- To jedyne wyjście - zaopiniowała Madzia Buckley. - Uważam, że niezależnie od tego, w jakim człowiek jest nastroju, nie powinien tego okazywać otoczeniu. To tylko przykrość dla ludzi postronnych, a człowiekowi samemu nic a nic nie pomaga. - Zamilkła, a po chwili dodała: - Bardzo lubię Nick. Zawsze była dla mnie bardzo dobra.

Zamilkliśmy wszyscy, albowiem w tej samej chwili w salonie zjawiała się Fryderyka Rice. Miała na sobie błękitną suknię i wyglądała bardzo powiewnie i filigranowo. Za nią wszedł Lazarus, a po chwili wpadła Nick. Nick była w czarnej wieczorowej sukni, a wokół ramion udrapowała wspaniały chiński szkarłatny szal.

- Halo! - zawołała. - Czy państwo reflektują na koktajl? Zaaprobowaliśmy wszyscy tę propozycję, a Lazarus uniósł swój kieliszek i powiedział:

- Co za wspaniały szal. To chyba bardzo stara robota, prawda?

- O tak. Przywiózł go mój prapraprastryj Tymoteusz z jednej ze swoich podróży.

- Wspaniały, doprawdy wspaniały. Gdybyś przeszukała cały świat, nie znalazłabyś drugiego takiego samego!

- Jest poza tym bardzo ciepły - powiedziała Nick. - Przyda się później, jak pójdziemy na taras oglądać fajerwerki. I jest wesoły. Nienawidzę koloru czarnego.

- Wiem o tym - odezwała się Fryderyka. - Nigdy nie widziałam cię w czarnym. Dlaczego sprawiłaś sobie tę czarną suknię?

- Bo ja wiem? - Nick odrzuciła głowę w tył, ale usta jej wykrzywiły się w bolesnym grymasie. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Weszliśmy do jadalni na kolację. Pojawił się jakiś tajemniczy lokaj, który podawał do stołu. Jedzenie było nieciekawe, za to szampan doskonały.

- George jeszcze nie wrócił - powiedziała nagle Nick. - To fatalne, że musiał nagle wczoraj jechać do Plymouth. Przypuszczam jednak, że postara się zjawić przed końcem kolacji, w każdym razie na pewno zdaży na dansing. Mam partnera dla Madzi. Dość przystojny, choć może niezbyt interesujący.

Przez okno doszedł nas pomruk motoru.

- To ta wyścigowa motorówka - zachnął się Lazarus. - Zaczynam jej mieć powyżej uszu.

- To nie motorówka - odpowiedziała Nick. - To hydroplan.

- Wiesz, masz rację!

- Oczywiście, że mam rację. Zupełnie inny warkot.

- A ty, Nick, kiedy kupisz sobie samolot?

- Jak zbieram pieniądze - roześmiała się Nick.

- A wtedy pewnie polecisz od razu do Australii, jak ta dziewczyna... zapomniałem jej nazwiska.

- Miałabym wielką ochotę.

- Podziwiam ją bezgranicznie - powiedziała pani Rice swoim zmęczonym głosem. - Co za wspaniała odwaga! I leci sama jedna.

- Ja podziwiam tych wszystkich lotników - dorzucił Jim Lazarus. - Gdyby Michaelowi Setonowi udało się przelecieć dokoła świata, byłby bohaterem dnia, i zupełnie słusznie. To ogromna szkoda, że przepadł tak bez wieści. Takich ludzi trzeba Anglii jak najwięcej.

- Może się jeszcze odnajdzie - powiedziała Nick.

- Mała szansa. Jedna na tysiąc w tej chwili. Biedny Szalony Seton!

- Zawsze go nazywali Szalonym Setonem, prawda? - spytała Fryderyka.

Lazarus potakująco skinął głową.

- Pochodzi zresztą z zupełnie zwariowanej rodziny - dodał. - Jego stryj, sir Matthew Seton, który umarł w zeszłym tygodniu, był doprawdy zupełnie pomieszany.

- To ten zwariowany milioner, który utrzymywał setki rezerwatów dla ptactwa, prawda? - spytała znów Fryderyka.

- Tak, to ten. Skupywał małe wysepki. Nienawidził kobiet. Kiedyś, przed laty, rzuciła go jakaś dziewczyna i żeby się pocieszyć, zabrał się do nauk przyrodniczych.

- Dlaczego mówicie, że Michael Seton nie żyje? - upierała się Nick. - Nic jeszcze nie wiemy.

- Aha, prawda, to twój znajomy - powiedział Lazarus. - Zapomniałem o tym.

- Poznałyśmy go z Freddie w zeszłym roku w Le Touquet. To wspaniały mężczyzna, prawda, Freddie?

- Nie pytaj mnie, kochanie. To był twój flirt, nie mój. Zabrał cię kiedyś ze sobą na przejażdżkę, prawda?

- Tak. W Scarborough. To był wspaniały lot.

- Czy pan leciał już samolotem, kapitanie? - zwróciła się do mnie Madzia.

Musiałem przyznać, że lot do Paryża i z powrotem był jedynym moim wyczynem w tej dziedzinie. Nagle Nick poderwała się z krzesła.

- Telefon! Nie czekajcie na mnie. Robi się późno. A zaprosiłam masę osób.

Wybiegła z pokoju. Spojrzałem na zegarek. Była godzina dziewiąta. Podano deser i porto. Poirot i Lazarus mówili o sztuce. Lazarus twierdził, że jest wielki popyt na obrazy. Następnie przeszli na omawianie dekoracji wnętrz i nowych pomysłów w meblarstwie.

Próbowałem spełniać moje obowiązki towarzyskie w stosunku do Madzi Buckley, ale musiałem przyznać przed samym sobą, że nie była to rzecz łatwa. Odpowiadała w sposób bardzo miły, ale poza tym milczała jak zaklęta. Była to doprawdy trudna robota.

Fryderyka Rice siedziała w zamyśleniu, oparta łokciami na stole, a dym z papierosa otaczał jej bladą twarz niebieskawą mgiełką. Wyglądała jak zamyślony anioł.

Było dokładnie dwadzieścia minut po dziewiątej, gdy Nick wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- No, chodźcie już, moi drodzy! Zwierzęta schodzą się parami, jak do arki Noego. Posłusznie unieśliśmy się z miejsc. Nick witała nadchodzących gości. Zaprosiła około dwunastu osób. Większość z nich nie budziła żadnego zainteresowania. Zauważyłem, że Nick była urodzoną panią domu. Witała każdego ze staroświecką niemal gościnnością. Wśród gości spostrzegłem Charlesa Vyse.

Po chwili wszyscy wyszliśmy do ogrodu, skąd widać było doskonale zatokę. Dla osób starszych poustawiano fotele, ale większość z nas wolała stać. Pierwsze rakiety zaczęły wzbijać się w niebo.

W tej samej chwili usłyszałem donośny, znajomy głos i zobaczyłem, że Nick wita się z panem Croftem.

- Jaka szkoda - mówiła - że pani Croft nie może tu być. Powinniśmy byli przynieść ją na noszach czy na fotelu.

- O tak, ma pecha ta moja nieboraczka. Ale nigdy nie narzeka. Ma najszczęśliwsze usposobienie, jakie sobie można wyobrazić. Ha! Co za rasa!

Deszcz złotych gwiazd opadał właśnie na zatokę.

Noc była ciemna, bezksiężycowa. I jak zwykle w letnie angielskie noce, powietrze było dosyć zimne. Madzia Buckley, która stała obok mnie, wyraźnie drżała w swojej wieczorowej sukience.

- Polecę po płaszcz - szepnęła.

- Pani pozwoli, że ja to zrobię.

- Nie, pan by go nie znalazł.

Pobiegła w stronę domu. W tej samej chwili Fryderyka Rice krzyknęła za nią: - Madziu, przynieś i mój! Jest w moim pokoju!

- Nie usłyszała - zauważyła Nick. - Ja ci przyniosę, Freddie. Przy okazji wezmę sobie futerko. Ten szal wcale mnie nie grzeje. A jeszcze do tego ten wiatr!

Rzeczywiście, od zatoki wiał ostry, porywisty wiaterek.

Z przystani zaczęto teraz puszczać fajerwerki.

Wdałem się w rozmowę z jakąś starszą panią, która wygłosiła dłuższy referat na temat stanu swojego zdrowia, swoich planów na przyszłość i swoich gustów.

Deszcz zielonych gwiazd rozprysł się po niebie. Zmieniły się w czerwone, potem w srebrne.

I jeszcze jeden, i jeszcze jeden.

- Wszyscy najpierw krzyczą "Oo", a potem "Aa" - odezwał się obok mnie Poirot. - Po pewnym czasie staje się to monotonne. Brrr! Trawa jest mokra i zaczynam odczuwać reumatyzm w nogach. Zapłacę za ten wieczór. Na pewno się przeziębnię. I mowy nie ma, żeby w tym kraju napić się przyzwoitej tisanel¹⁵.

- Przeziębnić się? W taką piękną noc? Dajże spokój!

- Piękna noc! Piękna noc! Mówisz tak, bo nie leje jak z cebra. U was jak tylko nie leje, to już jest wspaniała pogoda. Ale powiadam ci, mój drogi, że gdybyśmy mieli tu mały termometr, zobaczyłbyś, kto ma rację.

- No cóż - przyznałem - nie będę ukrywał, że chętnie sam też włożyłbym płaszcz.

- Masz rację. Nie zapominaj, że wróciłeś niedawno z gorącego klimatu.

- Przyniosę ci twój.

Poirot uniósł w górę najpierw jedną nogę, potem drugą, ruchem leniwego kota.

- Dla mnie najgorsza jest wilgoć, i to od ziemi. Brrr! Czy sądzisz, że udałoby się znaleźć gdzieś parę kaloszy?

Powstrzymałem się od śmiechu.

- Mowy nie ma. Takich rzeczy już się teraz nie nosi.

- W takim razie posiedzę sobie w salonie. Nie mam zamiaru zakatarzyć się dla głupich sztucznych ogni. Jeszcze złapię fluxion de poitrine¹⁶!

Mrucząc coś pod nosem, Poirot oddalił się w stronę domu. Z przystani doszedł mnie odgłos oklasków, gdyż właśnie puszczano jakiś wspaniały fajerwerk, jeśli się nie mylę, statek z napisem: "Witamy Drogich Gości!"

- W głębi serc naszych - powiedział Poirot w zamyśleniu - jesteśmy wszyscy małymi dziećmi. Les feux d'artificiel¹⁷, przyjęcia, gry w piłkę! Tak, wszystko to nas bawi... Nawet kuglarz, który zwodzi ludzki wzrok... Mais qu'est-ce que vous avez¹⁸?

Chwyciłem go jedną ręką za ramię, a drugą wskazałem przed siebie.

Znajdowaliśmy się w odległości jakichś osiemdziesięciu metrów od domu. A tuż przed nami, niedaleko otwartego francuskiego okna, leżała skulona postać dziewczęca otulona w chiński szal.

- Mon Dieu!... - szepnął Poirot. - Mon Dieu!...

VIII. FERALNY SZAL

Przez chwilę staliśmy sparaliżowani grozą, niezdolni do zrobienia najmniejszego ruchu, ale wydawało nam się, że to trwa godzinę. Poirot wreszcie ruszył naprzód, idąc jak automat.

- Stało się - szepnął, a w głosie jego zabrzmiała wielka gorycz. - Mimo wszystko stało się! Mimo wszystkich moich środków ostrożności, stało się! Co za nędznik ze mnie, co za dureń! Dlaczego nie pilnowałem jej lepiej? Powinienem był przewidzieć... Nie powinienem był opuścić jej nawet na sekundę.

- Nie rób sobie wyrzutów.

Z trudem wydawałem z siebie głos, język miałem jakby przykuty do podniebienia. Poirot tylko potrząsnął głową. Ukląkł przy leżącej dziewczynie.

W tej samej chwili przeżyliśmy drugi szok.

Albowiem usłyszeliśmy wesoły, srebrzysty głos Nick, a po chwili ona sama ukazała się w drzwiach prowadzących z salonu na ogród.

- Daruj, Madziu, że tak długo się grzebałam - zawołała - ale... - urwała i spojrzała z przerażeniem na leżącą w trawie dziewczynę.

Poirot odwrócił zwłoki dziewczyny i obydwaj nachyliliśmy się nad nieruchomą już twarzą Madzi.

Nick jak strzała podbiegła ku nam. Wydała okrzyk grozy.

- Madziu, Madziu, to niemożliwe!...

Poirot wciąż nachylał się nad zwłokami, badając, czy nie tli się w nich jeszcze iskra życia. Po chwili jednak podniósł się z wolna z ziemi.

- Czy ona... czy ona?... - głos Nick załamał się.

- Tak, mademoiselle. Nie żyje.

- Ale dlaczego? Dlaczego? Któż by chciał ją zabić?

- Nikt jej nie chciał zabić, mademoiselle. Morderca godził w panią. To szal wprowadził go w błąd.

Nick wydała znów dziki okrzyk rozpacz.

- Dlaczego nie mnie? - zapłakała. - Oo! dlaczego mnie nie zabili? Nie chcę już żyć! Pożegnałabym się z życiem zaraz!... I to z radością!...

Wyrzuciła ręce w górę i jak pijana zatoczyła się po trawniku. Otoczyłem ją szybko ramieniem, żeby nie upadła.

- Zabierz ją do domu, Hastings - powiedział Poirot. - I zadzwoń po policję.

- Policję?

- Mais oui! Powiedz im, że zastrzelono kobietę. I nie opuszczaj mademoiselle Nick. Pod żadnym pozorem.

Skinąłem głową na znak zrozumienia. Podtrzymując na wpół omdlałą dziewczynę, zaprowadziłem ją do salonu. Ułożyłem ją na kanapce, podłożywszy jej pod głowę poduszkę, a potem wybiegłem do holu w poszukiwaniu telefonu.

Drgnąłem, gdyż niemalże wpadłem pędem na Ellen, która stała tam z dziwnym wyrazem na swojej zacnej, nieśmiałej twarzy. Oczy jej błyszczały, zwilżała suche wargi językiem. Ręce jej drżały jak w wielkim zdenerwowaniu. Gdy tylko mnie zauważyła, odezwała się:

- Czy... czy stało się coś, proszę pana?

- Tak - odpowiedziałem krótko. - Gdzie jest telefon?

- Ale nic... nic złego, proszę pana?

- Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek - powiedziałem wymijająco. - Muszę zatelefonować.

- Kto miał wypadek? - Na jej twarzy malowała się ciekawość.

- Panna Buckley, panna Madzia Buckley.

- Panna Madzia? Panna Madzia? Czy pan jest pewny, proszę pana? To znaczy, mam na myśli... czy pan jest pewny, że to panna Madzia?

- Zupełnie pewny. Ale o co chodzi?

- O nic! Myślałam, że to może inna z pań. Myślałam, że chodzi o... o... o panią Rice.

- Gdzie jest telefon? - spytałem. - Tu, w tym małym pokoiku. - Otworzyła drzwi i wskazała mi aparat.

- Dziękuję - odpowiedziałem. A że wyraźnie nie zamierzała odchodzić, dodałem: - To już wszystko, dziękuję.

- Pan chce wezwać doktora Grahama?

- Nie, nie. To wszystko. Niech pani już idzie.

Wycofała się niechętnie i bardzo powoli; pomyślałem sobie, że na pewno będzie podsłuchiwała pod drzwiami, ale na to nie miałem już żadnej rady. Ostatecznie za chwilę dowie się o wszystkim.

Dodzwoniłem się do komisariatu i przekazałem im wiadomość, a potem już z własnej inicjatywy zatelefonowałem do doktora Grahama, o którym wspomniała Ellen.

Znalazłem jego numer w książce telefonicznej. Nick powinna dostać jakiś środek uspokajający, zdecydowałem. Wiedziałem, że żaden lekarz nie zdołałby już pomóc tej biednej dziewczynie, której zwłoki leżały na trawniku przed domem. Graham przyrzekł, że przybędzie natychmiast. Odwiesiłem słuchawkę i wyszedłem do holu. Jeżeli nawet Ellen podsłuchiwała pod drzwiami, to udało jej się zniknąć w tempie błyskawicznym. Hol był pusty. Poszedłem do salonu. Nick próbowała się unieść z kanapki.

- Czy pan... czy pan mógłby mi przynieść koniaku?

- Oczywiście.

Pobiegłem do jadalni i znalazłem koniak. Nick wypić kilka łyków i poczuła się wyraźnie lepiej. Powoli twarz jej zaczynała nabierać naturalnych kolorów.

Poprawiłem poduszkę pod jej głową.

- To straszne! - zadrżała. - Jakież to wszystko straszne!

- Wiem, moja droga, rozumiem.

- Nie, nic pan nie wie. Nie może pan wiedzieć. To wszystko takie okropnie niepotrzebne. Gdybym to była ja... tam... byłoby wreszcie po wszystkim.

- Nie powinna pani tak mówić.

- Pan nie wie! Pan nie może wiedzieć! - powtarzała tylko. Nagle zaczęła płakać.

Płakała cichutko, beznadziejnie, jak małe dziecko. Pomyślałem sobie, że to jej pewnie dobrze robi, i siedziałem przy niej bez słowa.

Gdy uspokoiła się trochę, podszedłem do okna i wyjrzałem na ogród. Przed chwilą słyszałem gwar głosów i teraz zobaczyłem, że wszyscy zgromadzili się dokoła Madzi, chociaż Poirot próbował trzymać ich z daleka.

Spostrzegłem dwie umundurowane postaci, zbliżające się do grupy na trawniku.

Przybyła policja.

Cichutko powróciłem do Nick, która podniosła ku mnie twarz zalaną łzami.

- Czy nie jestem tam potrzebna?

- Nie, moja droga. Poirot wszystko załatwi. Może pani być zupełnie spokojna.

Nick milczała przez dłuższą chwilę.

- Biedna Madzia! Biedna, kochana Madzia! Taka dobra dziewczyna. Nigdy w życiu nikomu krzywdy nie zrobiła. I to właśnie ją musiało coś takiego spotkać. Czuję, jakbym to ja ją zabiła. Po co ją tu sprowadzałam?

Potrząsnęła głową ze smutkiem. Jakże trudno przewidzieć cokolwiek w życiu. Gdy Poirot namawiał Nick na zaproszenie do siebie jakiejś przyjaciółki, nawet na chwilę nie przypuszczał, że tym samym podpisał wyrok śmierci na nieszczęsnej dziewczynie.

Siedzieliśmy w milczeniu. Paliliśmy się, żeby zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie, ale lojalnie spełniałem instrukcje Poi- rota i nie ruszałem się z miejsca.

Wydało mi się, że minęły godziny, gdy wreszcie drzwi się otworzyły i Poirot wraz z inspektorem policji weszli do salonu. Za nimi szedł człowiek, który zapewne był doktorem Grahamem. Od razu podszedł do Nick.

- Jak się pani czuje? To musiał być dla pani silny szok. - Zbadał jej puls. -

Nie najgorszy. - Zwrócił się do mnie: - Czy dał jej pan coś?

- Trochę koniaku.

- Nic mi nie jest - szepnęła Nick.

- Czy może pani odpowiadać na pytania?

- Oczywiście.

Inspektor chrząknął i podszedł bliżej. Nick uśmiechnęła się do niego blado.

- Tym razem nie chodzi o zbyt szybką jazdę, co? - rzekła. Domyśliłem się, że się znają.

- To straszna tragedia - powiedział inspektor. - Bardzo mi przykro. Jest tu pan Poirot, którego nazwisko jest mi dobrze znane i którego obecnością tutaj jesteśmy prawdziwie zaszczytzeni. Pan Poirot powiada, że o ile mu wiadomo, strzelano do pani niedawno na terenie ogrodu hotelu Majestic. Nick skinęła głową.

- Myślałam, że to osa - odezwała się - ale okazało się, że nie.

- I przedtem miała pani kilka raczej dziwnych wypadków?

- Tak jest.

Opowiedziała pokrótce o wszystkim.

- Rozumiem. Jak to się stało, że kuzynka pani miała na sobie pani szal?

- Poszłyśmy po płaszcz dla niej. Wie pan, było nam zimno w ogrodzie. Rzuciłam szal tu na tę kanapkę i poszłam na górę po płaszcz, który mam w tej chwili na sobie. Poszłam też do pokoju pani Rice po futerko dla niej. Leży tam, na podłodze pod oknem. Madzia krzyknęła, że nie może znaleźć swojego okrycia. Powiedziałam jej, że pewnie jest na dole. Zeszła na dół i krzyknęła, że wciąż nie potrafi go znaleźć. Powiedziałam, że pewnie zostawiła je w samochodzie. Miała tylko jeden wełniany płaszcz - nie miała żadnej futrzanej narzutki wieczorowej - więc zaofiarowałam się, że przyniosę jej coś z moich rzeczy. Ale zawołała, że już nie trzeba, że owinie się moim szalem. Spytałam, czy nie będzie jej za zimno, ale odpowiedziała, że nie, że w Yorkshire bywa znacznie chłodniej i że jest przyzwyczajona do takich wieczorów. Po prostu chciała coś na siebie narzucić. Powiedziałam, że dobrze i że już schodzę na dół. A gdy zeszłam... gdy zeszłam...

Zamilkła i znów rozplakała się.

- Proszę pani, niech pani się uspokoi. Niech mi pani tylko jeszcze powie, czy słyszała pani jeden czy dwa strzały?

Nick potrząsnęła głową.

- Nic... tylko wybuchy sztucznych ogni.

- No, oczywiście! - powiedział inspektor. - Kto by odróżnił strzał w tym piekielnym hałasie! Przypuszczam, że nie ma pani pojęcia, kto robi te wszystkie zamachy na pani życie?

- Najmniejszego pojęcia. Nie wyobrażam sobie w ogóle...

- Oczywiście, że nie - przerwał jej inspektor. - Jakiś maniak, tak to przynajmniej wygląda. Paskudna historia. Cóż, na dziś nie mam więcej pytań. Niech mi pani wierzy, że szczerze pani współczuję.

Wystąpił doktor Graham.

- Chciałbym zaproponować, żeby pani tu nie zostawała. Mówiłem już z panem Poirot na ten temat. Jestem w kontakcie z bardzo dobrą kliniką. Pani przeżyła szok. Potrzeba pani zupełnego spokoju...

Nick nie patrzyła na niego, lecz na Poirota.

- Czy to z powodu szoku? - spytała.

- Chciałbym, żeby się pani poczuła bezpiecznie, mon enfant. I ja sam chciałbym mieć poczucie bezpieczeństwa. Będzie pani pod opieką dobrej pielęgniarki. Spokojnej, rutynowanej, pozbawionej wszelkiej wyobraźni pielęgniarki. Będzie ona u pani boku przez całą noc. Gdy się pani obudzi, ona będzie przy pani. Pani rozumie?

- Tak - powiedziała Nick. - Rozumiem. Ale pan nie rozumie. Ja już się nie boję. Mnie jest teraz zupełnie wszystko jedno, co się stanie. Jeżeli ktoś ma ochotę mnie zamordować, to proszę bardzo.

- To nerwy - szepnąłem.

- Kiedy wy nic nie wiecie! Żaden z was nic nie wie!

- Uważam plan pana Poirota za bardzo dobry - wtrącił się doktor Graham. - Zabiorę panią swoim samochodem. Damy pani coś na sen. Prześpi się pani. No i co pani na to?

- Wszystko mi jedno... róbcie, panowie, co chcecie... Poirot nakrył dłonią jej rękę.

- Ja wiem, mademoiselle. Ja wiem, co pani czuje. Stoję przed panią w rozpacz, zawstydzony i zdruzgotany. Ja, który obiecałem panią chronić, zawiodłem na całej linii. Jestem nędznikiem. Ale niechaj mi pani wierzy, mademoiselle, że serce mi krwawi na myśl o tym, co się stało. Gdyby pani wiedziała, jak cierpię, na pewno by mi pani przebaczyła.

- Oczywiście - powiedziała Nick jakimś nowym, martwym głosem. - Niech pan sobie nie robi żadnych wyrzutów. Nikt tu nic nie mógł zrobić, nikt nie potrafiłby temu zapobiec, jestem tego zupełnie pewna.

- Pani jest doprawdy wspaniałomyślna, mademoiselle.

- O nie, ja...

Urwała, gdyż drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł George Challenger.

- Co się stało? - krzyknął. - W tej chwili przyjechałem. Jakiś policjant stoi przed bramą i powiadają, że tu ktoś nie żyje. Kto? Mówcie, na miłość boską. Czy... czy... czy... Nick?

Strach w jego głosie był wprost wstrząsający i nagle uprzytomniłem sobie, że Poirot oraz doktor Graham całkowicie zasłaniają mu Nick leżącą na kanapie. Zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć, Challenger powtórzył:

- To chyba niemożliwe!... Mówcie!... Nick żyje?

- Oczywiście, mon ami - powtórzył Poirot. - Żyje.

Odsunął się tak, żeby Challenger mógł zobaczyć drobną figurkę Nick. Przez chwilę młody człowiek patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem, potem zatoczył się jak pijany i szepnął:

- Nick, Nick! - Rzucił się na kolana przed kanapą, ukrył twarz w dłoniach i krzyknął stłumionym głosem: - Nick... kochana moja... myślałem, że nie żyjesz! Nick próbowała się unieść.

- Nic mi nie jest. Nie bądź niemądry. Jestem zdrowa i cała. Challenger uniósł głowę i spojrzał dokoła dzikim wzrokiem.

- Ale przecież ktoś tu został zabity? Tak mówił policjant.

- Tak - westchnęła Nick. - Biedna Madzia! O Boże! Zalała się łzami. Poirot z lekarzem podeszli do niej, pomogli jej wstać i wyprowadzili ją z pokoju.

- Im prędzej znajdzie się pani w łóżku, tym lepiej - zauważył doktor. - Zabiorę panią moim samochodem. Prosiłem panią Rice, żeby spakowała walizeczkę. Zniknęli za drzwiami. Challenger chwycił mnie za ramię.

- Nie rozumiem. Dokąd oni ją zabierają?

Objasniłem mu.

- Rozumiem. Hastings, na miłość boską, niech mi pan powie, co się stało? Co za straszna tragedia! Biedna Madzia!

- Chodźmy się czegoś napić - zaproponowałem. - Pan jest zupełnie roztrzęsiony.

- To dobra myśl. Przeszliśmy do jadalni.

- Widzi pan - tłumaczył się - myślałem, że to może Nick. - Wypił szybko szklanekę whisky z wodą sodową.

Nie miałem już teraz żadnych wątpliwości co do uczuć kapitana Challengegera wobec Nick. Trudno było sobie wyobrazić bardziej zakochanego człowieka.

IX. OD A. DO J.

Do końca moich dni na pewno nie zapomnę tego, co działo się owej nocy. Poirot był tak załamany wyrzutami sumienia, że rzeczywiście nie wiedziałem, co z nim zrobić. Miotał się po pokoju jak lew w klatce, obrzucał samego siebie wyzwiskami, głuchy na moje słowa pociechy.

- To kara za zbytnią zarozumiałość! - jęczał. - Zostałem ukarany, tak, zostałem ciężko ukarany! Byłem zbyt pewny siebie.

- Nie mów tak - wtrąciłem.

- Ale któż by mógł przypuszczać, komu mogłoby wpaść do głowy!... Coś podobnego! Taka bezczelność! Wydawało mi się, że przedsięwzięłem wszelkie środki ostrożności. Ostrzegłem zbrodniarza...

- Ostrzegłeś zbrodniarza?

- Mais oui! Zwróciłem jego uwagę na moją osobę. Dałem mu do zrozumienia, że podejrzewam... kogoś. Wydawało mi się, że stworzyłem sytuację zbyt niebezpieczną dla niego, że w tych warunkach nie odważy się na próbę morderstwa. Otoczyłem mademoiselle prawdziwym kordonem. A on nic sobie z tego nie robi. Wykonuje swoje zamiary, i to pod moim nosem. Mimo wszystko... mimo że jesteśmy czujni, on robi swoje.

- Tylko że nie osiągnął swego celu - dodałem.

- To czysty przypadek. Z mojego punktu widzenia wychodzi na jedno. Jedno życie ludzkie zostało zgaszone, Hastings, a każdy człowiek jest w jakiś sposób potrzebny.

- Oczywiście, nie to miałem na myśli.

- Ale z drugiej strony, masz rację. I dlatego powiadam ci, że to znacznie gorzej. Dziesięć razy gorzej! Dlatego właśnie, że morderca jeszcze nie osiągnął swego celu. Czy rozumiesz, przyjacielu? Sytuacja zmieniła się na gorsze. Albowiem ofiarą może teraz paść nie jedno życie ludzkie, ale dwa.

- Niemożliwe. Przecież ty tu jesteś! Uścisnął mi rękę.

- Merci, mon ami! Widzę, że masz wciąż jeszcze zaufanie do starego Poirota. Nie straciłeś wiary we mnie. Wlewasz świeżą odwagę w moje serce. Herkules Poirot nie zawiedzie po raz drugi! Nie będzie drugiej ofiary! Naprawię swój błąd, albowiem gdzieś musiał być błąd. Gdzieś zbrakło porządku i logiki w moim zazwyczaj tak uporządkowanym procesie myślenia. Zacznę od początku. Tak, zacznę jeszcze raz od początku. A tym razem... nie zawiodę.

- A więc uważasz, że życie Nick Buckley jest wciąż jeszcze narażone na niebezpieczeństwo?

- Przyjacielu, pomyśl, czy inaczej posłałbym ją do kliniki?

- A więc nie z powodu szoku?

- Szoku? Nonsens! Z szoku można się wyleczyć z równym powodzeniem w domu, jak i w klinice. Nawet lepiej, jeśli już o tym mowa. Klinika to w gruncie rzeczy obrzydliwa rzecz. Korytarze wyłożone zielonym linoleum, szepty pielęgniarek, okropne jedzenie przynoszone na tacach, wieczne mycie tego czy tamtego. O nie, umieściłem ją tam, żeby jej zapewnić bezpieczeństwo. Zwierzyłem się temu lekarzowi, zgodził się z miejsca. Wszystko obiecał zaaranżować. Nikt, mon ami, nawet najbliżsi jej przyjaciele nie będą mieli do niej dostępu. Tylko ty i ja będziemy mogli odwiedzać pannę Buckley. Pour les autres¹⁹ - "zakaz lekarski" i tyle.

- Tak - rzuciłem. - Ale...

- Ale co, Hastings?

- To nie może trwać wiecznie.

- Bardzo słuszna obserwacja. Ale da nam to nieco oddechu. Zdajesz sobie, mam nadzieję, sprawę z tego, że charakter naszej działalności zmienił się radykalnie.

- W jaki sposób?

- Naszym początkowym zadaniem było zapewnienie mademoiselle bezpieczeństwa. Nasze obecne zadanie jest o wiele prostsze, albowiem jest to zadanie, do którego mamy odpowiednie przygotowanie i do którego przywykliśmy od dawna. Zadaniem naszym jest odkrycie mordercy.

- I ty uważasz, że to jest prostsze?

- Oczywiście, że prostsze! Morderca, jak już powiedziałem, zostawił jak gdyby swój podpis na miejscu zbrodni. Ujawnił się.

- Czy myślisz... - zawahałem się na chwilę - czy myślisz, że policja ma rację? Że to jest po prostu wariat, niebezpieczny maniak?

- Jestem zupełnie pewny, że to absolutny nonsens.

- A więc naprawdę myślisz?...

Zamilkłem. Poirot z powagą dokończył to, co chciałem powiedzieć.

- Że morderca jest kimś z najbliższego otoczenia panny Buckley? Tak, mon ami, właśnie tak uważam.

- Ale chyba to, co stało się wczoraj wieczorem, wyklucza tę możliwość. Byliśmy wszyscy razem i...

Przerwał mi:

- Czy mógłbyś przysiąc, że żadna, ale to żadna z obecnych tam osób nie opuściła ani na chwilę naszej części ogrodu? Czy mógłbyś przysiąc, że widziałeś wszystkich przez cały czas?

- Nie - powiedziałem powoli. - Nie mógłbym chyba przysiąc. Było ciemno. Wszyscy właściwie kręciliśmy się po terenie. Pamiętam panią Rice, Lazarusa, ciebie, Crofta, ale żebym wszystkich zawsze widział naraz, tego nie mogę powiedzieć. Poirot skinął głową.

- Oczywiście. Była to kwestia kilku minut. Dziewczyny poszły do domu. Morderca wymyka się niepostrzeżenie i ukrywa za wielkim klonem. Nick Buckley... tak

przynajmniej mu się zdaje... wychodzi przez francuskie okno do ogrodu, znajduje się jakieś półtora metra przed nim. On oddaje trzy szybkie strzały...

- Trzy? - przerwałem mu.

- Tak. Tym razem nie ryzykował. Znaleźliśmy trzy kule w zwłokach.

- To było jednak ryzykowne.

- Mniej ryzykowne niż oddanie jednego strzału. Wiesz, że strzał z mauzera nie jest bardzo głośny. Złał się doskonale z wybuchami fajerwerków.

- Czy znalazłeś pistolet? - spytałem.

- Nie. I w tym widzę niezaprzeczalny dowód, że nie było to dzieło obcego człowieka. Zgadza się, że pistolet panny Buckley został po to ukradziony, by jej śmierci nadać charakter samobójstwa.

- Tak jest.

- To jedyne wytłumaczenie, prawda? Ale teraz sprawa ma się zupełnie inaczej. Nikt już nie próbował tu pozorować samobójstwa. Morderca wie już, że nie dalibyśmy się na to nabrać. On wie, że my wiemy, ot co!

Zamyśliłem się nad logiką rozumowania Poirota.

- Jak myślisz? Co on zrobił z pistoletem? Poirot wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ale ostatecznie miał pod ręką całe morze. Jeden silny ruch i pistolet wpada w wodę, gdzie go już nikt nigdy nie znajdzie. Nie możemy tu mieć oczywiście żadnej pewności, ale ja bym tak postąpił.

Zrobiło mi się trochę zimno od jego spokojnego tonu.

- Czy myślisz... czy myślisz, że on wie, iż zabił inną osobę?

- Jestem pewny, że już teraz wie. Tak, to musiała być dla niego przykra niespodzianka. I na dodatek musiał trzymać fason, żeby się z tym nie zdradzić. W tej chwili pomyślałem sobie o dziwnym zachowaniu Ellen. Opowiedziałem całą tę scenę Poirotowi. Słuchał z wielkim zainteresowaniem.

- Była zdziwiona, gdy się dowiedziała, że to Madzia nie żyje?

- Bardzo zdziwiona.

- To ciekawe. Ale fakt, że coś strasznego się stało, nie był dla niej niespodzianką. Tak, w tym coś jest, trzeba będzie zbadać tę sprawę. Kto to właściwie jest ta Ellen? Taka spokojna, budząca zaufanie, taka prawdziwa Angielka. Czyżby ona?...

- Jeżeli weźmiesz pod uwagę i tamte wypadki, to chyba przyznasz, że tylko silny mężczyzna mógł stoczyć ten wielki głaz ze skały.

- Niekoniecznie. To właściwie kwestia dźwigni. Kobieta mogła równie dobrze stoczyć ten głaz.

W dalszym ciągu powoli chodził po pokoju.

- Każdy, kto wczoraj był w Samotnym Domu, jest podejrzany. Ale tamci goście? Nie, nie wyobrażam sobie, żeby to był któryś z nich. Byli to przeważnie tak zwani znajomi. Między nimi a panią domu nie ma więzów przyjaźni, to widać od razu.

- Był i Charles Vyse - dorzuciłem.

- Tak, nie należy o nim zapominać. Jeżeli rozumować logicznie, to on jest właściwie najbardziej podejrzany. - Wyrzucił ręce w górę i opadł na fotel. - Voila! Zawsze ta sama historia! Motyw! Musimy znaleźć motyw, jeżeli chcemy zrozumieć przyczyny zbrodni. I tu, mój drogi, jestem zupełnie bezradny. Kto by mógł mieć motyw dla zabicia panny Buckley? Przychodziły mi do głowy najdziwaczniejsze pomysły. Zacząłem nawet rozumować kategoriami najmniejszych powieści kryminalnych. Ten dziadek, ten Stary Nick, jakoby przepuścił wszystkie pieniądze. Pomyślałem sobie, że może tak wcale nie było. Może on je gdzieś ukrył? Czy na terenie Samotnego Domu? Czy może zakopał je gdzieś w ogrodzie? I dlatego też (aż mi się przykro przyznać) dowiadywałem się, czy ktoś proponował jej kupno tego domu.

- Wiesz co, Poirot - odezwałem się. - To bardzo interesujący pomysł. W tym może coś być.

Poirot jęknął.

- Oczywiście, że tobie to się podoba. To właśnie coś dla twojej romantycznej, choć nieco ograniczonej natury. Ukryty skarb! Tak, to musi ci się podobać.

- Cóż... nie widzę powodu, dlaczego by nie...

- Albowiem, mój drogi przyjacielu, bardziej prozaiczne wytłumaczenie jest znacznie logiczniejsze. Weźmy teraz ojca mademoiselle. Widzisz, miałem nawet

jeszcze głupsze myśli. Był podróżnikiem. Powiedzmy, że ukradł jakiś klejnot; jakiś święty, wschodni kamień. Kapłani sekty są na jego tropie. O tak, ja, Herkules Poirot, poniżyłem się do tego stopnia. Miałem jeszcze inne myśli na temat tego ojca. Pomysły może bardziej rozsądne, a zatem prawdopodobniejsze. Czyżby w czasie swoich podróży zawarł drugie małżeństwo? Czy wobec tego znajduje się gdzieś bliższy spadkobierca niż pan Vyse? Ale i ta myśl nigdzie nie prowadzi, albowiem natrafiamy na takie same trudności. Przecież mademoiselle nie ma żadnego majątku. Nie zaniedbałem niczego. Zająłem się nawet wyjaśnieniem przypadkowo rzuconej przez pannę Nick uwagi o ofercie zrobionej jej przez pana Lazarusa. Czy przypominasz sobie? Chodziło o portret jej dziadka. W sobotę wysłałem depeszę do pewnego rzeczoznawcy z prośbą o przybycie i wycenienie obrazu. O nim to pisałem dziś rano do mademoiselle. Załóżmy teraz, że obraz ten wart jest kilka tysięcy funtów.

- Nie przypuszczasz chyba, że taki zamożny młodzieniec, jak Jim Lazarus?...

- A czy jest zamożny? Pozory mylą. Nawet najstarsza firma w marmurowych salonach z kryształowymi kandelabrami może opierać się na przegniłych filarach. I co się wtedy robi? Czy lata się i opowiada na prawo i lewo, że nadeszły ciężkie czasy? O nie! Kupuje się luksusowy samochód. Wydaje się nieco więcej pieniędzy niż zazwyczaj. Żyje się w sposób jeszcze bardziej wystawny niż dotąd. Albowiem, jak wiesz, grunt to kredyt! Ale zdarzało się już, że najsolidniejsze firmy nagle bankrutowały z powodu braku głupich kilku tysięcy funtów w gotówce. Wiem, wiem! - krzyknął, uprzedzając mój protest. - To bardzo mało prawdopodobne. Ale nie takie głupie, jak ci zazdrośni kapłani i ten zakopany skarb. W każdym razie jest tu jakiś cień prawdopodobieństwa. A nam nie wolno zaniedbać nic, co by mogło nas zbliżyć do prawdy.

Zaczął bardzo starannie układać przedmioty leżące na stole. Gdy znów przemówił, głos jego był poważny i po raz pierwszy tego wieczoru spokojny.

- Motyw! - rzucił. - Wróćmy do motywu i rozważmy zagadnienie spokojnie i metodycznie. A więc, ile w ogóle istnieje motywów morderstwa? Jakie są motywy, które skłaniają człowieka do zgładzenia swojego bliźniego? Odrzućmy na chwilę sprawę patologicznych przestępców. Jestem całkowicie przekonany, że nasza droga nie prowadzi w tym kierunku. Wykluczamy także zabójstwo w afekcie. Nasze morderstwo to akcja zimna, wyrachowana. Jakie są motywy tego rodzaju morderstwa? Otóż przede wszystkim zysk. Kto mógłby zyskać na śmierci panny Buckley? Zyskać bezpośrednio lub pośrednio? Należy tu przede wszystkim wziąć pod uwagę Charlesa Vyse. Dziedziczy posiadłość, która z finansowego punktu widzenia prawdopodobnie nie jest warta funta kłaków. Mógłby ewentualnie spłacić hipotekę, zbudować na całym terenie małe wille i sprzedać je z niewielkim zyskiem. Posiadłość miałaby dla niego pewną wartość, gdyby był do niej przywiązany jako do majątku rodzinnego. Istnieje ten instynkt w bardzo wielu ludziach i znane są wypadki, kiedy dla zaspokojenia tego instynktu ludzie popełniali zbrodnie. Ale w wypadku pana Vyse nie widzę, szczerze mówiąc, tego motywu.

Druga osoba, która mogłaby skorzystać na śmierci panny Buckley, to jej przyjaciółka, pani Rice. Ale spadek, jaki odziedziczyłaby, jest rzeczywiście minimalny. Nikt inny, o ile się orientuję, nie zyskałby na śmierci tej dziewczyny.

Jakie są poza tym motywy? Nienawiść albo miłość, co zamieniła się w nienawiść. Crime passionel. Zabójstwo w afekcie. Tutaj mamy informację spostrzegawczej pani Croft, że zarówno kapitan Challenger, jak i Charles Vyse kochają się w pannie Buckley.

- Myślę, że jeżeli chodzi o tego pierwszego, to mogliśmy się przekonać o jego uczuciach na własne oczy - uśmiechnąłem się.

- O tak, ten prostoduszny marynarz nie ukrywa bynajmniej swoich uczuć. Jeżeli chodzi o tego drugiego, to mamy tylko zdanie pani Croft. Gdyby Charles Vyse czuł, że szansę jego maleją, czy sądził, że jest to człowiek o wystarczająco silnych namiętnościach, by posunąć się aż do zbrodni? Czy wolałby zabić swoją kuzynkę, niż wyobrazić ją sobie jako żonę innego?

- To brzmi bardzo melodramatycznie - zauważyłem.

- To brzmi, chciałeś powiedzieć, zupełnie nie po angielsku. Zgadza się. Ale nawet Anglicy mają uczucia. A taki typ jak Charles Vyse na pewno. Jest to młody człowiek pełen kompleksów. Nie potrafi, co prawda, uzewnętrznić swoich uczuć,

ale tacy ludzie są często szarpani wewnętrznymi namiętnościami. Nigdy nie podejrzewałbym kapitana Challengeera o morderstwo z powodów czysto emocjonalnych. Nie, nie, to zupełnie nie ten typ. Ale jeżeli chodzi o tamtego, to całkiem możliwe. Jednakże ta hipoteza mnie nie zadowala. Inny motyw - zazdrość. Oddzielam go rozmyślnie od poprzedniego, albowiem zazdrość niekoniecznie musi mieć podkład erotyczny. Istnieje zazdrość o czyjąś wyższość intelektualną, o cudzy majątek. Istnieje zazdrość taka, jaka skłoniła Jagona do popełnienia jednej z najperfidniejszych zbrodni, jakie zna historia kryminologii. Rozumiesz, mówię teraz jako fachowiec.

- Dlaczego uważasz, że to była taka perfidna zbrodnia? - spytałem.

- Parbleu! Ponieważ znalazł sobie innych wykonawców. Wyobraź sobie dziś przestępcę, któremu w żaden sposób nie możesz nałożyć kajdanków, ponieważ nigdy sam nie popełnił ani jednej zbrodni. Ale nie na ten temat chciałem teraz mówić. Czy zazdrość, jakakolwiek zazdrość, może być motywem zbrodni? Kto mógłby zazdrościć mademoiselle? Inna kobieta? Mamy tylko madame Rice i o ile nam wiadomo, nigdy nie było między tymi dwiema kobietami żadnego współzawodnictwa. Ale i tu wiemy to tylko, co widzimy. I w tym może coś być! Wreszcie strach. Czy panna Nick jest wtajemniczona w czyjś sekret? Czy wie coś, co mogłoby zrujnować życie innego człowieka, gdyby zostało rozgłoszone? Jeżeli tak, to sądzę, iż możemy z całą stanowczością twierdzić, że sama nie ma o tym zielonego pojęcia. Ale wiesz, to jest zupełnie możliwe! Tak, tak, to wcale niewykluczone. I dlatego uważam, że sprawa nabiera nowych aspektów. Jeśli bowiem mademoiselle ma w rękach klucz do całej zagadki i nie zdaje sobie z tego sprawy, to nie będzie w stanie podzielić się z nami tą ważną wiadomością.

- Czy rzeczywiście tak przypuszczasz?

- To jest hipoteza. Jestem zmuszony do rozważenia jej, dlatego że nie potrafię znaleźć żadnej innej przyzwoitej i trzymającej się kupy teorii. Gdy wyeliminowało się wszystkie inne teorie, człowiek z natury rzeczy chwytą się ostatniej, która mu pozostaje, i powiada sobie, że to musi być właśnie ta! Przez dłuższy czas w pokoju panowało milczenie.

Poirot siedział w głębokim zamyśleniu, po chwili zaś wziął kartkę papieru i pióro i zaczął coś pisać.

- Co piszesz?

- Mon ami, układam listę. Listę osób z najbliższego otoczenia Nick. Na tej liście, jeżeli moja teoria jest coś warta, musi znajdować się nasz morderca. Pisał może przez dwadzieścia minut, potem przesunął kartkę ku mnie.

- Voila, mon ami. Powiedz, co o tym sądzisz? Oto co zobaczyłem na kartce:

A. Ellen.

B. Jej mąż - ogrodnik

C. Ich dziecko

D. Pan Croft

E. Pani Croft

F. Pani Rice

G. Pan Lazarus

H. Kapitan Challenger I. Pan Charles Vyse I?

A. Ellen. Podejrzana. Jej zachowanie się i słowa wypowiedziane po odkryciu zbrodni. Mogła lepiej niż ktokolwiek aranżować "wypadki", mogła wiedzieć o istnieniu pistoletu, jednak jest rzeczą nieprawdopodobną, by potrafiła majstrować przy samochodzie. Na ogół poziom umysłowy dość niski.

Motyw: Żaden, chyba nienawiść spowodowana nie znanym nam wydarzeniem.

Zalecenia: Przeprowadzić wywiad co do przodków, ustalić ich pochodzenie i stosunek do N.B.

B. Jej mąż. To samo co powyżej. Bardziej prawdopodobne, że majstrował przy samochodzie.

Uwaga: Przesłuchać go!

C. Dziecko. Wykluczamy.

Uwaga: Należy przeprowadzić rozmowę, może dać cenne informacje.

D. Pan Croft. Jedyna okoliczność obciążająca: spotkanie na schodach prowadzących do sypialni. Miał gotowe wyjaśnienie, które mogło być prawdziwe. Ale może i nie! Nic o nim nie wiemy.

Motyw: Żaden.

E. Pani Croft. Żadnych okoliczności obciążających. Motyw: Żaden.

E Pani Rice. Okoliczności obciążające. Pełna możliwość działania. Prosiła N.B. o przyniesienie płaszcza. Próbowała rozmyślnie stworzyć wrażenie, że N.B. lubi kłamać i że nie należy wierzyć w jej relację o "wypadkach". Nie było jej w Tavistock w chwili, gdy "wypadki" miały miejsce. Gdzie była?

Motyw: Zysk? Mało prawdopodobne. Zazdrość? Możliwe, ale nic tu nie wiemy.

Strach? Także możliwe, ale nic nie wiemy.

Uwaga: Przeprowadzić na ten temat rozmowę z N.B. Prawdopodobnie coś związanego z małżeństwem ER.

G. Pan Lazarus. Podejrzany. Pełna możliwość działania. Oferta kupna obrazu.

Powiedział, że hamulce były w zupełnym porządku (tak twierdzi ER.). Mógł być w okolicy przed piątkiem.

Motyw: Żaden. Chyba że zysk z kupna obrazu. Strach ? Mało prawdopodobne.

Uwaga: Dowiedzieć się, gdzie był J.L. przed przyjazdem do St. Loo. Zorientować się w finansowym położeniu firmy Aaron Lazarus i Syn.

H. Kapitan Challenger. Podejrzany. Był w okolicy przez cały tydzień, a więc pełna możliwość aranżowania "wypadków". Przybył na miejsce zbrodni w pół godziny po jej dokonaniu.

Motyw: Żaden.

L Pan Vyse. Podejrzany. Nie było go w biurze w chwili, gdy padł strzał w ogrodzie. Miał okazję aranżowania "wypadków". Prawdopodobnie mówił nieprawdę w sprawie sprzedaży Samotnego Domu. Skryty. Prawdopodobnie wiedział o istnieniu pistoletu.

Motyw: Zysk? Niewielki. Miłość lub nienawiść? Możliwe przy jego usposobieniu.

Lęk? Mało prawdopodobne.

Uwaga: Dowiedzieć się, kto jest właścicielem hipoteki. Dowiedzieć się o stanie finansowym firmy Vyse'a.

J. ?. Możliwość istnienia J., czyli kogoś' z zewnątrz, pozostającego w kontakcie z jednym z wyżej wymienionych osobników. Jeżeli tak, to prawdopodobnie z A., D., E. lub F. Istnienie J. wyjaśniałoby po pierwsze fakt, że Ellen wcale nie była zaskoczona zbrodnią, a przeciwnie, nawet zadowolona (ale to mogło wynikać z zadowolenia z czyjejkolwiek śmierci, które jest tak rozpowszechnione wśród tak zwanej służby domowej), po drugie przyczynę, dla której Croftowie wynajęli domek, a po trzecie powód lęku F.R. przed wyjściem na jaw jakiegoś sekretu względnie jej zazdrości.

Czytając, czułem na sobie wzrok Poirota.

- Prawda, że to prawdziwie angielski wywód? - spytał z dumą. - Wiem, że znacznie lepiej piszę po angielsku, niż mówię.

- To doskonała notatka - powiedziałem z podziwem. - Jest jasna i wyczerpuje wszystkie możliwości.

- Tak - odrzekł w zamyśleniu, odbierając kartkę z moich rąk. - I z tego wszystkiego rzuca się w oczy przede wszystkim jedno nazwisko: Charles Vyse. On miał największe szansę. Daliśmy mu do wyboru dwa motywy. Ma foi, gdyby to była lista koni wyścigowych, to chyba on wystartowałby jako faworyt, co?

- Oczywiście, jest w tej chwili najbardziej podejrzany ze wszystkich.

- A jednak zwykle, mój drogi, podejrzewasz najmniej podejrzanego ze wszystkich osobników. Niewątpliwie jest to wynik czytania zbyt wielu powieści kryminalnych. W życiu jednakże okazuje się z reguły, że mordercą jest człowiek, który od pierwszej chwili wydaje się najbardziej podejrzany.

- Czy naprawdę uważasz, że tak jest i tym razem?

- Jedna rzecz przemawia przeciwko temu. Śmiałość, z jaką morderca postępuje. To jego najbardziej charakterystyczna cecha. Jest odważny - ba! - zuchwały. I dlatego powiadam, motyw nie może być oczywisty.

- Twierdzisz tak od początku.

- I będę to mówił dalej.

Nagłym, gwałtownym gestem zmiął kartkę i rzucił ją na ziemię.

- Nie! - krzyknął, gdy próbowałem zaprotestować. - Ta cała lista jest do niczego. Tyle że rozjaśniła mi trochę w głowie. Porządek i metoda! To pierwszy

etap moich poszukiwań. Uszeregowanie faktów w sposób jasny i precyzyjny. Drugi etap...

- Tak?

- Drugi etap wymaga znajomości psychologii. Trzeba tu zaprząć do pracy szare komórki, mój drogi. A tobie, Hastings, radzę, żebyś poszedł spać.

- O nie! - powiedziałem. - Chyba że ty też pójdziesz. Nie zamierzam zostawić cię samego.

- O, najwierniejszy z psów! Ale czy nie rozumiesz, że nie możesz mi w żaden sposób pomóc w myśleniu? Mam bowiem zamiar robić dziś tylko jedną jedyną rzecz - myśleć!

Potrząsałem głową.

- Może zechcesz przedyskutować ze mną jakiś szczegół?

- Jesteś rzeczywiście chyba najlojalniejszym z przyjaciół. W takim razie usiądź przynajmniej wygodnie w fotelu.

Propozycję tę przyjąłem. Po chwili poczułem, że pokój zaczyna powoli wirować i kołysać się. Ostatnia rzecz, którą pamiętam, to widok Poirota nachylającego się nad zmiętą garścią papierków i wrzucającego je starannie do kosza od śmieci. Potem musiałem chyba zasnąć.

X. TAJEMNICA NICK

Gdy obudziłem się, był już biały dzień.

Poirot siedział w tym samym miejscu, gdzie przedtem. Na jego twarzy malowały się jednak zupełnie nowe uczucia. Oczy błyszczały mu jak u kota. Wiedziałem, że jest na tropie.

Z trudem wygramoliłem się z fotela. Spanie w fotelu nie jest przyjemnością, którą mógłbym polecić z czystym sumieniem. Jedną tylko ma zaletę. Obudziłem się z umysłem rzeźkim i bystrym, a nie jak zazwyczaj po długiej nocy w łóżku - rozespany i rozleniwiony.

- Poirot! - krzyknąłem. - Widzę, że masz jakiś pomysł! Skinął głową, pochylił się do przodu i zaczął palcami bębnić po stole.

- Dajże mi, Hastings, odpowiedź na trzy następujące pytania: dlaczego panna Nick ostatnio źle sypia po nocach? Dlaczego sprawiła sobie czarną suknię, skoro nigdy nie nosi tego koloru? Dlaczego powiedziała wczoraj, że teraz nie ma już po co żyć?

Spojrzałem na niego. Pytania te wydały mi się raczej nie na temat.

- Odpowiedz na te pytania, no, odpowiedz!

- Cóż? Co do pierwszego, to mówiła sama, że miała ostatnio jakieś kłopoty.

- Ot co! Jakże to były kłopoty?

- A co do czarnej sukni? Bo ja wiem, każda kobieta lubi zmianę od czasu do czasu.

- Jako człowiek żonaty powinieneś znać lepiej psychologię kobiet, mój drogi. Jeżeli kobieta uważa, że jest jej niedobrze w jakimś kolorze, to go nie nosi.

- A co do ostatniego pytania. Nie widzę w tym nic dziwnego. Była to zupełnie naturalna reakcja po tym, co się stało.

- Nie, mon ami, to wcale nie była rzecz naturalna. Że była przerażona śmiercią kuzynki, że robiła sobie wyrzuty - to wszystko jest oczywiste. Ale tamto? Mówiła o życiu z jakimś dziwnym zmęczeniem, jakby rzeczywiście miała go dość. Nigdy nie wykazywała tego rodzaju skłonności. Kpiła sobie z niebezpieczeństwa, naigrawała się z nas, a potem, potem, gdy się przekonała, że sprawa jest poważna, przestraszyła się. Zaczęła się bać, dlatego że szkoda jej było życia, dlatego że nie chciała umierać. Nick zmęczona życiem? Skądże znowu! Nigdy! Nawet przed kolacją była jeszcze wesoła jak szczygieł. Mamy tu, Hastings, do czynienia z przemianą natury psychologicznej. I to jest ciekawe, bardzo ciekawe. Co przyczyniło się do tak radykalnej zmiany?

- Szok spowodowany śmiercią kuzynki.

- Wątpię. Szok tylko rozwiązał jej język. Ale założmy, że ta zmiana nastąpiła przed wypadkiem. Co mogło być jej przyczyną?

- Nie wiem.

- Myśl, mój drogi! Wpraw w ruch szare komórki!

- Rzeczywiście...

- Kiedy mieliśmy możliwość obserwowania jej z bliska po raz ostatni?
- Przypuszczam, że w czasie kolacji.
- Jasne. Potem widzieliśmy tylko, jak przyjmowała gości, jak ich witała. To czysta formalność. A co się zdarzyło pod koniec obiadu, przypomnij sobie.
- Poszła do telefonu - powiedziałem wolno.
- A la bonne heure! No, nareszcie! Poszła do telefonu. I nie było jej przez dłuższy czas. Co najmniej dwadzieścia minut. To długo jak na rozmowę telefoniczną. Z kim mówiła przez telefon? Czego się dowiedziała? Czy rzeczywiście telefonowała? Musimy zbadać, co działo się przez te dwadzieścia minut, albowiem wtedy znajdujemy poszlakę, której szukamy.
- Czy naprawdę tak myślisz?
- Mais oui! Mais oui! Powiadam ci, i to nie po raz pierwszy, że mademoiselle ukrywa coś przed nami. Wydaje jej się, że to nie ma żadnego związku z morderstwem, ale Herkules Poirot wie lepiej. Widzę w tym ścisły związek. Cały czas uświadamiam sobie, że brak mi tu jakiegoś bardzo ważnego ogniwa. Gdyby nie to brakujące ogniwo, cała sprawa byłaby dla mnie od dawna jasna. A nie jest jasna! Wcale nie jest jasna! Eh bien, a więc brakujące ogniwo jest kluczem do naszej zagadki. Jestem zupełnie tego pewien. Muszę znać odpowiedź na te trzy pytania. A wtedy... wtedy... zacznę widzieć...
- Wiem - powiedziałem, przeciągając się. - Myślę, że przydałaby mi się teraz gorąca kąpiel.
- Gdy się wykapałem i przebrałem, poczułem się lepiej. Sztywność nóg i rąk nieco ustąpiła. Zasiadłem do śniadania, przekonany, że pierwszy łyk gorącej kawy postawi mnie ostatecznie na nogi.
- Przejrzałem gazety, w których nie było nic nowego, z wyjątkiem potwierdzenia śmierci Michaela Setona. Ten śmiały lotnik zginął. Jutro, pomyślałem sobie, nagłówki będą już brzmiały: "Morderstwo dziewczyny w czasie fajerwerków. Tajemnicza tragedia", lub coś w tym rodzaju.
- Właśnie skończyłem śniadanie, gdy do mego stolika podeszła Fryderyka Rice. Miała na sobie sukienkę z czarnego jedwabiu z białym, plisowanym kołnierzykiem. Jej jasne włosy odcinały się jeszcze bardziej niż zazwyczaj od tego ciemnego tła.
- Chciałabym się zobaczyć z panem Poirot, kapitanie Hastings - powiedziała. - Nie wie pan, czy już wstał?
- Pójdę z panią na górę - zaofiarowałem się. - Jest w swoim pokoju.
- Dziękuję.
- Mam nadzieję - dodałem, gdy opuszczaliśmy jadalnię - że spała pani dobrze tej nocy.
- Ach, ogromnie się zdenerwowałam, chociaż nie znałam tej biednej dziewczyny.
- Nigdy je pani przedtem nie widziała?
- Raz, w Scarborough. Przyjechała na obiad do Nick.
- Dla jej rodziców będzie to straszna tragedia.
- Straszna.
- Powiedziała to tonem raczej obojętnym. Egoistka - pomyślałem. Nie wzruszało jej nic, co nie dotyczyło jej osobiście.
- Poirot był już po śniadaniu i siedział nad porannymi gazetami. Wstał i przywitał się z Freddie z całą swoją francuską galanterią.
- Madame - powiedział - enchanté!
- Podsunał jej fotelik. Podziękowała mu bladym uśmiechem i usiadła. Położyła dłonie na poręczach fotela. Siedziała wyprostowana, sztywna, ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Nie zaczynała rozmowy. Było coś niemalże przerażającego w jej milczeniu, w jej oderwaniu od zewnętrznego świata.
- Proszę pana - powiedziała wreszcie - czy pan jest zdania, że to, co stało się wczoraj, to dalszy ciąg tych wszystkich wypadków, które ostatnio miały miejsce? Jednym słowem, że zamierzoną ofiarą była w gruncie rzeczy Nick?
- Madame, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Fryderyka zmarszczyła brwi.
- Nick ma wielkie szczęście - powiedziała, a w głosie jej zabrzmiała jakaś dziwna nuta.
- Szczęście - mruknął Poirot - jest zmienne. Tak przynajmniej powiadają.
- Możliwe. W każdym razie nie należy mu się sprzeciwiać. - Głos jej był jakiś dziwnie znużony. Po chwili dodała: - Muszę pana przeprosić, panie Poirot. I Nick

też. Aż do wczorajszego wieczoru nie wierzyłam, że niebezpieczeństwo rzeczywiście istnieje.

- Czyżby, madame?

- Teraz widzę, że trzeba będzie zbadać dokładnie wszystkie okoliczności. Domyślam się, że najbliżsi przyjaciele Nick nie będą wcale wyłączeni ze śledztwa. To śmieszne, ale chyba nieuniknione. Czy mam rację?

- Madame, jest pani kobietą bardzo inteligentną.

- Pytał mnie pan przedwczoraj, co robiłam w Tavistock. Ponieważ wiem, że wcześniej czy później i tak się pan dowie, chciałam powiedzieć panu prawdę. Widzi pan, ja wcale nie byłam w Tavistock. - Nie?

- Na początku tygodnia przyjechałam z panem Lazarusem samochodem do Kornwalii. Nie chcieliśmy narażać się na płotki i zatrzymaliśmy się w małej miejscowości Shellacombe.

- To, zdaje się, jakieś siedem mil stąd?

- Tak, chyba będzie tyle. - Wciąż to znużenie i obojętność.

- Czy wolno mi zadać pani niedyskretne pytanie, mada- me?

- Nie wiedziałam, że w dzisiejszych czasach istnieją jeszcze takie pytania.

- Kto wie, może ma pani rację. Jak długo jest pani zaprzyjaźniona z panem Lazarusem?

- Poznałam go sześć miesięcy temu.

- I pani, pani żywi dla niego uczucie?... Fryderyka wzruszyła ramionami.

- Jest... bogaty.

- Oh la la! - zawołał Poirot. - Nie powinna pani tak mówić.

Rozbawiło ją to.

- Czy nie lepiej, że mówię to sama, aniżeli by pan miał tak powiedzieć?

- No tak... oczywiście. Czy pozwoli pani, że powtórzę? Jest pani bardzo inteligentna.

- Za chwilę wyda mi pan dyplom. - Fryderyka uniosła się z fotela.

- Nie ma pani mi nic innego do powiedzenia, madame?

- Chyba nie... nic. Zaniosę teraz Nick kilka kwiatków i dowiem się, jak się czuje.

- O, to bardzo miło z pani strony. Dziękuję pani za szczerość, madame.

Spojrzała na niego bystrym wzrokiem, otworzyła usta, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, i wyszła z pokoju, uśmiechnawszy się do mnie blado, gdy otwierałam jej drzwi.

- Inteligentna kobieta - powiedział Poirot - ale Herkules Poirot też nie jest w ciemnię bity.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chciała mnie przekonać o wielkiej zamożności pana Lazarusa. To wcale niezłe.

- Muszę powiedzieć, że jest to dla mnie obrzydliwe.

- Mon cher, masz zawsze fałszywe reakcje. W tej chwili to nie jest sprawa dobrego tonu. Jeżeli pani Rice ma bogatego przyjaciela, który zaspokaja wszystkie jej potrzeby, to oczywiście pani Rice nie zamordowałaby swojej przyjaciółki dla głupich paru pensów. Tak czy nie?

- O! - powiedziałam tylko.

- Precisement!

- Dlaczego nie zabroniłeś jej odwiedzać Nick?

- Po co? Czy to Herkules Poirot zabrania, żeby madame odwiedzała swoją najlepszą przyjaciółkę? Skąd? Quelle idee! To pomysł lekarza i pielęgniarek. Te nieznośne pielęgniarki! Pełne zakazów i nakazów.

- A więc nie boisz się, że ją wpuszczą? Nick na pewno będzie nalegała.

- Nikt jej nie wpuści, mój drogi. Wpuszczą tylko ciebie i mnie. Ale, a propos, im prędzej tam pójdziemy, tym lepiej.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł George Challenger. Na jego opalonej twarzy malowała się nie tajona wściekłość.

- Panie Poirot! - krzyknął. - Co to ma znaczyć? Zadzwońnię do tej przeklętej kliniki, w której umieściliście Nick. Spytałem, jak się czuje i o której mógłbym ją odwiedzić. A tam powiadają, że lekarz zabronił wszelkich wizyt. Co to ma znaczyć? Czy to przypadkiem nie pana robota? Czy też Nick rzeczywiście rozchorowała się od szoku?

- Zapewniam pana, monsieur, że nie mam nic wspólnego z regulaminem kliniki. Nigdy bym się nie ośmielił. Niechże pan zadzwoni do tego lekarza... Jakże on się nazywa?... Zdaje się, Graham...

- Dzwoniłem do niego. Powiada, że Nick czuje się nieźle. Znam się na tym ich gadaniu. Sam mam stryja, który jest lekarzem. Neurologiem na dodatek. Psychoanalitykiem. Już ja się znam na tych słodkich słówkach, jakimi oni uspokajają rodziny swoich pacjentów. Poza tym nie wierzę, żeby Nick nie chciała się z nikim widzieć. To pan w tym palce maczał!

Poirot uśmiechnął się do niego życzliwie. Już dawno zauważyłem, że Poirot ma słabość do zakochanych.

- Niech pan mnie posłucha, mon ami - powiedział. - Jeżeli wpuszczą jednego gościa, to będą musieli wpuszczać wszystkich. Pan rozumie. Albo wszyscy, albo nikt. Chodzi nam o zapewnienie mademoiselle bezpieczeństwa, tak czy nie? No więc? Sam pan rozumie, że tak być musi.

- Rozumiem - powiedział Challenger powoli. - Ale w takim razie...

- Dość. Nie mówmy więcej na ten temat. Zapomnijmy nawet, o czym mówiliśmy przed chwilą. Ostrożność, ostrożność i jeszcze raz ostrożność, oto zadanie chwili.

- Potrafię trzymać język za zębami - powiedział spokojnie marynarz. Odwrócił się do drzwi, a wychodząc, rzucił jeszcze przez ramię: - Nie ma zakazu co do kwiatów, co? Chyba żeby były białe.

Poirot uśmiechnął się.

- A teraz - powiedział, gdy drzwi zamknęły się za porywczym kapitanem - podczas gdy pan Challenger i madame, a prawdopodobnie i pan Lazarus, spotykają się w kwiaciarni, my spokojniutko jedziemy sobie do mademoiselle.

- I poprosimy ją o odpowiedź na nasze trzy pytania?

- O tak, poprosimy. Chociaż, prawdę mówiąc, znam wszystkie trzy odpowiedzi.

- Naprawdę?

- Tak.

- Kiedy się dowiedziałaś?

- Podczas śniadania, mój drogi. Po prostu rzuciły mi się same w oczy.

- No, to powiedz!

- Nie, chcę, żebyś je usłyszał od mademoiselle.

I zaraz, jakby chciał odwrócić moją uwagę, podsunął mi przed oczy jakiś list. Była to opinia eksperta, któremu Poirot powierzył ocenę portretu Nicholasa Buckleya. Był on, zdaniem fachowca, wart najwyżej dwadzieścia funtów.

- Jedna rzecz wyjaśniona - oświadczył Poirot.

- W tej dziurze myszy nie ma - powiedziałem, przypomniawszy sobie jeden z ulubionych aforyzmów Poirota.

- Aa, widzę, że pamiętasz moje stare powiedzonka. Masz rację, mój drogi, nie ma żadnej myszy w tej dziurze. Dwadzieścia funtów, a pan Lazarus ofiarował z miejsca pięćdziesiąt. Czyżby tak na pozór sprytny młody człowiek mógł się do tego stopnia mylić! No, ale chodźmy już.

Klinika znajdowała się na wzgórzu z widokiem na zatokę. Przyjął nas pielęgniarz w białym kitlu i kazał poczekać w małym pokoiku na parterze. Po chwili weszła bardzo zaafierowana pielęgniarka. Jedno spojrzenie na Poirota wystarczyło jej. Musiała otrzymać bardzo dokładne instrukcje od doktora Grahama wraz ze szczegółowym opisem małego detektywa. Nie potrafiła ukryć uśmiechu.

- Panna Buckley dobrze spała - oznajmiła nam. - Proszę panów na górę.

Nick znajdowała się w bardzo miłym pokoiku. W wąskim metalowym łóżeczku wyglądała jak zmęczone dziecko. Twarz miała bardzo bladą, a oczy jej były podejrzenie zaczerwienione.

- Bardzo się cieszę, że panowie przyszli - powiedziała słabym głosem.

Poirot ujął jej dłoń w obydwie ręce.

- Odwagi, mademoiselle! Będzie pani jeszcze miała dla kogo żyć.

Słowa te zaskoczyły ją. Spojrzała mu w oczy.

- O! - powiedziała tylko. - O!

- Czy nie zechciałaby mi pani teraz powiedzieć, co panią tak gnębiło w ostatnich czasach? A może mam zgadnąć? Czy zechce pani, mademoiselle, przyjąć ode mnie wyrazy najgłębszego współczucia?

Zarumieniła się.

- Więc pan wie? A zresztą to już teraz obojętne, czy kto wie, czy nie. Jest po wszystkim. Nigdy w życiu już go nie zobaczę.

Głos jej się załamał.

- Odwagi, mademoiselle. - Nie mam już ani krztyny odwagi. Wyczerpała się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wciąż wierzyłam i czekałam... ostatnio...

Nic nie rozumiałem.

- Niech pani spojrzy na biednego Hastingsa - odezwał się Poirot. - On nie ma pojęcia, o czym my mówimy.

Spojrzała na mnie swoimi nieszczęśliwymi oczami.

- Michael Seton, ten lotnik - powiedziała wreszcie. - Byliśmy zaręczeni. A on zginął... Nie żyje...

XI. MOTYW

Byłem zupełnie zaskoczony. Spojrzałem na Poirota.

- Czy to miałeś na myśli?

- Tak. mon ami. Wiedziałem już od rana.

- Ale skąd? Jak mogłeś się domyślić? Powiedziałeś, że przy śniadaniu.

- No tak, kochany. Dowiedziałem się przy śniadaniu z pierwszych stron wszystkich dzienników. Przypomniałem sobie rozmowę przy wczorajszej kolacji i wszystko mi się skojarzyło. - Zwrócił się do Nick: - Czy pani słuchała wiadomości wczoraj wieczorem?

- Tak. Nastawiłam radio. Powiedziałam, że idę do telefonu. Chciałam sama wysłuchać dziennika wieczornego, w razie... gdyby... - Przełknęła z trudem ślinę. - No i usłyszałam...

- Wiem, wiem. - Ujął jej szczupłą dłoń w swoje ręce.

- To było okropne. Zaraz potem zaczęli się zjawiać ci wszyscy ludzie. Nie wiem nawet, co się ze mną działo. Czułam się jak we śnie. Widziałam siebie samą z boku, jak obcą osobą. To było bardzo dziwne uczucie. Zachowywałam się normalnie, tak jak co dzień.

- Tak, tak, rozumiem.

- A potem, kiedy poszłam na górę po narzutkę Freddie, załamałam się na moment. Szybko się jednak opanowałam. Madzia wciąż wołała coś o tym swoim palcie. W końcu wzięła mój szal i poszła. Upudrowałam się, nałożyłam trochę rózu i pobiegłam za nią. Leżała... tam... nieżywa...

- Tak, tak, to musiało być straszne wrażenie.

- Pan nie rozumie. Żałowałam, że to nie ja tam leżę. Chciałam umrzeć. Ale nie, żyłam... i pewnie żyć będę jeszcze całe lata. A Michael nie żyje... zatopiony daleko na dnie oceanu.

- Pauvre enfant!

- Nie chcę żyć. Naprawdę nie chce mi się już żyć!

- Wiem, wiem. Wszyscy mamy takie chwile, kiedy chcemy umrzeć. Ale to przechodzi. Rozpacz mija. Trudno pani w to uwierzyć w tej chwili. Jestem starym człowiekiem i nie powinienem tak mówić. To puste słowa dla pani. Wiem, że pani tak myśli. Puste słowa.

- A pan pewnie sądzi, że zapomnę i wyjdę za mąż za kogo innego. Nigdy! Siadła w pościeli z płonącymi policzkami i błyszczącymi oczami. Wyglądała prześlicznie. Poirot powiedział łagodnie:

- Nie, nie. Nic podobnego nie myślę. Pani ma szczęście, mademoiselle. Kochał panią dzielny człowiek... bohater. Jak go pani właściwie poznała?

- W Le Touquet... w zeszłym roku we wrześniu. Prawie rok temu.

- A kiedy się zaręczyliście?

- Zaraz po Bożym Narodzeniu. Ale to miał być sekret.

- Dlaczego?

- Stryj Michaela, stary sir Matthew Seton, kochał ptaki, ale nienawidził kobiet.

- Ah! Ce n'est pas raisonnable!

- No, może nie jest dokładnie tak, jak mówię. To był prawdziwy dziwak. Uważał, że kobiety rujnują mężczyznom życie, a Michael był całkowicie od niego zależny. Sir Matthew był okropnie dumny z Michaela i finansował wszystkie jego wyprawy, dał mu pieniądze na skonstruowanie "Albatrosa" i pokrył wydatki związane z lotem dokoła świata. Było to największe marzenie Michaela, no i jego stryja. Gdyby się

udało, to wtedy Michael mógłby poprosić stryja o wszystko. A nawet gdyby stryj się wtedy sprzeciwił, to nie miałyby to już większego znaczenia. Michael byłby już wtedy międzynarodową sławą. A stryj w końcu na pewno by mu wybaczył.

- Tak, tak, rozumiem.

- Ale Michael twierdził, że gdyby teraz się coś wydało, to byłaby klęska. Trzymaliśmy więc nasze zaręczyny w najgłębszej tajemnicy. Ja osobiście nikomu nic nie mówiłam. Nawet Freddie.

Poirot westchnął.

- Szkoda, że pani przynajmniej mnie nie powiedziała, mademoiselle.

Nick spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Czy stanowiłoby to jakąś różnicę? Czy to mogło mieć coś wspólnego z tymi tajemniczymi zamachami na moje życie? Nie, przyrzekłam Michaelowi, że nic nikomu nie powiem, i słowa dotrzymałam. Ale to było straszne. Takie napięcie...

czekanie. A wszyscy na mnie, że jestem taka nerwowa. Nie mogłam im wytłumaczyć.

- Rozumiem to wszystko doskonale.

- Już raz zaginał, wie pan. Gdy przelatywał nad pustynią, w drodze do Indii. To też było okropne, jednak sprawa szybko się wyjaśniła. Miał uszkodzony motor, ale jakoś mu go naprawili i mógł lecieć dalej. Cały czas powtarzałam sobie, że pewnie i tym razem tak będzie. Wszyscy dokoła mówili, że on nie żyje, ale ja stale się łudziłam. Aż wczoraj wieczorem...

Zamilkła.

- Miała pani do ostatniej chwili nadzieję?

- Sama nie wiem. Po prostu nie chciałam uwierzyć, że to koniec. Najgorsze było to, że nawet nie mogłam z nikim pomówić.

- Wyobrażam sobie. Czy nie miała pani nigdy pokusy, żeby się komuś zwierzyć, na przykład pani Rice?

- O tak, czasami nawet bardzo wielką!

- A czy pani nie sądzi, że ona się domyślała?

- Nie, nie sądzę. - Nick zamyśliła się chwilę. - Nic nigdy nie wspominała.

Czasami robiła jakieś aluzje. O tym, że się przyjaźniliśmy, i tak dalej.

- Nawet jak stryj pana Setona umarł, nie uważała pani za stosowne zwierzyć się jej? Pani wie, że on zmarł w zeszłym tygodniu? - Wiem. Miał jakąś operację.

Mogłam wtedy już wszystkim opowiedzieć o naszych zaręczynach, ale nie byłoby to chyba uczciwe wobec Michaela. Brzmiałoby to jak samochwalstwo, właśnie w momencie kiedy wszystkie gazety rozpisywały się o nim. Poza tym zaraz zjawiliby się reporterzy. Tani efekt. Michael byłby wściekły, gdyby się dowiedział.

- Zgadza się z panią, mademoiselle. Nie mogła pani tego rozgłosić. Miałem na myśli tylko jedno, że mogła pani prywatnie zwierzyć się swoim przyjacielom.

- Dałam coś niecoś do zrozumienia pewnej osobie. Ale nie wiem, ile ta osoba zrozumiała. Po prostu uważałam, że jest to mój obowiązek.

Poirot skinął głową.

- Czy pani żyje w zgodzie ze swoim kuzynem, panem Vyse? - spytał, zmieniając raptownie temat rozmowy.

- Z Charlesem? Dlaczego przypomniał się panu nagle Charles?

- Tak sobie pomyślałem.

- Charles to porządny chłopak - powiedziała Nick. - Straszny nudziarz, to prawda. I sztywniak. Jestem pewna, że nie podoba mu się mój styl życia.

- O, mademoiselle, mademoiselle! Mam wrażenie, że kocha się w pani bez pamięci.

- Jedno nie przeszkadza drugiemu. Charles uważa, że żyję w sposób zupełnie niedopuszczalny. Nie podobają mu się moi goście, moje koktajle, moja pomadka do ust i moje powiedzonka. Ale mimo to jest zakochany. Ma oczywiście nadzieję, że mnie z czasem zreformuje. - Zamilkła, a potem dodała z ledwie dosłyszalną nutką figlarności w głosie: - Niech pan się przyzna, kogo pan naciągnął na miejscowe plotki?

- Proszę mnie nie zdradzać, mademoiselle. Uciałem sobie małą rozmówkę z tą damą z Australii, panią Croft.

- To porządna kobieta, tylko, że rzadko mam czas na rozmowy z nią. Jest sentymentalna. Ciągłe mówi o miłości rodzinnej, o domu, dzieciach. Pan wie, co mam na myśli?

- Sam jestem sentymentalny i staroświecki.

- Czyżby? A mnie się zdawało, że z was dwóch kapitan Hastings jest sentymentalistą.
- Zarumieniłem się z oburzenia.
- Hastings jest bardzo zły - powiedział Poirot, nie bez satysfakcji przyglądając się mojemu zakłopotaniu. - Ale pani ma rację, mademoiselle! O tak, ma pani świętą rację!
- Nic podobnego - rzuciłem.
- Hastings ma wyjątkowo szlachetną naturę. Bywa to dla mnie często przeszkoda nie do pokonania.
- Nie gadaj głupstw, Poirot!
- Przede wszystkim nie chce nigdzie widzieć zła. A jeżeli je już dojrzy, jest tak głęboko oburzony, że nie potrafi wyciągnąć z tego żadnych wniosków. Wszystko razem wzięwszy, jest to rzeczywiście natura niezwykle piękna i szlachetna. Non, mon ami! Nie pozwolę ci teraz na skromność. Jest tak, jak powiadam. Nie zaprzeczaj!
- Obydwaj jesteście dla mnie strasznie dobrzy - powiedziała Nick.
- Ależ, mademoiselle! To głupstwo. Mamy jeszcze wiele do zrobienia. Przede wszystkim chciałbym, żeby pani tu jeszcze pozostała. Będzie pani posłuszna. Będzie pani robiła, co każę. Proszę mi obecnie nie przeszkadzać.
- Nick westchnęła.
- Zrobię, co pan tylko zechce. Jest mi wszystko jedno.
- Nie będzie pani przyjmowała nikogo!
- Nie mam na to najmniejszej ochoty!
- Dla pani rola pasywna, dla nas aktywna. A teraz, mademoiselle, opuszczę panią.
- Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach i już z ręką na klamce rzucił przez ramię: - Pani wspomniała kiedyś o jakimś swoim testamencie. Gdzie on jest?
- Bo ja wiem, gdzieś tam leży.
- Ale gdzie? W Samotnym Domu? - Tak.
- W kasie ogniotrwałej czy też w pani biurku?
- Wie pan, że doprawdy nie przypominam sobie. - Zmarszczyła brwi. - Ach, jestem okropnie nieporządna! Dokumenty są przeważnie w biurku w bibliotece. Tam też przechowuję rachunki. Pewnie znajdzie pan tam również testament. A może w sypialni?
- Czy pozwala mi go pani poszukać?
- Oczywiście, jeżeli ma pan ochotę. Niech pan szuka, czego pan chce.
- Merci, mademoiselle. Skorzystam z pani pozwolenia.

XII. ELLEN

- Poirot odezwał się dopiero wtedy, gdy wyszliśmy z kliniki na ulicę. Chwycił mnie za ramię.
- Widzisz, Hastings? Widzisz! Sacre tonnerre! Miałem rację! Zawsze wiedziałem, że czegoś brakuje, że jakiś kawałek tej łamigłówki się zawieruszył. A bez tego jednego kawałka wszystko razem nie miało sensu.
 - Jego dziwny tryumf był dla mnie zupełnie niezrozumiały. Nie rozumiałem, na czym polegać miała ta rewelacja.
 - Cały czas miałem to przed oczami, a jednak niczego nie zauważyłem. Ale też było to niemożliwe. Wiedzieć, że czegoś brakuje, ale czego brakuje, czego - tego nie wiedziałem. Ah! Ça c'est bien plus difficile²².
 - Czy chcesz przez to powiedzieć, że wiadomość ta ma bezpośredni związek ze zbrodnią?
 - Ma foi, czy nie widzisz tego?
 - Prawdę mówiąc, nic nie widzę.
 - Czy to możliwe? Człowieku, przecież mamy teraz to, czego szukaliśmy od początku. Motyw! Ów ukryty, tajemniczy motyw!
 - Musi być bardzo głęboko ukryty, skoro go zupełnie nie widzę. Czy masz na myśli zazdrość?
 - Zazdrość? Skądże znowu! Jest to po prostu najczęstszy, najbardziej pospolity z motywów. Pieniądze, mój przyjacielu, pieniądze!
 - Zatrzymałem się, a on ciągnął dalej, już nieco spokojniej:

- Posłuchaj, mon ami. Tydzień temu umarł sir Matthew Seton. A był milionerem i jednym z najbogatszych ludzi w Anglii.

- Tak, ale...

- Attendez! Po kolei, dobrze? Ma siostrzeńca, którego ubóstwia i któremu na pewno pozostawił w spadku cały swój majątek.

- Ale...

- Mais oui... zapewne coś tam ofiarował na różne swoje fanaberie i filantropie, ale olbrzymia część tej wielkiej fortuny została zapisana na Michaela Setona. W ubiegły wtorek rozchodzi się wiadomość, że Michael Seton zaginął bez wieści. W środę zaczyna się seria zamachów na życie mademoiselle. Założmy, że Michael Seton przed odlotem sporządził testament i pozostawił swój majątek pannie Buckley.

- To jest czysta hipoteza.

- Tak, to hipoteza. Ale tak musi być. Bo gdyby było inaczej, to wszystko, co się tu od tygodnia dzieje, nie miałoby żadnego sensu. Pamiętaj, to nie jest kwestia paru głupich tysięcy, tu wchodzi w grę olbrzymia fortuna.

Milczałem przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad wywodami Poirota. Zdawało mi się, że Poirot zbyt pochopnie wyciąga wnioski, a jednocześnie byłem głęboko przekonany, że w końcu okaże się, iż ma rację. Miał prawdziwy talent do oceny zjawisk i do trafiania na właściwy tor. Mimo to byłem przekonany, że trzeba jeszcze dowieść niejednej rzeczy, zanim nastąpi rozwiązanie zagadki.

- Ale skoro nikt nie wiedział o zaręczynach... - zacząłem.

- Ba! Ktoś na pewno wiedział. Powiadam ci, że nie ma prawdziwych tajemnic. Ktoś zawsze coś wie. A jeżeli nie wie, to się domyśla. Pani Rice podejrzewała coś. Panna Nick powiedziała nam o tym sama. Mogła swoje podejrzenia obrócić w pewność, gdyby chciała się do tego przyłożyć.

- Ale jak?

- Przede wszystkim musiała istnieć jakaś korespondencja pomiędzy mademoiselle a Michaeliem Setonem. Byli zaręczeni od szeregu miesięcy. Wiemy, że nawet najlepsi przyjaciele uważają pannę Nick za osobę co najmniej nieporządną. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu zamknęła coś na klucz. O tak, zapewniam cię, że osoba zainteresowana miała sposoby, żeby się dowiedzieć, co w trawie piszczy.

- I uważasz, że Fryderyka Rice mogła wiedzieć o testamencie panny Nick?

- Bez wątpienia. No, widzisz, jak wszystko się doskonale zbiega. Pamiętasz moją listę? Listę osób od A. do J. Z tej listy zostały już teraz tylko dwie osoby, które warto brać pod uwagę. Odrzucam służbę. Odrzucam kapitana Challengeera, mimo że jechał tu z Plymouth półtorej godziny, a odległość ta wynosi zaledwie trzydzieści mil. Odrzucam długonosego pana Lazarusa, który oferował pięćdziesiąt funtów za obraz wartości tylko dwudziestu funtów. Jak się nad tym zastanowisz, to zobaczysz, że to jest bardzo dziwne, bardzo dziwne i zupełnie sprzeczne z jego charakterem. Odrzucam Australijczyków. To przemili, pogodni ludzie. Pozostawiam na mojej liście tylko dwie osoby.

- Jedną z nich jest Fryderyka Rice - powiedziałem powoli. Przypomniałem sobie jej twarz, jej złote włosy, jej delikatne rysy.

- Tak. Ona musi zostać na liście. Jeżeli nawet testament panny Nick sformułowany jest w sposób bardzo niedbały, to nie ulega wątpliwości, że tamta jest głównym spadkobiercą. Poza Samotnym Domem cały majątek panny Nick przechodzi na nią. Gdyby zamiast Madzi pannę Nick zabito wczoraj, pani Rice byłaby dziś bardzo bogatą kobietą.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Trudno ci jest uwierzyć, że piękna kobieta mogłaby być morderczynią, co? Członkowie sądów przysięgłych też często tak rozumują. Ale być może masz rację. Jest jeszcze jedna osoba.

- Kto?

- Charles Vyse.

- Przecież on dziedziczy tylko dom.

- Tak, ale on może o tym nie wiedzieć. Czy to on sporządził testament panny Nick? Wydaje mi się, że nie. Gdyby tak było, to znajdowałby się u niego, a nie gdzieś w jakiejś szufladzie w Samotnym Domu. A więc widzisz, Hastings, istnieje możliwość, że Vyse nie wie o istnieniu tego testamentu. Zapewne uważa, że nigdy nie spisała takiego dokumentu, a w tym wypadku on jest jedynym spadkobiercą.

- Wiesz - powiedziałem - to wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobne!
- To tylko twoja romantyczna natura, Hastings. Widzisz w Charlesie Vyse owego zbrodniczego adwokata, postać znaną z literatury. Jeżeli ponadto taki adwokat obdarzony jest jeszcze nieruchomą twarzą i mało mówi, to podejrzenia narzucają się same. Pod wieloma względami jest on bardziej podejrzany od madame Rice. Na przykład istnieje większe prawdopodobieństwo, że wiedział o istnieniu rewolweru i że się nim posługiwał.
- I że stracił głaz na plażę?
- Tak jest. Ale jak już wspomniałem, można było bez większego wysiłku podważyć głaz i zepchnąć go w dół. Do tego wystarczyłyby i kobiece siły. A fakt, że głaz został stracony o chwilę za późno i dzięki temu nie trafił w mademoiselle, świadczy raczej o kobiecej działalności. Natomiast pomysł zepsucia hamulców w samochodzie jest raczej pomysłem męskim, chociaż w dzisiejszych czasach mamy wiele kobiet o równych zdolnościach technicznych co mężczyźni. Są jednak pewne luki w teorii obciążającej pana Vyse.
- Jakże?
- Miał mniejsze szanse dowiedzenia się o zaręczynach mademoiselle niż pani Rice. I jeszcze jeden punkt. Przestępca zaczął działać raczej przedwcześnie.
- Nie rozumiem.
- Cóż, dopiero wczoraj wieczorem stwierdzono, że Michael Seton nie żyje. Takie przedwczesne działanie jest raczej w sprzeczności z umysłem prawnika.
- Tak - zgodziłem się. - To też raczej wskazywałoby na kobietę.
- Oczywiście. Ce que la femme veut, Dieu le veut\23.
- Wiesz, to rzeczywiście niebywałe, że Nick za każdym razem uniknęła śmierci. I nagle przypomniało mi się, jak Fryderyka Rice powiedziała: "Nick ma wielkie szczęście". Zrobiło mi się zimno.
- Tak - westchnął Poirot - i nie mogę sobie tego nawet poczytać za zasługę.
- Opatrzność - mruknąłem.
- Ach, mon ami, ja bym tego nie składał na barki Pana Boga. Zastanów się, że tym samym czynisz Pana Boga odpowiedzialnym za śmierć Madzi Buckley.
- Doprawdy, Poirot!
- Doprawdy, mój drogi. Nie mam zamiaru siedzieć tu i twierdzić, że wszystko to jest dziełem Pana Boga i że wobec tego nie powinienem się do tego mieszać. Ostatecznie mieszam się do takich spraw zawodowo. Powoli wspinaliśmy się zygzakowatą dróżką prowadzącą na szczyt skały. Przez niewielką furtkę weszliśmy teraz na teren Samotnego Domu.
- Uff! - westchnął Poirot - to podejście takie strome. Zgrzałem się. Wasy mi zwilgotniały. Jak już mówiłem przed chwilą, jestem po stronie poszkodowanych. Zawsze byłem i będę. Pannie Nick grozi niebezpieczeństwo, wobec tego jestem po jej stronie, a także po stronie Madzi, albowiem Madzia została zabita.
- I wobec tego jesteś przeciwnikiem pani Rice i Charlesa Vyse?
- Nie, mój drogi. Nie przesądzam niczego. Powiadam tylko, że w tej chwili wszystko wskazuje na jedno z nich. Ale cicho!
- Podeszliśmy do trawnika znajdującego się przed domem. Jakiś człowiek prowadził maszynę do strzyżenia trawy. Miał podłużną twarz o głupkowatym wyrazie i tępe czarne oczy. Niedaleko od niego stał brzydki, może dziesięcioletni chłopiec o inteligentnym wyglądzie. Przyszło mi go głowy, że nadchodząc, nie słyszeliśmy dźwięku maszyny. Jak widać, mężczyzna nie śpieszył się z robotą. Dopiero gdy nas zobaczył, szybko wprawił mechanizm w ruch.
- Dzień dobry! - zawołał Poirot.
- Dzień dobry panom! - Pan jest zapewne ogrodnikiem? Mężem tej pani, która tu pracuje?
- To mój tata - odezwał się chłopiec.
- Tak - powiedział ogrodnik - a pan jest tym detektywem, prawdziwym detektywem. Czy nie wie pan, co sływać u naszej panienki?
- Właśnie wracam od niej. Miała dobrą noc.
- Był tu policjant - powiedział chłopiec. - O, tu jedna pani została zabita. Przy tych stopniach. Raz widziałem jak zarzynali świnie, prawda, tata?
- Aha - odpowiedział ojciec.
- Jak tata pracował na farmie, to zabijał świnie, prawda, tata? Widziałem raz, jak zarzynali świnie. Bardzo mi się to podobało.

- Dzieci lubią patrzeć, jak się zarzyna świnie - stwierdził ogrodnik takim tonem, jak gdyby to było jedno z podstawowych praw przyrody.

- A tę panią to zastrzelili z rewolweru - opowiadał chłopiec. - Nie podrzynali jej wcale gardła.

Weszliśmy do wnętrza domu. Byłem zadowolony, że ten okropny chłopiec nie idzie za nami.

Poirot udał się do salonu, gdzie okna były szeroko otwarte, i zadzwonił.

Po chwili zjawiła się Ellen, ubrana starannie, w czarnej sukience. Na nasz widok nie okazała wcale zdziwienia.

Poirot wytłumaczył jej, że otrzymaliśmy pozwolenie panny Nick na przeprowadzenie rewizji w całym domu.

- Proszę bardzo - powiedziała tylko.

- Czy policja już skończyła swoje poszukiwania?

- Powiedzieli, że mają już wszystko, czego im trzeba. Od wczesnego rana szukali czegoś w ogrodzie. Nie mam pojęcia, czy znaleźli coś, czy nie.

Właśnie zamierzała opuścić pokój, gdy Poirot zatrzymał ją pytaniem.

- Gdy wczoraj wieczorem powiedziano pani, że zamordowano pannę Buckley, czy była pani tym zaskoczona?

- O tak, proszę pana. Bardzo zaskoczona. Panna Madzia była taka miła i dobra. Nie rozumiem, kto chciałby ją skrzywdzić?

- Gdyby to kto inny był ofiarą morderstwa, to nie byłaby pani wcale taka zaskoczona, co?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi?

- Gdy wszedłem wczoraj do holu - odezwałem się - pani od razu zapytała mnie, czy komuś się stało coś złego. Czy pani spodziewała się czegoś takiego?

Umilkła. Zaczęła układać w małe fałdki brzeg swego fartucha. Wreszcie potrząsnęła głową i szepnęła:

- Panowie nie mogą tego zrozumieć.

- Ja potrafię, zapewniam panią - rzekł Poirot. - Żeby pani powiedziała najbardziej fantastyczną rzecz, to ja potrafię zrozumieć.

Spojrzała na niego sceptycznym wzrokiem, a po chwili widać zdecydowała, że można mu zaufać.

- To nie jest dobry dom, proszę pana - wykrztusiła wreszcie.

Byłem zdumiony i trochę zaskoczony. Jednakże Poirot najwidoczniej uznał tę uwagę za zupełnie normalną.

- Chce pani powiedzieć, że dom jest stary.

- Nie, proszę pana, ale że jest w nim coś niedobrego.

- Dawno pani tu pracuje?

- Od sześciu lat, proszę pana. Ale pracowałam już tu jako młoda dziewczyna. W kuchni jako pomywaczka. To było jeszcze za życia starego pana Nicholasa. Wtedy też tak było.

Poirot spojrzał na nią uważnie.

- W starych domach - powiedział powoli - często jest atmosfera tajemniczości, zła.

- Tak, tak! - potwierdziła Ellen. - Dużo zła. Dużo złych myśli i złych czynów. Pełno tego w tym domu. Ściany przesiąkły złem, nie można go z nich wydobyć, wyczyścić. Unosi się w powietrzu. Zawsze wiedziałam, że zdarzy się tu coś strasznego.

- No i miała pani rację.

- O tak!

W tonie jej zabrzmiała nuta drobnej satysfakcji. Satysfakcji człowieka, którego najgorsze przepowiednie się spełniły. - Ale nie wyobrażała pani sobie, że spotka to pannę Madzię, prawda?

- Nie, proszę pana. Naprawdę nie. Kto by jej mógł nienawidzić! Nie miała żadnych wrogów. Tego jestem pewna.

Wydało mi się, że w tych ostatnich jej słowach jest klucz do zagadki.

Przypuszczałem, że Poirot będzie szedł dalej w tym samym kierunku, ale ku mojemu zdumieniu przerwiał się na zupełnie inny temat.

- Czy słyszała pani strzały?

- Nie, tyle było hałasu od fajerwerków...

- Ale pani nie była w ogrodzie?

- Nie, musiałam sprzątnąć po kolacji.
- Czy mąż pani pomagał?
- Nie, proszę pana, poszedł do ogrodu.
- Ale pani nie poszła?
- Nie.
- A to dlaczego?
- Chciałam już skończyć z tymi naczyniami.
- Nie lubi pani fajerwerków?
- O tak, proszę pana, bardzo! Ale widzi pan, jutro też będą fajerwerki. Jutro mam wychodne, pójdziemy z mężem do miasta i wszystko sobie obejrzymy.
- Rozumiem. A czy słyszała pani, jak panna Madzia pytała o swój płaszcz i mówiła, że nie może go znaleźć?
- Słyszałam, jak panna Nick biegła na górę i jak panna Madzia coś jej odpowiadała z holu, że czegoś nie może znaleźć i że bierze szal...
- Przepraszam - przerwał jej Poirot. - Pani nie usiłowała pomóc jej w szukaniu ani też przynieść płaszcz z samochodu, w którym go zostawiła?
- Miałam masę roboty, proszę pana.
- Oczywiście. A żadna z panien nie prosiła pani o pomoc, gdyż były przekonane, że jest pani w ogrodzie.
- Tak jest.
- To znaczy, że dawniej zawsze oglądała pani fajerwerki? Jej blada twarz spłonęła nagłym rumieńcem.
- Nie rozumiem, proszę pana. Wolno nam zawsze iść do ogrodu. To chyba nikogo nie powinno obchodzić, że w tym roku wolałam szybko skończyć swoją robotę i położyć się spać.
- Mais oui, mais oui. Nie chciałem pani obrazić. Ma pani prawo robić, co się pani podoba. - Zamilkł i po chwili dodał: - A teraz czy mogłaby mi pani udzielić informacji z innej dziedziny? To jest bardzo stary dom. Czy istnieją w nim jakieś tajne korytarze, pokoje?...
- Owszem... jest skrytka w ścianie właśnie w tym pokoju. Pamiętam, kiedy byłam młodą dziewczyną, to raz widziałam, jak się to rozsuwa. Ale nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, która to była ściana. A może to było w bibliotece? Trudno mi powiedzieć.
- Czy za tą ścianą jest tyle miejsca, że człowiek mógłby się ukryć?
- O nie, proszę pana. To rodzaj małej niszy czy szafki, nie więcej niż pół metra kwadratowego.
- Nie to miałem na myśli. Znowu się zarumieniła.
- Jeżeli pan mnie posądza, że się gdzieś ukrywałam, to mówię panu, że to nieprawda. Słyszałam, jak panna Nick zeszła ze schodów i biegła do ogrodu. Usłyszałam jej okrzyk przerażenia... Wyszedłam do holu, żeby zobaczyć, co się stało. I to jest święta prawda.

XIII. LISTY

- Pozbywszy się wreszcie Ellen, Poirot zwrócił ku mnie zatroskaną twarz.
- Zastanawiam się teraz... Jak myślisz, czy słyszała te strzały, czy nie? Jestem prawie pewny, że słyszała. Wtedy otworzyła drzwi od kuchni, usłyszała kroki Nick zbiegającej po schodach i wyszła do holu, żeby zobaczyć, co się stało. Wydaje mi się to zupełnie naturalne. Ale dlaczego nie była w ogrodzie na fajerwerkach? To chciałbym wiedzieć!
 - Skąd ci przyszło do głowy, żeby spytać o jakiś schowek?
 - Bo ja wiem? Pomyślałem sobie nagle, że nie możemy być stuprocentowo pewni, iż J. nie istnieje.
 - J.?
 - Tak, J. Ostatnia osoba na mojej liście. Ów hipotetyczny nieznanomy. Przypuśćmy, że J. zjawił się tutaj wczorajszej nocy i że Ellen o tym wie. Mógłby się schować w tajnej kryjówce - zakładam, że mamy do czynienia z mężczyzną - w tym oto pokoju. Zjawia się dziewczyna, którą on bierze za pannę Nick. Idzie za nią, strzela. Non - c'est idiot! A zresztą wiemy, że nie ma tu żadnej kryjówki. Widocznie Ellen zupełnie przypadkowo postanowiła zostać wczoraj w kuchni. No, chodź, poszukamy testamentu panny Nick!

W salonie nie znaleźliśmy żadnych papierów. Przeszliśmy do biblioteki, pokoju raczej ciemnego, którego okna wychodziły na dziedziniec. W kącie stało wielkie, staroświeckie biurko z orzechowego drzewa.

Przeszukanie tego wielkiego mebla zajęło nam sporo czasu. Panował tam wielki nieład. Rachunki, recepty lekarskie - wszystko pomieszane ze sobą - jakieś zaproszenia, monity, listy od przyjaciół.

- Uporządkujemy te papiery - powiedział Poirot z surowym wyrazem twarzy - metodycznie i systematycznie.

Dotrzymał słowa. W pół godziny później siedział z zadowolonym wyrazem twarzy nad stertami starannie przesortowanych papierów.

- C'est bien, ça. Przynajmniej zrobiliśmy dobry uczynek. Poza tym z powodu tego bałaganu musieliśmy tak starannie wszystko przeszukać, że z całą pewnością nic nie przegapiliśmy.

- Masz rację. Ale nie ma tu naprawdę nic interesującego.

- Z wyjątkiem tego.

Rzucił do mnie list. Pismo było duże, rozwlekłe, prawie nieczytelne.

Kochanie!

Bawiłam się po prostu wspaniale! Za to dzisiaj czuję się okropnie. Miałaś rację, że nie chciałaś skosztować tego paskudztwa. Błagam cię, nie zaczynaj! Szalenie trudno się odzwyczaić, jak się raz zaczęło. Piszę do mojego przyjaciela, żeby przyspieszył następny transport. Życie jest jednym piekłem!

Twoja Freddie

- Pisane w lutym ubiegłego roku - zastanowił się Poirot. - Sprawa jest jasna. To narkomanka. Wiedziałem o tym, jak tylko na nią spojrzałem.

- Naprawdę? Ja bym jej nigdy nie podejrzewał.

- To chyba jasne. Wystarczy spojrzeć na jej oczy. A poza tym te ciągle zmiany nastroju. Czasami jest okropnie nerwowa, napięta jak struna, a czasami zupełnie bezwolna.

- Narkotyki podobno osłabiają poczucie etyki. Czy to prawda?

- Oczywiście. Ale nie przypuszczam, żeby pani Rice była nałogową narkomanką. To dopiero nowicjuszka.

- A Nick?

- Nic za tym nie przemawia. Być może, raz i drugi z ciekawości poszła na jakiś seans narkomanów. Ale jestem pewny, że sama nie zażywa narkotyków. - Bardzo mnie to cieszy.

Przypomniałem mu, jak Nick powiedziała o Fryderyce, że nie zawsze odpowiada za siebie.

Poirot skinął głową i uderzył kilka razy w biurko listem.

- Właśnie o tym pisze w liście. No cóż, nie znaleźliśmy tu nic. Chodźmy na górę, do sypialni.

W pokoju Nick też stało biurko, ale niewiele znajdowało się w nim papierów. I tu nie było testamentu. Znaleźliśmy natomiast książeczkę wozu i nie zrealizowany kupon akcji sprzed miesiąca. Poza tym nic ważnego.

Poirot westchnął z przesadną rozpaczą.

- Te młode dziewczęta nie mają dzisiaj żadnego wychowania. Porządek, metoda, tego ich nikt nie uczy. Mademoiselle Nick jest wprawdzie czarująca, ale strasznie nieporządna.

Przejrzał starannie szufladę pełną bielizny.

- Poirot - powiedziałem z zażenowaniem - czy nie widzisz, że to damska bielizna? Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- No to co?

- Czy nie wydaje ci się... to znaczy... nie możemy chyba... Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Mój drogi Hastingsie, jesteś prawdziwym przeżytkiem epoki wiktoriańskiej.

Gdyby mademoiselle Nick tu była, to samo by ci powiedziała. Czy nie wiesz, że w dzisiejszych czasach młode kobiety nie ukrywają wcale swojej bielizny? Majteczki i koszulki przestały być wstydliwą tajemnicą. Codziennie na każdej plaży możesz zobaczyć wszystkie te części garderoby rozrzucone na piasku. I dlaczego miałyby być inaczej?

- Nie widzę potrzeby grzebania w bieliźnie panny Nick.
 - Ecoutez24, mój przyjacielu. Mademoiselle, jak widzisz, nie zamyka na klucz swoich skarbów. Gdyby chciała coś ukryć, to na pewno wsunęłaby to pod stertę koszulek czy pończoch. O! A to co?
 Wyciągnął paczkę listów związanych wyblakłą różową wstążeczką.
 - Jeżeli się nie mylę, są to listy miłosne pana Michaela Setona.
 Odwiązał wstążeczkę i zaczął otwierać listy.
 - Poirot! - krzyknąłem przerażony. - Nie możesz tego robić. To nieuczciwe i wstrętne.
 - To nie jest zabawa salonowa - zachnął się Poirot. - Nie zapominaj, że szukamy mordercy.
 - Ale czytanie cudzych listów...
 - Może mi nic nie dać albo dać bardzo wiele. Nie mogę pominąć żadnej szansy. Czytaj je razem ze mną. Dwie pary oczu zawsze lepsze od jednej. Pociesz się, że nasza pocziwa Ellen na pewno zna je na pamięć.
 Nie podobało mi się to. Rozumiałem jednak, że Poirot nie może się bawić w subtelności, i próbowałem się pocieszyć słowami Nick, która przecież na pożegnanie powiedziała nam, że możemy robić, co nam się podoba.
 Listy nosiły daty z ubiegłej zimy.

Nowy Rok
 Kochana!

Mamy Nowy Rok i jestem pełen nowych zamiarów. Nie mogę jeszcze uwierzyć w to, że mnie naprawdę kochasz. Zmieniłaś' całe moje życie. Od pierwszej chwili, gdy tylko się poznaliśmy, wiedziałem, że jesteśmy stworzeni dla siebie. Szczęśliwego Nowego Roku, najmilsza! Twój na zawsze
 Michael

8 lutego

Najdroższa!

Jakże chciałbym cię częściej widywać! Ta sytuacja jest nie do zniesienia. Nienawidzę tego ukrywania się, ale wiesz, jak mają się sprawy. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo i Ty nienawidzisz kłamstwa i obłudy. Ja odczuwam to samo. Ale sama wiesz, że to nieuniknione. Stryj Matthew ma bzika na punkcie wczesnych małżeństw. Twierdzi, że rujnują mężczyźni karierę. Jak gdybyś Ty mogła zrujnować moją! O, kochana!
 Głowa do góry, kochanie! Wszystko skończy się dobrze.
 Twój Michael

2 marca

Nie powinienem pisać do Ciebie co drugi dzień, ale muszę. Wczoraj, gdy byłem w górze, myślałem bez przerwy o Tobie. Leciałem nad Scarborough. Błogosławione, kochane Scarborough, najpiękniejsza miejscowość na świecie! Najdroższa, nie masz pojęcia, jak Cię kocham!
 Twój Michael

18 kwietnia

Najukochańsza!

Wszystko załatwione. Ostatecznie i definitywnie. Jeżeli mi się uda - a czuję, że mi się uda - to będę mógł postawić sprawę ostro wobec stryja. A zresztą, jeżeli będzie się dalej krzywił, to i tak zrobię, co postanowiłem. Jesteś urocza i przemiła, że interesują Cię moje długie techniczne opisy "Albatrosa". Jakżebyś chciał Cię zabrać ze sobą! No, ale wszystko jeszcze przed nami. Pamiętaj, nie martw się o mnie. Ta wyprawa wcale nie jest taka ryzykowana, jak piszą w gazetach. Po prostu nie mógłbym się zabić teraz, kiedy wiem, że mnie kochasz. To zupełnie wykluczone. Wszystko skończy się dobrze, najdroższa, zobaczysz! Miej zaufanie do swojego
 Michaela

20 kwietnia

Aniele mój!

Masz rację, każde Twoje słowo jest słuszne. List Twój przechowam jak najdroższy skarb. Nie jestem Ciebie wart. Jesteś' zupełnie inna od wszystkich kobiet. Ubóstwiam Cię!
Twój Michael

Ostatni list nie był datowany.

Najdroższa!

Jutro odlatuję. Jestem szalenie podniecony i pewny siebie, pełen energii i siły. Mój kochany "Albatros" jest gotowy i wiem, że mnie nie zawiedzie.

Głowa do góry, kochanie, nie przejmuj się! Istnieje oczywiście pewne ryzyko, ale życie jest w ogóle dość ryzykowną przygodą. A propos, ktoś wspomniał, że powinienem spisać testament (taktowny facet, co? - ale powiedział to w jak najlepszych zamiarach). Spisałem go więc na kawałku papieru i posłałem do starego Whitfielda. Nie miałem czasu pójść z tym osobiście. Jeden kolega powiedział mi kiedyś, że znał faceta, który sporządził testament składający się z trzech słów "wszystko dla mamy" i okazało się, że prawnie było to w najlepszym porządku. Mój testament też mniej więcej tak brzmi. Przypomniałem sobie na szczęście, że Twoje prawdziwe imię jest Magdala. Czy nie jestem inteligentny? Dwóch kolegów poprosiłem na świadków.

Nie przejmuj się zbytnio tym uroczystym gadaniem o testamentach. Zobaczysz, że wrócę zdrowy i cały. Będę telegrafował z Indii, Australii, i tak kolejno. Głowa do góry! Zobaczysz, że wszystko skończy się dobrze.

Dobranoc i niech Cię Bóg błogosławi!

Michael

Poirot powoli włożył listy z powrotem do kopert.

- Widzisz teraz, że musiałem je przeczytać, żeby mieć zupełną pewność. Jest tak, jak przypuszczałem.

- Na pewno mogłeś się o tym przekonać w inny sposób.

- Nie, mój złoty. Nie mogłem zrobić nic innego. To było jedyne wyjście. Mamy teraz bardzo poważny dowód rzeczowy w ręku.

- Nie rozumiem.

- Wiemy teraz z całą pewnością, że Michael Seton sporządził testament na korzyść panny Nick i że testament taki istnieje czarno na białym. Każdy, kto przeczytał te listy, jest w posiadaniu tej informacji. A listy były tak niedbale schowane, że ostatecznie każdy miał do nich dostęp.

- Ellen?

- Ellen na pewno. Zrobimy sobie na niej mały eksperyment, chcesz?

- Ale nie ma nigdzie śladu testamentu Nick.

- Nie, i to jest bardzo dziwne. Prawdopodobnie rzuciła go do wazonu albo między książki na półkach. Musimy zmusić mademoiselle, żeby sobie przypomniała, co z nim zrobiła. W każdym razie my tu już nic więcej nie znajdziemy.

Wychodząc, zastaliśmy w holu Ellen, która ścierała kurz.

Poirot pozdrowił ją uprzejmie i dopiero przy drzwiach wyjściowych odwrócił się i powiedział mimochodem:

- Przypuszczam, że wiedziała pani o zaręczynach panny Buckley z tym lotnikiem, Michałem Setonem?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co? Z tym, co to tyle o nim teraz piszą w gazetach?

- Tak.

- Coś podobnego! Pojęcia nie miałam. Zaręczony z panną Nick?

- Absolutne i zupełne zaskoczenie - zauważyłem, gdy już byliśmy na dworze.

- Tak. To chyba było szczerze.

- Możliwe.

- A ta paczka listów spoczywająca od miesięcy pod bielizną? O nie, mój przyjacielu! Ja w to nie wierzę!

No tak - pomyślałem sobie - ale nie wszyscy jesteśmy Poirotami i nie grzebiemy w cudzych rzeczach, żeby czytać cudze listy. Ale nie odezwałem się.

- Ta Ellen to prawdziwa zagadka - powiedział Poirot. - Nie podoba mi się to.

Jest tu coś, czego zupełnie nie rozumiem.

XIV. TAJEMNICA ZAGINIONEGO TESTAMENTU

Poszliśmy prosto do kliniki.

Nick była raczej zdziwiona naszym widokiem.

- Tak, mademoiselle - odpowiedział Poirot na jej pytający wzrok. - Jestem jak ta wańka-wstańka. Ciągłe wracam. Przede wszystkim chciałbym panią zawiadomić, że zrobiłem porządek w pani papierach. Wszystko jest teraz systematycznie ułożone.

- Cóż, najwyższy czas - powiedziała Nick, nie mogąc ukryć uśmiechu. - Czy pan, panie Poirot, jest bardzo systematyczny?

- Niech pani spyta mojego przyjaciela Hastingsa. Dziewczyna spojrzała na mnie pytająco.

Wyłożyłem jej kilka dziwactw Poirota. Na przykład grzanki musiano mu robić z czworokątnego bochenka chleba. Jajka na miękko musiały być identycznych rozmiarów. Nie uznawał golfa, uważając go za grę "niesymetryczną i bezkształtną". W końcu opowiedziałem jej o słynnej historii, kiedy to Poirot rozwiązał niezmiernie zawiłą zagadkę kryminalną tylko i wyłącznie dzięki swojej manii symetrycznego układania przedmiotów znajdujących się na kominkach.

Poirot słuchał tego z uśmiechem.

- Bardzo zabawne opowiadanie - powiedział wreszcie. - Oczywiście moim kosztem.

Ale na ogół się zgadza. Niech pani sobie wyobrazi, mademoiselle, że od lat błagam Hastingsa, żeby sobie zrobił przedziałek pośrodku, a nie z boku. Niech pani zobaczy, co ten przedziałek robi z jego twarzy! Przecież wygląda zupełnie krzywo i niesymetrycznie. - W takim razie i ja się panu nie podobam - odezwała się Nick - bo ja też mam przedziałek z boku. Freddie ma przedziałek na środku i podoba się panu.

- Patrzył na nią bez przerwy tamtego wieczoru - uśmiechnąłem się nie bez złośliwości. - Teraz już wiem dlaczego.

- C'est assez! - rzucił Poirot. - Przyszedłem w bardzo poważnej sprawie, mademoiselle. Nie mogę znaleźć tego pani testamentu.

- O! - zmarszczyła brwi, - Ale czy to takie ważne? Ostatecznie jeszcze żyję. A testamenty nabierają znaczenia dopiero po śmierci człowieka, prawda?

- Tak, ale mimo to jestem bardzo zainteresowany tym pani testamentem. Niech pani się zastanowi, mademoiselle. Co pani z nim zrobiła? Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Nigdzie go nie schowałam - oświadczyła Nick. - Ja nigdy niczego nie chowam. Prawdopodobnie wepchnęłam go po prostu do jakiejś szuflady.

- Nie włożyła go pani przypadkiem do tajnego schowka?

- Do czego?

- Ellen powiedziała nam, że w salonie czy w bibliotece jest tajny schowek w ścianie.

- Nonsens. Nigdy nie słyszałam o niczym podobnym. Ellen tak mówi?

- Mais oui. Powiada, że jako młodziutka dziewczyna służyła w Samotnym Domu i że wtedy kucharka pokazała jej ten schowek.

- Pierwszy raz słyszę! Przypuszczam, że dziadek musiał o tym wiedzieć, ale nigdy mi nic nie mówił. A jestem pewna, że powiedziałyby mi. Panie Poirot, czy pan jest pewien, że Ellen sobie tego nie wymyśliła?

- Nie, mademoiselle, nie jestem tego wcale pewien. Wydaje mi się, że jest coś dziwnego w tej pani Ellen.

- Ależ skąd! Jej mąż to idiota, a dzieciak jest rzeczywiście obrzydliwy, ale Ellen to dobra dziewczyna. I bardzo uczciwa.

- Czy pani pozwoliła jej wczoraj pójść do ogrodu i oglądać sztuczne ognie?

- Oczywiście. Zawsze zresztą to robią. Sprzątają ze stołu później.

- Ale ona nie wyszła.

- Przeciwnie, wyszła.

- A skąd pani wie?

- No... nie wiem na pewno. Powiedziałam jej, że może iść, a ona mi podziękowała, więc oczywiście przypuszczałam, że poszła.

- A jednak pozostała w domu.

- To... to bardzo dziwne.

- Pani uważa, że to dziwne?

- Tak jest! Jestem pewna, że nigdy przedtem nic podobnego jej się nie zdarzyło. Czy powiedziała panu dlaczego?
- Nie wyjawiała mi prawdziwej przyczyny. Tego jestem pewien.
- Nick spojrziała na niego z zainteresowaniem.
- Czy... czy to ważne? Poirot wyrzucił ręce w górę.
- Tego nie umiem powiedzieć, mademoiselle. C'est curieux²⁶! To w każdym razie bardzo dziwne.
- I ta historia ze schowkiem też jest dziwna - zamyśliła się Nick. - Wydaje mi się wprost niewiarygodna. I właściwie zupełnie niemożliwa. Czy pokazała panu przynajmniej, gdzie to jest?
- Powiada, że sobie nie przypomina.
- A ja nie wierzę, że coś podobnego w ogóle istnieje.
- Ja też nie.
- Ta biedaczka chyba dostała bzika.
- No tak, plecie trzy po trzy. Powiedziała też, że Samotny Dom jest złym domem i że niedobre rzeczy się w nim dzieją.
- Nick wzdygnęła się.
- Może ma rację - rzekła wolno. - Często i ja tak myślałam. Jest coś dziwnego w tym domu...
- Oczy jej ściemniały i rozszerzyły się. Zamyśliła się głęboko. Poirot szybko przywołał ją do rzeczywistości.
- Odeszliśmy daleko od naszego tematu. Wróćmy do testamentu Magdali Buckley.
- Tak właśnie zatytułowałam moją ostatnią wolę. Testament - powiedziała Nick nie bez dumy. - I dodałam, że spłaciłam wszystkie moje długi i wydatki związane z procedurą spadkową. Wyczytałam to w jednej książce.
- A więc nie korzystała pani z formularza testamentowego?
- Nie, nie miałam na to czasu. Wybierałam się właśnie do szpitala na operację. A poza tym pan Croft powiedział mi, że te blankiety są niebezpieczne i lepiej wypisać sobie wszystko samemu. Powiedział, że lepiej swobodnie napisać, co się chce, a nie trzymać się zbyt ściśle litery prawa.
- Pan Croft? Co on ma do tego?
- To on spytał mnie przed operacją, czy sporządziłam testament. Ja bym nigdy nie wpadła na taki pomysł. Powiedział, że jeśli umrę bez testamentu, to państwo zabierze sobie prawie wszystko i że byłaby to wielka szkoda.
- Pan Croft jest rzeczywiście bardzo uczynny.
- O tak - powiedziała Nick. - Zawołał Ellen i jej męża i kazał im się podpisać. No, naturalnie, ale ze mnie idiotka!
- Spojrzeliliśmy na nią ze zdumieniem.
- Naprawdę jestem strasznie głupia. Każę wam szukać po całym domu, a przecież testament jest u Charlesa. U mojego kuzyna, Charlesa Vyse.
- O! Więc tak!
- Pan Croft powiedział, że testament powinien spoczywać u adwokata. Teraz sobie przypominam.
- Tres correct, ce bon Monsieur Croft²⁷.
- Mężczyźni czasami na coś się przydają - stwierdziła Nick. - Testament powinien spoczywać u adwokata albo w banku. Tak powiedział. Zdecydowałam, że wobec tego najlepiej będzie, jak oddam go Charlesowi. Włożyliśmy tę kartkę papieru do koperty i wysłaliśmy ją prosto do niego.
- Z westchnieniem ulgi oparła się o poduszki. - Przykro mi, że byłam taka niemądra. No, ale teraz już pamiętam. Charles na pewno ma ten testament. A jeżeli chce go pan zobaczyć, to on go panu na pewno pokaże.
- Ale muszę mieć upoważnienie od pani - uśmiechnął się Poirot.
- To nonsens!
- Nie, mademoiselle. Po prostu ostrożność.
- A ja uważam, że to nonsens. - Wzięła kartkę papieru z nocnego stolika. - Co mam napisać? Proszę psu pokazać królika?
- Comment?
- Roześmiałam się na widok zdziwionej miny Poirota. Dyktował jej formułkę, a Nick pisała posłusznie.
- Dziękuję. - Poirot wziął upoważnienie od Nick.

- Przepraszam, że naraziłam pana na niepotrzebną robotę, ale rzeczywiście, zupełnie o tym zapomniałam. Pan wie, jak często zapomina się natychmiast o niektórych rzeczach.

- Jak się ma porządek w głowie, to się nie zapomina.

- Będę musiała zapisać się na jakieś kursy - zdecydowała Nick. - Pan wyrabia we mnie prawdziwy kompleks niższości.

- To niemożliwe. Au revoir, mademoiselle. - Rozejrzał się po pokoju. - Ma pani piękne kwiaty.

- O tak. Goździki są od Freddie, róże od George'a, a lilie od Jima Lazarusa. I niech pan spojrzy...

Rozwinęła z papieru duży koszyk pełen wspaniałych inspektowych winogron.

Poirot poczerwieniał. Zrobił krok naprzód.

- Czy pani zaczęła je już jeść?

- Nie, jeszcze nie.

- A więc niech pani nie próbuje. Nie powinna pani jeść nic, co przychodzi z zewnątrz. Nic! Czy pani rozumie?

- O!

Krew odpływała powoli z jej twarzy.

- Rozumiem. Pan uważa, że to jeszcze nie koniec? Że oni jeszcze będą próbowali?

- szepnęła.

Wziął ją za rękę. - Niech pani o tym nie myśli. Tutaj nic pani się nie może stać. Ale niech pani nie zapomina! Proszę nie jeść niczego, co pochodzi spoza kliniki!

Gdy wyszliśmy z pokoju, miałem wciąż przed oczami jej przerażoną twarz.

Poirot spojrział na zegarek.

- Bon! Zdażymy jeszcze złapać pana Vyse w biurze, zanim pójdzie na obiad.

Po przybyciu do kancelarii adwokackiej wprowadzono nas niemalże natychmiast do gabinetu pana Vyse.

Młody adwokat wstał, by nas powitać. Był jak zwykle bardzo sztywny i nieprzystępny.

- Dzień dobry panom. Czym mogę służyć?

Bez wstępów Poirot pokazał mu upoważnienie Nick. Vyse wziął list, przeczytał go, a potem spojrział na nas ze zdumieniem.

- Przepraszam bardzo, ale nic nie rozumiem.

- Czy list panny Buckley nie jest dostatecznie jasny?

- W liście tym prosi ona, bym przekazał panom testament spisany przez nią i przesłany mi do przechowania w lutym.

- Tak, monsieur.

- Ale, mój drogi panie, ja nigdy nie otrzymałem żadnego testamentu!

- Comment?

- O ile mi wiadomo, kuzynka moja nigdy nie spisała testamentu. Ja w każdym razie nie sporządzałem go dla niej.

- Jeśli się nie mylę, spisała go na kartce papieru i przesłała do pana.

Adwokat pokiwał głową.

- W takim razie mogę tylko powiedzieć, że testament ten nigdy do mnie nie dotarł.

- Doprawdy, proszę pana!...

- Nigdy nie otrzymałem takiego dokumentu, panie Poirot.

Nastąpiła krótka pauza, po czym Poirot wstał.

- Wobec tego, panie Vyse, nie mamy sobie więcej nic do powiedzenia. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

- Oczywiście, że jest to jakieś nieporozumienie.

Vyse również uniósł się z krzesła.

- Do widzenia panu!

- Do widzenia panom!

- I co dalej? - spytałem, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

- Precisement!

- Myślisz, że on kłamie?

- Trudno powiedzieć. Ma typową twarz pokerzysty. Ten nasz pan Vyse wygląda, jakby kij połknął. Jedno jest pewne, że nie zmieni swojego stanowiska. Nigdy nie otrzymał testamentu. Oto co będzie powtarzał.

- Nick zapewne ma piśmienne potwierdzenie odbioru.
 - Cette petite? Nawet by jej nie wpadło do głowy, żeby zażądać coś podobnego. Wysłała list i przestała o tym myśleć. Voila! Poza tym tego samego dnia poszła do szpitala na operację. Prawdopodobnie była trochę zdenerwowana.
 - Co robimy dalej?
 - Parbleu, pójdziemy pogadać z panem Croftem. Zobaczymy, co on sobie przypomina. Wydaje się, że był inicjatorem tej całej sprawy.
 - Przecież on nic na tym nie zyskał!
 - Nie, nie. Z tego punktu widzenia wszystko jest jasne. To po prostu taki facet, co się musi wtrącać do cudzych spraw. Z tych, co to tak szalenie lubią załatwiać sprawy swoich przyjaciół.
- Było to rzeczywiście stanowisko typowe dla pana Crofta. To jeden z ludzi, pomyślałem sobie, którzy robią tyle zamieszania w naszym życiu. Zastaliśmy go w kuchni, siedzącego bez marynarki nad kubkiem gorącej kawy. W małym domku unosił się niezwykle przyjemny zapach. Croft z ochotą porzucił swoje czynności kulinarne, by pogadać z nami o morderstwie.
- Momencik! - zawołał. - Wejdźcie, panowie, na górę. Moja starszuszka chętnie posłucha. Nie przebaczyłaby nam nigdy, gdybyśmy rozmawiali na dole i bez niej. Kuoo! Milly! Nasi przyjaciele idą na górę.
- Pani Croft przywitała nas bardzo serdecznie i z zainteresowaniem dopytywała się o stan zdrowia Nick. Podobała mi się znacznie bardziej niż jej mąż.
- Biedactwo! - powiedziała. - Leży w klinice, powiada pan? Szok, no pewnie! Wcale mnie to nie dziwi. Okropna historia, panie Poirot, okropna! Niewinna młoda dziewczyna zabita na miejscu. Nawet nie chce się to pomieścić w głowie. I pomyśleć, że nie jesteśmy w jakimś zakazanym zakątku kuli ziemskiej, tylko tu, w samym sercu starego kraju. Całą noc nie mogłam zasnąć.
 - Wiesz, że nie będę mógł teraz spokojnie pójść na miasto i zostawić cię w domu - powiedział pan Croft, który nałożywszy marynarkę też przyszedł na górę. - Jak pomyślę, że byłaś tu cały wieczór sama, to mnie aż dreszcze przechodzą.
 - Mówię ci, że więcej nie zostanę sama - powiedziała pani Croft. - W każdym razie nie wieczorami. A w ogóle chciałabym teraz wyjechać stąd, i to im prędzej, tym lepiej. Dla mnie tu się teraz wszystko zmieniło. Wyobrażam sobie, że ta biedna Nick Buckley pewnie nie będzie mogła już nigdy oka zmrużyć w tym domu. Niełatwo była naprowadzić rozmowę na temat, który nas interesował. Obydwoje państwo Croft mówili tak dużo i chcieli wiedzieć tyle szczegółów o wczorajszym wieczorze! Czy rodzina tej biednej zamordowanej dziewczyny przyjedzie? Kiedy będzie pogrzeb? Czy będzie śledztwo? Co myśli policja? Czy mają już jakieś podejrzenia? Czy to prawda, że aresztowano jakiegoś mężczyznę w Plymouth? Gdy odpowiedzieliśmy już na wszystkie pytania, zaczęli nalegać, żebyśmy zostali na obiedzie. Uratowało nas jedynie kłamliwe oświadczenie Poirota, że jesteśmy umówieni na obiad z komisarzem policji.
- Wreszcie nastąpiła chwila ciszy i Poirot mógł przystąpić do sprawy.
- Oczywiście! - odpowiedział pan Croft. Zaczął bezwiednie zaciągać i odsłaniać rolety. - Pamiętam to doskonale. To było zaraz po naszym przyjeździe. Wyrostek robaczkowy... Pamiętam, że lekarz od razu się na tym poznał.
 - Prawdopodobnie było to zupełnie co innego - przerwała mu pani Croft. - Ci lekarze zawsze chętnie operują, jak im się nadarzy okazja. I w ogóle jestem pewna, że nawet jeśli to było zapalenie wyrostka, to nie trzeba było wcale operować. Panna Nick cierpiała na niestrawność i miała jakieś bóle, a oni zaraz zrobili jej prześwietlenie i kazali krajać. No, i co myślicie, od razu zabrali to biedactwo do jakiegoś okropnego szpitala.
 - Zapytałem ją - powiedział pan Croft - o testament. Zaraz siadła i napisała go. Ale był to raczej żart...
 - Naprawdę?
 - No tak, siadła i napisała na kartce papieru. Chciała iść na pocztę i kupić sobie formularz, ale odradziłem jej. Mówiono mi, że z tymi formularzami są potem często kłopoty. No, a przecież jej kuzyn jest adwokatem. Gdyby wszystko dobrze się skończyło, to przecież on mógł jej potem napisać piękny, przepisowy testament, jak się należy. Wiedziałem zresztą, że operacja jest błaża. To było po prostu na wszelki wypadek.
 - A kto poświadczył?

- O, Ellen i jej mąż.
- A potem? Co się potem z tym stało?
- Wysłaliśmy testament do Vyse'a. Do tego adwokata, wie pan.
- Czy pan jest pewien, że list został wrzucony do skrzynki?
- Mój drogi panie, sam to zrobiłem. Tutaj do tej skrzynki, tuż koło furtki.
- A jednak pan Vyse twierdzi, że nigdy go nie otrzymał. Croft spojrział na Poirota z niedowierzaniem.
- Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że testament zaginął na poczcie? To niemożliwe!
- Czy pan jest zupełnie pewien, że wrzucił pan list do skrzynki?
- Najzupełniej! - zawołał pan Croft z przekonaniem. - Mogę na to przysiąc!
- Cóż? - powiedział Poirot. - Na szczęście nie ma to w tej chwili większego znaczenia. Mademoiselle w najbliższym czasie chyba nic się nie stanie. - Et voila! - westchnął Poirot, gdy byliśmy w drodze do hotelu i poza zasięgiem uszu państwa Croft. - Kto tu kłamie? Pan Croft? Charles Vyse? Przyznam się, że nie widzę powodu, dla którego pan Croft miałby kłamać. Zniszczenie testamentu nic by mu nie dało, zwłaszcza że to on sam spowodował spisanie go. To, co mówił, wydaje mi się zupełnie logiczne i zgadza się dokładnie z tym, co mówiła panna Nick. Ale mimo to...
- Co?
- Mimo to zadowolony jestem, że pan Croft znajdował się w kuchni, w chwili gdyśmy przyszli. Zostawił wspaniały tłusty odcisk kciuka i palca wskazującego na brzegu gazety, która leżała na stole kuchennym. Udało mi się niepostrzeżenie urwać ten kawałek. Poślemy go teraz do naszego przyjaciela, inspektora Jappa ze Scotland Yardu. Kto wie, może się na coś przyda...
- Aha.
- Wiesz co, Hastings, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nasz przemily pan Croft jest trochę za miły na to, żeby mógł być prawdziwy. A teraz - dodał - le dejeuner. Mdleję z głodu.

XV. DZIWNE ZACHOWANIE FRYDERYKI

- Kłamstwo Poirota o spotkaniu z komisarzem policji widocznie miało magiczne działanie, albowiem zaraz po obiedzie odwiedził nas pułkownik Weston. Był to wysoki mężczyzna o wojskowej postawie i bardzo przystojny. Miał wielki szacunek dla Poirota, którego przeszłość znał doskonale.
- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że jest pan tutaj, panie Poirot! - powtarzał raz po raz.
 - Bał się strasznie, że będzie zmuszony wezwać pomoc Scotland Yardu. Chciał za wszelką cenę rozwiązać zagadkową zbrodnię i chwycić mordercę bez ich pomocy. Toteż rzeczywiście był uszczęśliwiony przypadkową obecnością Poirota w St. Loo. Poirot wtajemniczył go we wszystkie tajniki swojego dochodzenia.
 - Bardzo dziwna sprawa - powiedział wreszcie pułkownik. - Nigdy w życiu nie słyszałem nic podobnego. No, przypuszczam, że dziewczynie w tej chwili nic nie grozi. Ale przecież nie można jej w klinice trzymać bez końca.
 - Na tym, panie pułkowniku, polega właśnie cała trudność. Jest na to tylko jedna rada.
 - Mianowicie?
 - Musimy schwytać zbrodniarza.
 - Jeżeli pańskie podejrzenia są słuszne, nie będzie to łatwa sprawa.
 - Ah! Je le sais bien²⁹.
 - Dowody! Zdobycie dowodów będzie potwornie trudne. - Zmarszczył brwi. - Te wszystkie wypadki, które odbiegają od normy, zawsze są paskudne. Gdybyśmy chociaż mogli znaleźć pistolet...
 - Który leży prawdopodobnie na dnie morza. To znaczy, jeżeli morderca ma choć trochę oleju w głowie.
 - Aa! - wykrzyknął pułkownik Weston. - Ale oni często wcale nie mają oleju w głowie. Nie uwierzyłyby pan, jakie głupstwa ludzie robią! Nie mówię o morderstwach. My tu nieczęsto mamy do czynienia z morderstwami. Ale w zwykłych sprawach sądowych. Człowiek, kiedy ma do czynienia z przestępcami, jest zdumiony, jacy to są idioci.

- Mają zupełnie inną mentalność.

- Oczywiście. Jeżeli Vyse jest naszym ptaszkiem, to sprawa nie będzie prosta. To człowiek bardzo ostrożny i dobry prawnik. Ten się nie zdradzi. Ta kobieta - cóż? W jej wypadku byłoby więcej nadziei. Założyłbym się o dziesięć do jednego, że spróbuje znowu. Kobiety nie mają cierpliwości.

Podniósł się z krzesła.

- Wstępne śledztwo odbędzie się jutro rano. Sędzia będzie współpracował z nami i postara się ujawnić jak najmniej faktów. Nie chcielibyśmy, żeby ludzie w tej chwili wiedzieli, w jakim kierunku idzie śledztwo. - Podszedł do drzwi, lecz nagle zawrócił. - Ale, ale, zapomniałem o najważniejszej rzeczy. Coś, co pana przecież najbardziej zainteresuje. I chciałbym, żeby pan się wypowiedział na ten temat.

Usiadł i wyjął z kieszeni postrzępioną kartkę papieru zapisaną jakimś niewyraźnym pismem.

- Moi chłopcy znaleźli to, gdy przeszukiwali ogród. Niedaleko miejsca, z którego oglądano fajerwerki. Jedyna interesująca rzecz, jaką znaleźli.

Poirot wygładził papier. Pismo było duże i nieskładne. Muszę mieć pieniądze zaraz. Jeżeli nie, to wiesz... co się stanie. Ostrzegam!

Poirot zamyślił się. Przeczytał kartkę kilka razy.

- To ciekawe - powiedział wreszcie. - Czy mogę to zachować?

- Oczywiście. Nie ma tam żadnych odcisków palców. Cieszyłbym się, gdyby panu się to na coś przydało. - Pułkownik Weston wstał po raz drugi. - Muszę uciekać. Jak już mówiłem, jutro wstępne śledztwo. A propos, pana nie powołaliśmy na świadka, tylko kapitana Hastingsa. Nie chcemy, żeby prasa się zorientowała, że pan zajmuje się tą sprawą.

- Rozumiem. A co się dzieje z rodziną tej biednej dziewczyny?

- Ojciec i matka przyjeżdżają dziś z Yorkshire około wpół do szóstej.

- Strasznie mi ich żal, biedaków! Mają jutro zabrać ze sobą zwłoki - Poirot potrząsnął głową.

- Okropna historia! I dla nas nie jest to przyjemne, panie Poirot.

- Oczywiście, pułkowniku.

Gdy pułkownik odszedł, Poirot raz jeszcze przyjrzał się skrawkowi papieru.

- Czy to coś ważnego? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ma posmak szantażu. Jeden z gości, obecnych tam owego pamiętnego wieczoru, otrzymał bardzo nieprzyjemne upomnienie pieniężne.

Oczywiście, jest zupełnie możliwe, że dotyczy to jednej z nie znanych nam osób, które zjawiły się po kolacji. - Przyjrzał się pismu przez niewielkie szkło powiększające. - Czy znasz może ten charakter pisma, Hastings?

- Wydaje mi się znajomy. O tak, pamiętam! To pismo pani Rice!

- Tak - rzekł Poirot powoli. - Jest pewne podobieństwo. To ciekawe. A jednak nie przypuszczam, żeby było to pismo pani Rice. Proszę! - zawołał, gdyż właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

Był to kapitan Challenger.

- Wpadłem na chwilę - powiedział. - Chciałem się dowiedzieć, czy posunął się pan nieco naprzód?

- Parbleu! - zaklął Poirot. - W tej chwili wydaje mi się, że raczej się cofnąłem.

- To niedobrze! Ale, szczerze mówiąc, wcale panu nie wierzę. Nasłuchałem się tylu rzeczy o panu i o pańskich wyczynach. Powiadają, że jeszcze nigdy nie poniósł pan porażki.

- Nieprawda - zdenerwował się Poirot. - W roku 1893, w Belgii, nie powiodło mi się. Pamiętasz, Hastings? Opowiadałem ci o tym. Była to ta historia z bombonierką.

- Pamiętam - odpowiedziałem.

Uśmiechnąłem się przy tym. Rzeczywiście przypomniałem sobie, że kiedyś, gdy opowiedział mi o tej swojej jedynej porażce, prosił, bym szeptał mu do ucha "bombonierka", ilekroć zauważę, iż wpada w zbytne zarozumialstwo. Gdy w kwadrans później użyłem tego magicznego słowa, był oczywiście głęboko urażony.

- Ale - powiedział Challenger - było to tak dawno temu, że dziś już nikt tego nie pamięta. Jestem pewny, że pan dojdzie do sedna sprawy, panie Poirot.

- O tak, przysięgam! Daję słowo honoru Herkulesa Poirot! Jestem psem, który raz natrafiwszy na trop, nigdy go nie opuszcza.
- Doskonale. Ale czy ma pan już jakieś konkretne podejrzenia?
- Podejrzewam dwie osoby.
- Zapewne nie należy pytać o ich nazwiska?
- Może pan pytać, i tak panu nie odpowiem. Bo widzi pan, w końcu i ja mogę się mylić.
- Mam nadzieję, że moje alibi jest wystarczające - uśmiechnął się blado Challenger.
- Poirot uśmiechnął się pobłaźliwie i spojrzał na opaloną twarz kapitana.
- Opuścił pan Devonport o godzinie ósmej trzydzieści. Przybył pan tutaj o dziesiątej pięć, czyli dwadzieścia minut po zbrodni. A odległość pomiędzy Devonport i St. Loo wynosi tylko trzydzieści mil. Nieraz już przyjeżdżał pan tu w ciągu niespełna godziny. A więc, jak pan sam widzi, pańskie alibi wcale nie jest takie dobre.
- Coś podobnego!...
- Sam pan rozumie, że zajmuję się każdym szczegółem. Pańskie alibi, jak już mówiłem, nie jest dobre. Ale poza alibi są jeszcze inne czynniki. O ile się nie mylę, chciałby pan poślubić pannę Nick?
- Twarz marynarza poczerwieniała.
- Zawsze tego pragnąłem - powiedział zachrypłym głosem.
- Oczywiście. Eh bien. Mademoiselle Nick była zaręczona z kim innym. Istnieje więc powód zgładzenia tamtego człowieka. Ale to zbyteczne, albowiem tamten ginie śmiercią bohatera.
- A więc to prawda! Nick była zaręczona z Michaeliem Setonem? Od rana wszyscy o tym plotkują na mieście.
- O tak, ciekawe, jak szybko takie rzeczy się rozchodzą. Czy pan przedtem niczego się nie domyślał?
- Wiedziałem, że Nick jest zaręczona. Zwierzyła mi się dwa dni temu. Ale nie powiedziała z kim.
- Z Michaeliem Setonem. Entre nous, pozostawił jej w spadku, o ile się nie mylę, sporą sumę pieniędzy. Nie, nie, w pańskim interesie nie leży zgładzenie mademoiselle Nick. W tej chwili oplakuje ona swojego ukochanego, ale na pewno się szybko pocieszy. A wydaje mi się, monsieur, że bardzo pana lubi...
- Challenger milczał dłuższą chwilę.
- Gdybym to ja... - zaczął wreszcie.
- W tej samej chwili zapukano do drzwi. Była to Fryderyka Rice.
- Szukam pana - powiedziała do Challengeera. - Powiedziano mi, że pana tutaj znajdę. Chciałam się dowiedzieć, czy odebrał pan mój zegarek.
- Tak. Z samego rana.
- Wyjął zegarek z kieszeni i wręczył go Fryderyce. Był to raczej niezwykły zegarek. Okrągły jak mały globusik, a zamiast rzemyka miał czarną wstążeczkę z mory. Przypomniałem sobie, że widziałem bardzo podobny zegarek na ręku Nick Buckley.
- Mam nadzieję, że teraz już nie będzie się spóźniał.
- Tak, to straszne zawracanie głowy. Ciągłe się coś psuje. - Ten zegarek odznacza się raczej pięknym wyglądem niż punktualnością, madame - zauważył Poirot.
- Czy nie można mieć jednego i drugiego? - Spojrzała na nas. - Czyżbym przerwała panom jakąś konferencję?
- Ależ nic podobnego, madame! Po prostu plotkowaliśmy. Mówiliśmy właśnie o tym, jak szybko rozchodzą się wiadomości. Już wszyscy wiedzą o zaręczynach panny Nick z tym dzielnym lotnikiem.
- A więc Nick była zaręczona z Michaeliem? - zdziwiła się Fryderyka.
- Czy to dla pani niespodzianka?
- Niezupełnie. Wiedziałam, że zrobiła na nim duże wrażenie, kiedy się poznali ubiegłej jesieni. Ale potem, po Bożym Narodzeniu, zdawało mi się, że się coś między nimi zmieniło, że stosunki ich ochłodziły. O ile mi wiadomo, prawie się nie widywali.
- A więc dobrze ukrywali swoją tajemnicę.

- Prawdopodobnie ze względu na sir Matthew. Jestem pewna, że był to człowiek niezupełnie normalny.
- A pani, madame, czy pani niczego nie podejrzewała? Przecież mademoiselle jest pani najlepszą przyjaciółką.
- Nick bywa piekielnie tajemnicza - mruknęła Fryderyka. - Ale teraz już rozumiem, dlaczego była ostatnio taka nerwowa. O Boże, przecież powinnam się była domyślić chociażby po jednej rzeczy, jaką mi powiedziała kilka dni temu.
- Pani przyjaciółka jest bardzo ładna.
- Jim Lazarus też tak niegdyś uważał - zaśmiał się Challenger swoim głośnym, raczej nietaktownym śmiechem.
- Ach, Jim! - Wzruszyła ramionami, ale zdawało mi się, że jest niezbyt zadowolona z tej uwagi.
- Zwróciła się do Poirota.
- Niech mi pan powie, panie Poirot, czy pan?... Zamilkła. Oczy jej spoczęły na świstku papieru leżącym na stole. Zachwiała się i gwałtownie zbladła.
- Co pani jest, madame?
- Podsunałem jej krzesło i pomogłem jej usiąść.
- Nic mi nie jest - powiedziała i pochyliła się naprzód, ukrywając twarz w dłoniach. Przyglądaliśmy się jej z niepokojem. Po chwili jednak wyprostowała się.
- Bardzo przepraszam. George, mój drogi, nie rób takiej zatroskanej miny. Pomówmy o morderstwie. O czymś podniecającym. Chciałbym wiedzieć, czy pan Poirot już jest na tropie.
- Jeszcze mi trudno powiedzieć, madame - powiedział Poirot.
- Ale ma pan już jakieś podejrzenia, prawda?
- Być może, ale brak mi jeszcze dowodów.
- O! - Jej głos zabrzmiał niepewnie. Nagle wstała. - Głowa mnie rozboleła. Chyba pójdę już i położę się. Może jutro pozwoli mi zobaczyć się z Nick.
- Wyszła szybko z pokoju. Challenger zmarszczył brwi.
- Z nią to nigdy nie wiadomo. Być może Nick ją lubi, ale wątpię, czy ona naprawdę lubi Nick. Zresztą, co to można wiedzieć z kobietami? Wciąż mówią sobie "złotko" i "kochanie", a pewnie myślą "wiedzmo", "jędzo". Czy pan wychodzi, panie Poirot?
- Poirot właśnie wstał i zaczął starannie czyścić swój kapelusz.
- Tak, idę do miasta.
- Nie mam nic do roboty. Czy mógłbym pójść z panem?
- Oczywiście. Będzie to dla mnie przyjemność. Wyszliśmy. Poirot, przeprosiwszy nas, wrócił do pokoju.
- Moja laska - wytłumaczył nam, gdy nas dogonił. Challenger skrzywił się lekko. Rzeczywiście, laska Poirota ze swoją złotą gałką rzucała się bardzo w oczy. Pierwsze swe kroki skierował Poirot do kwiaciarni.
- Muszę posłać kilka kwiatków mademoiselle Nick - oświadczył.
- Okazało się, że niełatwo mu dogodzić w tej materii. Wreszcie wybrał złoty koszyk, który kazał wypełnić goździkami koloru pomarańczowego. Wszystko to polecił jeszcze ozdobić szeroką niebieską wstążką. Sprzedawczyni wręczyła mu kartkę, na której skreślił zamasztyłym pismem: "Najlepsze życzenia powrotu do zdrowia. Herkules Poirot".
- Posłałem jej kwiaty z samego rana - oświadczył Challenger. - Może pošlę jej teraz nieco owoców. - Inutile30 - rzucił Poirot.
- Słucham?
- Nie ma po co. Nic jadalnego. Zabronione!
- Kto tak powiedział?
- Ja. Ja dałem taki rozkaz. Panna Nick jest już o tym powiadomiona.
- Mój ty Boże! - krzyknął Challenger.
- Był naprawdę zaskoczony. Spoglądał z zainteresowaniem na Poirota.
- Ach, tak - powiedział wreszcie. - A więc pan jeszcze ciągle boi się o jej życie?

Śledztwo było krótkie, raczej rzeczowe i suche. Najpierw powołano świadka do zidentyfikowania zwłok, następnie powołano mnie, żebym zaświadczył, w jakich okolicznościach znalazłem zwłoki dziewczyny. Potem zeznawał lekarz.

Dalszy ciąg śledztwa odroczonego na tydzień.

Morderstwo popełnione w St. Loo znalazło się na pierwszych stronach gazet.

Zajęło miejsce wielkich nagłówek mówiących o zaginięciu Michaela Setona.

Teraz, kiedy już było wiadomo, że Seton nie żyje, że się nie odnajdzie, nowa sensacja domagała się swoich praw. Tajemnicze morderstwo w St. Loo było prawdziwym błogosławieństwem dla gazet, których redaktorzy głowili się nad wypełnieniem szpalt w sezonie ogórkowym, jakim jest z reguły sierpień.

Po śledztwie udało mi się niepostrzeżenie umknąć sprzed nosa reporterom i spotkać z Poirotem. Razem poszliśmy na spotkanie z pastorem Gilesem Buckleyem i jego żoną.

Rodzice Madzi okazali się naprawdę czarującą parą, ludźmi prostymi i bezpośrednimi. Pani Buckley była wysoka i jasnowłosa. Na pewno pochodziła ze Skandynawii. Mąż jej - mężczyzna niewielkiego wzrostu, z siwymi włosami - odznaczał się bardzo ujmującą powierzchownością.

Byli zupełnie oszołomieni i zgnębieni nieszczęściem, jakie ich spotkało.

- Trudno mi w to uwierzyć! - mówił Buckley. - Takie dobre dziecko! Taka cicha i uczynna! Zawsze myślała o innych. Któż chciałby ją skrzywdzić? To niemożliwe!

- Nie mogłam zrozumieć tej depechy - dodała pani Buckley. - Przecież dopiero wczoraj odprowadziliśmy ją na dworzec.

- W pełni życia stajemy nagle w obliczu śmierci - szepnął jej mąż.

- Pułkownik Weston jest bardzo dla nas dobry - powiedziała pani Buckley. -

Zapewnia nas, że robi się wszystko, co w ludzkiej mocy, by odkryć mordercę. To musi być ktoś chory umysłowo. Innego wytłumaczenia nie ma.

- Madame, nie umiem pani powiedzieć, jak bardzo państwu współczuję i jak bardzo podziwiam pani hart ducha.

- Co zrobić! - powiedziała pani Buckley ze smutkiem. - Przecież nic już nam nie wróci naszej Madzi.

- Moja żona jest wspaniała - powiedział pastor Buckley.

- Jej wiara i odwaga zadziwiają mnie. Ale, panie Poirot, to wszystko jest takie dziwne i niezrozumiałe.

- Wiem, wiem, monsieur.

- Pan jest wielkim detektywem, prawda? - spytała pani Buckley.

- Tak powiadają, madame.

- O tak, wiem. Nawet w naszej małej wiosce ludzie słyszeli o panu. Pan dojdzie do prawdy, panie Poirot?

- Nie spocznę, póki nie znajdę mordercy.

- Prawda zostanie panu objawiona - odezwał się pastor.

- Zło nie może pozostać bezkarne.

- Tak jest, zło nie pozostaje bezkarne, ale kara jest często niewidoczna dla ludzi.

- Co pan ma na myśli? Poirot tylko potrząsnął głową.

- Biedna, mała Nick - powiedziała pani Buckley. - Strasznie mi jej żal. Napisała do mnie taki nieszczęśliwy list. Pisze, że czuje, iż zapraszając do siebie Madzię, sprowadziła na nią śmierć.

- To okropne! - dodał pastor.

- Wiem, co czuje Nick. Bardzo bym ją chciała zobaczyć. Przecież to niesłychane, żeby najbliższa rodzina nie mogła jej odwiedzać!

- Lekarze i pielęgniarki nie znają sentymentów - tłumaczył Poirot. - To oni wydają zarządzenia, nikt nie ma na to wpływu. Prawdopodobnie obawiają się, że widok państwa za bardzo ją wzruszy.

- Być może - powiedział pastor z powątpiewaniem. - Nie lubię zresztą klinik.

Nick wyzdrowiałaby znacznie szybciej, gdyby pozwolili jej pojechać do nas. Gdyby znalazła się z dala od tego miasta.

- To możliwe, ale obawiam się, że nie zgodzą się na to. Czy dawno już nie widział pan panny Nick?

- Nie widziałem jej od jesieni. Była wtedy w Scarborough. Madzia pojechała do niej na jeden dzień, a potem obydwie przyjechały do nas i Nick została na noc. To bardzo ładna dziewczyna, chociaż ma dość dziwnych przyjaciół. Nie mogę

powiedzieć, żebym ich lubił. Poza tym tryb życia, jaki prowadzi... No cóż, biedactwo, to nie jej wina. Nikt jej właściwie nie wychowywał.

- Dziwny to dom ten Samotny Dom - zamyślił się Poirot.

- Nie lubię go - odezwała się pani Buckley. - Nigdy go nie lubiłam. Jest tam coś niedobrego. Zresztą, prawdę mówiąc, nie znosiłam starego sir Nicholasa. Na jego widok dostawałam dreszczy.

- Tak, obawiam się, że nie był to najlepszy z ludzi - zgodził się jej mąż. - Ale miał jakiś dziwny urok.

- Ja tego nie widziałam - rzuciła pani Buckley. - A w tym domu jest jakaś niedobra atmosfera. Żałuję, żeśmy pozwalali Madzi tu przyjeżdżać.

- Cóż, teraz już za późno. - Pastor Buckley ze smutkiem potrząsnął głową.

- Muszę się z państwem pożegnać - przerwał Poirot rozmowę małżonków. - Chciałbym jeszcze raz wyrazić moje najgłębsze współczucie.

- Jest pan dla nas bardzo dobry. I jesteśmy panu naprawdę wdzięczni za wszystko.

- Kiedy wracają państwo do Yorkshire?

- Jutro. Niewesoła to podróż. Do widzenia, panie Poirot! Jeszcze raz bardzo dziękujemy!

- Urocza para - zauważyłem, gdy się oddaliliśmy. Poirot skinął głową na znak zgody.

- Serce boli, mon ami. Taka niepotrzebna tragedia... taka bezsensowna. Cette jeune fille³¹!... Ach! Powiadam ci, mam straszne wyrzuty sumienia. Ja, Herkules Poirot, byłem na miejscu i nie zdołałem zapobiec nieszczęściu.

- Nikt nie mógł mu zapobiec.

- Mówisz bez zastanowienia, Hastings! Przeciętny człowiek nie mógłby oczywiście... ale jeżeli się jest Poirotem, którego szare komórki są znacznie sprawniejsze od szarych komórek zwykłych śmiertelników, to odpowiedzialność jest o wiele większa.

- Oczywiście - mruknąłem. - Jeżeli tak rozumiesz...

- Jestem załamany, zrozpaczony... skompromitowany!

Pomyślałem sobie, że rozpacz Poirota przypominała raczej zwykłe zarozumiałstwo, ale oczywiście głośno nic podobnego bym nie wypowie działa.

- A teraz - zawołał - en avant! Jedziemy do Londynu!

- Do Londynu?

- Mais oui. Złapiemy pociąg odchodzący o drugiej. Tutaj wszystko w porządku.

Mademoiselle leży sobie bezpiecznie w klinice. Nikt nie może jej tam skrzywdzić.

Wobec tego jej strażnicy mogą sobie wziąć krótki urlop. Muszę zdobyć kilka ważnych informacji.

Po przybyciu do Londynu pierwsze kroki skierowaliśmy do kancelarii firmy adwokackiej Whitfield, Pargiter i Whitfield, z której usług korzystał kapitan Seton.

Poirot, jak się okazało, zapowiedział nasze przybycie, więc chociaż było już po szóstej, zostaliśmy od razu przyjęci przez prezesa firmy, pana Whitfielda.

Był to człowiek bardzo imponujący i dobrze wychowany. Miał przed sobą na biurku list od szefa policji oraz drugi list od jakiejś znakomitej osobistości ze Scotland Yardu.

- Postępowanie to jest zupełnie bezprecedensowe i niezwykle, panie... panie Poirot - powiedział, przecierając szkła okularów.

- Oczywiście. Ale to morderstwo też nie jest rzeczą codzienną, przeciwnie, raczej bezprecedensową.

- Prawda, prawda, ale nie widzę zbyt ścisłego związku pomiędzy tym morderstwem a testamentem mojego zmarłego klienta.

- To się okaże.

- Tak pan uważa? Cóż... okoliczności... Sir Henry w swoim liście bardzo nalega... wobec tego, oczywiście, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by panom pomóc.

- Pan był doradcą prawnym kapitana Setona?

- Mój drogi panie, byłem doradcą całej rodziny Setonów. Spełniamy tę funkcję... to znaczy nasza firma spełnia tę funkcję od kilkuset lat.

- Parfaitement! Czy sir Matthew Seton spisał testament przed śmiercią?

- Tak jest. Myśmy sporządzili go na jego żądanie.

- W jaki sposób rozporządził swoim majątkiem?

- Pozostawił szereg dotacji. Jedna przeznaczona jest dla Muzeum Nauk Przyrodniczych... ale trzon swojej fortuny... a chciałbym dodać, że jest to bardzo wielka fortuna... pozostawił swojemu bratankowi, Michaelowi Setonowi. Poza tym nie miał żadnych innych bliskich krewnych.
- Powiada pan, że jest to bardzo wielki majątek?
- Sir Matthew Seton był drugim z kolei najbogatszym człowiekiem w Anglii - odpowiedział pan Whitfield spokojnie.
- Miał dość dziwne zapatrywania, prawda?
- Pan Whitfield spojrział na Poirota surowym wzrokiem.
- Panie Poirot, milioner ma prawo do ekscentryczności. Ludzie nawet spodziewają się tego po nim.
- Poirot bez słowa przyjął tę reprimendę i zadał następne pytanie.
- O ile wiem, śmierć jego była nagła?
- O tak. Zupełnie niespodziana. Sir Matthew był człowiekiem doskonałego zdrowia. Okazało się jednak, że ma guz na jednym z organów wewnętrznych. Dokonano operacji, która, jak to zwykle w tych wypadkach, udała się doskonale. Ale sir Matthew umarł.
- I cały jego majątek przeszedł na kapitana Setona?
- Tak jest.
- O ile mi wiadomo, kapitan Seton przed odlotem z Anglii także spisał testament?
- Jeżeli chce pan to nazwać testamentem, to owszem - powiedział pan Whitfield z niesmakiem.
- Czy testament ten ma moc prawną?
- Owszem, najzupełniej. Intencje spadkodawcy są zupełnie jasne, poza tym sam dokument został podpisany przy świadkach. Ma więc moc prawną. Oczywiście.
- Testament ten nie podoba się panu, prawda?
- Mój drogi panie, ostatecznie od czego my jesteśmy?
- Zastanawiałem się już nieraz nad tym. Kiedyś, gdy chciałem zredagować bardzo prosty zresztą testament, przerażony byłem terminologią i zawilosciami sformułowań prawnych, którymi zasypał mnie mój adwokat.
- Prawdą jest - ciągnął pan Whitfield - że wtedy kapitan Seton nie rozporządzał żadnym majątkiem. Był całkowicie uzależniony od pieniędzy, jakie otrzymywał od swojego stryja. Uważał zapewne, że jakikolwiek świstek papieru wystarczy. I miał zupełną rację - pomyślałem sobie.
- Jaka jest treść tego testamentu? - spytał Poirot.
- Seton zapisał cały majątek swojej przyszłej żonie, pannie Magdali Buckley. Mnie wymienia jako wykonawcę jego woli.
- A więc panna Buckley jest jego spadkobierczynią.
- Tak jest, panna Buckley dziedziczy wszystko.
- A gdyby w ubiegły poniedziałek panna Buckley nagle umarła?
- Wobec tego, że kapitan Seton zmarł przed nią, cały jego majątek przeszedłby z kolei na osobę wymienioną w testamencie panny Buckley. A w braku testamentu na najbliższego krewnego. Chciałbym dodać - ciągnął pan Whitfield z wyraźną satysfakcją - że w tym wypadku podatek spadkowy byłby kolosalny. Kolosalny! Trzy zgony następujące po sobie w tak krótkim czasie! - Potrząsnął głową. - Kolosalny!
- Ale pozostałoby jeszcze coś niecoś? - spytał Poirot skromnie.
- Mój drogi panie, jak już rzekłem, sir Matthew był jednym z najbogatszych ludzi w Anglii.
- Poirot wstał.
- Dziękuję panu. Udzielił mi pan bardzo cennych informacji.
- Proszę uprzejmie. Jestem zawsze do usług. Będę oczywiście w kontakcie z panną Buckley... O ile pamiętam, wysłaliśmy już list do niej. Będę szczęśliwy, jeżeli potrafię się jej na coś przydać.
- A tej młodej osobie - powiedział Poirot - potrzebny jest dobry doradca prawny.
- Obawiam się, że będzie teraz oblegana przez adoratorów - pan Whitfield potrząsnął głową.
- Zapewne - zgodził się Poirot. - Do widzenia, monsieur!
- Do widzenia, panie Poirot! Jestem szczęśliwy, że mogłem się panu na coś przydać. Pańskie nazwisko wydaje mi się... dziwnie znajome.

Powiedział to z życzliwym uśmiechem, jak człowiek, który dzieli się z kimś przyjemną wiadomością.

- Wszystko wygląda tak, jak przewidziałeś - odezwałem się, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

- Mon ami, tak być musiało. Nie mogło być inaczej. Udamy się teraz do świetnej restauracji "Pod Serem Tylżyckim", gdzie umówiłem się z Jappem na kolację. Inspektor Japp ze Scotland Yardu czekał już na nas. Powitał Poirota z prawdziwą radością.

- Sto lat pana nie widziałem, panie Poirot! Myślałem, że siedzi pan gdzieś na wsi i hoduje pieczarki.

- Próbowałem, Japp, próbowałem! Ale nawet kiedy hoduję pieczarki, nie mogę odzepić się od zbrodni.

Westchnął głęboko. Wiedziałem, co miał na myśli. Tamta przedziwna historia, jaka wydarzyła mu się w Femley Park. Jakże żałowałem w owym czasie, że byłem tak daleko od miejsca zbrodni.

- O, jest i kapitan Hastings - ucieszył się Japp. - Jak się pan ma, kapitanie?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Mamy znów do czynienia z morderstwem - dodał Japp.

- Tak jest.

- Niech pan się nie poddaje, stary przyjacielu! - huknął Japp. - Jeżeli nawet nie potrafi pan rozwiązać tej zagadki, cóż, w pańskim wieku nie można się już spodziewać samych sukcesów. Wszyscy się starzejemy i musimy się z tym pogodzić. Trzeba ustąpić młodszemu, prawda?

- Ale stary pies zna najwięcej sztuczek - mruknął Poirot pod nosem. - Jest chytry. Nie opuszcza tropu.

- Ale my mówimy teraz o ludziach, nie o psach.

- Czyżby istniała taka wielka różnica?

- To zależy, jak pan patrzy na świat. Ale pan się naprawdę dobrze trzyma! Prawda, kapitanie? Zawsze doskonale wyglądał. Właściwie wcale się nie zmieni. Włosów ma może trochę mniej, ale wiecheć pod nosem taki sam, jak był.

- Co takiego? - zdziwił się Poirot.

- Japp ma na myśli twoje wąsy - wyjaśniłem.

- Wspaniałe, co? - Poirot czule pogłaskał swoje wąsiska. Japp wybuchnął głośnym śmiechem.

- No, dobra! - powiedział wreszcie. - Zrobiłem wszystko, co pan chciał. Te odciski palców, które pan przysłał...

- Tak? - zawołał Poirot.

- Nic z tego. Ten dżentelmen, do którego należą, niestety nie przeszedł przez nasze ręce. Oprócz tego telegrafowałem do Melbourne. Nie znają tam żadnego osobnika o podobnym nazwisku i rysopisie.

- O!

- Jest to oczywiście podejrzane. Z drugiej strony na pewno nie jest znany naszym ludziom. A co do tej drugiej osoby... - ciągnął dalej Japp.

- Ciekaw jestem.

- Lazarus i Syn mają doskonałą opinię na mieście. Bardzo uczciwa i godna zaufania firma. Może trochę bezwzględni, no ale w interesach bezwzględność jest konieczna. Natomiast jeśli chodzi o finanse, to jest z nimi niedobrze.

- Naprawdę?

- O tak... ludzie przestali chwilowo kupować obrazy i antyki. Jest moda na nowoczesne, kontynentalne meble.

W ubiegłym roku wybudowali sobie nowy lokal, no i wszystko razem zaprowadziło ich na krawędź bankructwa.

- Jestem panu bardzo zobowiązany.

- Ach, głupstwo! Przecież to mój zawód. Zrobiłem wszystko, czego pan żądał. Mamy swoje sposoby na zdobywanie tego rodzaju informacji.

- Mój kochany, co bym zrobił bez pana?

- Zawsze do usług. Zawsze chętnie pójdę na rękę staremu przyjacielowi. Pamięta pan dawne czasy? Dopuszczałem pana wtedy do niejednej ciekawej sprawy.

W ten sposób Japp chciał dać do zrozumienia Poirotowi, że jest mu wdzięczny za rozwiązanie wielu trudnych zagadek kryminalnych, z którymi on nie potrafił sobie dać rady.

- Tak, to były dobre czasy.
- Chętnie bym sobie z panem od czasu do czasu uciał pogawędkę. Pana metody są, być może, staroświeckie, ale ma pan głowę na karku, panie Poirot!
- A co do doktora MacAllistera, czy dowiedział się pan czegoś?
- O! Ten leczy głównie kobiety. Nie jest ginekologiem, lecz specjalistą od zaburzeń nerwowych. Każe im spać w pokojach wymalowanych na kolor fioletowy z pomarańczowymi sufitami... Opowiada im o ich kompleksach czy innych bzdurach. Okropny facet! Moim zdaniem to po prostu znachor. Ale, powiadam panu, baby łąza do niego jak pszczoły do miodu. Często jeździ za granicę... O ile się nie mylę, ma też praktykę w Paryżu.
- Kto to jest ten MacAllister? - spytałem zdumiony. - Co on ma z tym wszystkim wspólnego?
- Doktor MacAllister jest stryjem kapitana Challengeera - wyjaśnił Poirot. - Nie pamiętasz, jak raz wspomniał, że ma stryja lekarza?
- Jesteś rzeczywiście niezwykle sumienny - rzuciłem. - Czyżbyś przypuszczał, że to on operował sir Matthew?
- Nie jest chirurgiem - powiedział Japp.
- Mon ami - odezwał się Poirot. - Wiesz, że badam każdy ślad. Herkules Poirot jest dobrym psem. A dobry pies idzie za swoim węchem. Jeżeli trop mu się urywa, węszy dokoła, zawsze w poszukiwaniu czegoś, co niezbyt dobrze pachnie. Tak samo postępuje Poirot. I często... ha! jakże często... znajduje to, o co mu chodzi.
- Nasz zawód nie należy do najprzyjemniejszych - dodał Japp. - O, serek stultoński! Dziękuję bardzo. Jak już mówiłem, nasz zawód nie należy do najprzyjemniejszych. A panu jest jeszcze trudniej niż mnie. Pan nie jest osobą oficjalną i dlatego musi pan bardzo często, pod różnymi pozorami, wkradać się w różne miejsca.
- Japp, wie pan dobrze, że nigdy się nie maskuję - oburzył się Poirot.
- Nie mógłby pan - uśmiechnął się Japp. - Nawet gdyby pan chciał. Jest pan człowiekiem jedynym w swoim rodzaju. Kto pana raz zobaczy, ten pana nigdy nie zapomni.
- Poirot spojrział na niego z powątpiewaniem.
- Tak sobie tylko żartuję - dorzucił Japp. - Zna mnie pan. Szklaneczkę porto? Owszem. Nie odmawiam.
- Resztę wieczoru spędziliśmy na wspominaniu dawnych czasów. Przyznaję, wspomnienia te sprawiły mi dużą przyjemność. O tak, to były dobre czasy! Czułem się stary i doświadczony.
- Biedny, stary Poirot! Widziałem wyraźnie, że jest zupełnie zagubiony w różnorodnych faktach, które wypływają na światło dzienne w związku z morderstwem w Samotnym Domu. Co tu dużo gadać, nie miał już tej giętkości umysłu co dawniej. Czułem, że tym razem poniesie porażkę, że morderca Madzi Buckley nigdy nie zostanie odkryty.
- Odwagi, mój przyjacielu! - Poirot nagle poklepał mnie mocno po plecach. - Jeszcze nie wszystko stracone. Błagam cię, nie rób takiej tragicznej miny!
- Ale skąd! Jestem jak najlepszej myśli.
- I ja również. I Japp też.
- Wszyscy jesteście najlepszej myśli - dodał Japp radośnie. Z tym optymistycznym stwierdzeniem pożegnaliśmy się.
- Nazajutrz rano powróciliśmy do St. Loo. Po przybyciu do hotelu Poirot zadzwonił do kliniki i kazał się połączyć z Nick.
- Nagle zobaczyłem, że wyraz twarzy gwałtownie mu się zmienia. Prawie opuścił słuchawkę na ziemię.
- Comment? Co takiego? Proszę powtórzyć! - Przez minutę czy dwie słuchał, co do niego mówiono. Potem powiedział: - Tak, tak. Będę za chwilę.
- Był blady jak płótno.
- O Boże, Hastings, jak mogłem wyjechać! Jak mogłem!
- Co się stało?
- Mademoiselle jest bardzo chora. Zatrucie kokainą. Więc jednak dotarli do niej! Mon Dieu! Mon Dieu! Jak mogłem wyjechać!

W drodze do kliniki Poirot mruczał coś pod nosem. Robił sobie straszne wyrzuty.
 - Powinienem był wiedzieć, że coś się stanie. No, ale czy mogłem zrobić więcej, niż zrobiłem? Wszystko, co można było przewidzieć, zostało przewidziane. To niemożliwe!... Niemożliwe! Przecież nikt nie miał do niej dostępu! Kto nie podporządkował się mojemu rozkazowi?

W klinice kazano nam poczekać w małym pokoiku na parterze. Po kilku minutach zjawił się doktor Graham. Był blady i wymęczony.

- Będzie żyła - powiedział. - Niebezpieczeństwo minęło. Najgorsze, że nie wiedzieliśmy, ile ona połknęła tego świństwa.

- Co to było?

- Kokaina.

- Ale będzie żyła?

- Tak, tak, na pewno.

- Jak to się stało? Jak do niej dotarli? Czy wpuszczono kogoś? - Poirot aż podskakiwał z bezsilnej złości.

- Nikogo do niej nie dopuszczano.

- Niemożliwe!

- Niestety, to prawda...

- Ale w takim razie...

- To była bombonierka.

- O, do licha! Powiedziałem jej, żeby nie jadła nic, ale to nic, co zostanie przysłane z zewnątrz.

- Nic o tym nie wiem. Sam pan rozumie, że powstrzymanie dziewczyny od jedzenia czekoladek nie jest rzeczą łatwą. Na szczęście zjadła tylko jedną!

- A czy we wszystkich czekoladkach była kokaina?

- Nie. Panna Nick zjadła jedną. Jeszcze dwie w wierzchniej warstwie były zatrute. Reszta jest w porządku.

- Jak została wprowadzona kokaina?

- W sposób niesłychanie prymitywny. Czekoladki były przecięte na pół, nadzienie zmieszane z kokainą i włożone z powrotem, a czekoladka złożona. Zupełnie amatorska robota.

Poirot jęknął.

- O, gdybym tylko wiedział, gdybym mógł przewidzieć! Czy mogę się zobaczyć z mademoiselle?

- Za jakąś godzinę - odpowiedział doktor Graham. - Ale niech pan się przestanie tak denerwować! Dziewczyna będzie żyła.

Przez całą godzinę spacerowaliśmy po ulicach St. Loo. Próbowałem uspokoić Poirota, pocieszając go tym, że ostatecznie dziewczynie nic się nie stało i że wszystko się dobrze zakończyło.

Ale on tylko potrząsał głową i mamrotał:

- Boję się, Hastings, boję się...

Sposób, w jaki to powiedział, wzbudził i we mnie uczucie dziwnego lęku.

Nagle chwycił mnie za ramię.

- Posłuchaj, przyjacielu! Myliłem się cały czas. Myliłem się od początku!

- To znaczy, że nie szło wcale o pieniądze?...

- Nie, co do tego miałem rację. O tak! Ale tych dwoje... Nie, to zbyt proste... zbyt łatwe. Tam jeszcze coś jest. Tak, tak, jeszcze coś zupełnie innego! - Potem wybuchnął szczerym oburzeniem: - Oh, cette petite! Czy nie zabroniłem jej kategorycznie? Czy nie powiedziałem wyraźnie, żeby nie dotykała niczego, co przychodzi z zewnątrz? A ona nie posłuchała mnie, zlekceważyła sobie Herkulesa Poirot! Czterokrotnie uniknęła cudem śmierci. Czy nie dość jej jeszcze? Czy musiała koniecznie zaryzykować po raz piąty? Ah, c'est inouï32!

Wreszcie powróciliśmy do kliniki. Po krótkiej chwili zaprowadzono nas na górę. Nick siedziała w łóżku, wsparta o poduszki. Żrenice miała bardzo rozszerzone, gorączkowe wypieki na policzkach, a ręce jej drgały nieustannie.

- No co, znowu się do mnie dobrali - szepnęła.

Poirot na jej widok wzruszył się prawdziwie. Chrząknął kilka razy i ujął jej dłoń.

- Och, mademoiselle, mademoiselle!

- Mnie jest naprawdę wszystko jedno - powiedziała. - Gdyby mnie uśmiercili tym razem, byłabym szczęśliwa. Mam tego wszystkiego zupełnie dość.

- Pauvre petite!
- Ale widać jest we mnie coś takiego, co nie chce im ustąpić.
- To pani twardego ducha, mademoiselle! Pani nie jest z tych, co łatwo ustępują.
- No i widzi pan, że ten pański pomysł z kliniką wcale nie był taki genialny.
- Gdyby pani mnie usłuchała, mademoiselle... Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Jak to? Przecież posłuchałam pana.
- Czy nie prosiłem panią, żeby pani nie jadła niczego, co zostanie przysłane z zewnątrz?
- Ależ ja nic nie jadłam.
- A te czekoladki?
- Czekoladki? Przecież to pan je przysłał!
- Ja? Nic podobnego!
- Co?

Nick drżącą dłonią wskazała na swój nocny stolik. Pielęgniarka wysunęła się natychmiast naprzód.

- Czy chce pani tę karteczkę, która przyszła z bombonierką?
- Tak jest, siostrze, proszę!

Zaległa chwila milczenia. Pielęgniarka wróciła do pokoju z karteczką w rękę.

- Proszę bardzo.

Wzdrygnąłem się, Poirot także. Albowiem na kartce widniały te same słowa, jakie wypisał Poirot na innej karteczce, którą załaczył do kosza kwiatów.

"Najlepsze życzenia powrotu do zdrowia. Herkules Poirot".

- Sacre tonnerre!

- No, widzi pan - powiedziała Nick z wyrzutem w głosie.

- To nie ja pisałem! - krzyknął Poirot. - Co?

- A jednak - wymamrotał - a jednak to mój charakter pisma.

- No, pewnie! Jest taki sam jak na kartce, która przyszła razem z tymi pomarańczowymi goździkami. Ani przez chwilę nie wątpiałam, że czekoladki były od pana.

Poirot potrząsnął głową.

- I nic dziwnego. O, to diabeł! Chytry, szczywany diabeł! Że też wpadł na coś podobnego. Ale to geniusz! Co tu gadać. Takie niby proste, a jednak trzeba było na to wpaść. A ja, ja o tym nie pomyślałem! Ja nie przewidziałem tego posunięcia!

Nick poruszyła się niespokojnie.

- Niech się pani nie denerwuje, mademoiselle! Pani nie ma sobie nic do zarzucenia. Cała wina leży po mojej stronie. Jestem skończonym durniem!

Powinienem być przewidzieć to posunięcie. Oczywiście!

Opuścił głowę na piersi. Był niepokojony.

- Wydaje mi się... - chrząknęła pielęgniarka.

- O tak. Naturalnie. Już idziemy. Odwagi, mademoiselle! To mój ostatni błąd.

Jestem zawstydzony i nieszczęśliwy... zostałem zdystansowany, upokorzony... jak uczeń trzeciej klasy. Ale to ostatni raz! Przysięgam pani! Chodźmy, Hastings! Poirot natychmiast udał się do przełożonej kliniki, która była bardzo skonsternowana całym tym wypadkiem.

- Powiem panu szczerze, iż wydaje mi się zupełnie niemożliwe - powiedziała - żeby coś podobnego mogło się zdarzyć w mojej klinice.

Poirot był bardzo taktowy i wyrozumiały. Gdy już dostatecznie ją udobruchał, zaczął zadawać pytania co do okoliczności, w jakich dostała się do kliniki ta niebezpieczna przesyłka. Przełożona skierowała nas do pielęgniarza, który w owym czasie znajdował się na służbie. Człowiek ten nazywał się Hood i nie grzeszył zbyt dużą inteligencją. Wyglądał na jakieś dwadzieścia dwa lata i miał twarz głupią, ale uczciwą. Był zdenerwowany i przerażony. Poirot jednakże szybko go uspokoił.

- Pan nie ponosi tu najmniejszej winy - powiedział łagodnie. - Ale chciałbym, żeby opowiedział mi pan dokładnie, kiedy i jak przybyła ta paczuszka.

Pielęgniarz spojrzał na nas ze zdziwieniem.

- Trudno powiedzieć - odezwał się wreszcie. - Tu przynoszą dziennie tyle paczek. Ludzie przychodzą, pytają o różnych pacjentów, zostawiają paczuszki, kwiaty.

- Pielęgniarka powiada, że bombonierka ta nadeszła wczoraj wieczorem - powiedziałem. - Gdzieś koło godziny szóstej.

Twarz młodego człowieka rozjaśniła się.

- Aha, teraz sobie przypominam! - ucieszył się. - Przyniósł ją jakiś pan.

- Blondyn o szczupłej twarzy?

- Owszem blondyn, ale nie pamiętam, czy miał szczupłą twarz.

- Czyżby Charles Vyse przyniósł to we własnej osobie? - szepnąłem do Poirota. Zapomniałem, że młody człowiek zna zapewne wszystkich miejscowych ludzi.

- O nie, to nie był pan Vyse - powiedział od razu. - Znam go. Ten pan był wyższy... bardzo przystojny... przyjechał dużym samochodem.

- Lazarus! - zawołałem.

Poirot spojrział na mnie ostrzegawczo i natychmiast pożałowałem, że dałem się unieść temperamentowi.

- Przyjechał tu wielkim samochodem i zostawił paczuszkę? Była zaadresowana do panny Buckley?

- Tak jest, proszę pana.

- I co pan z nią zrobił?

- Nic. Nie dotknąłem jej nawet. Siostra zaniósła ją na górę.

- Ale gdy odbierał ją pan od tego pana, to jednak musiał jej pan dotknąć.

- No tak, naturalnie. Wziąłem ją od niego i położyłem na stole.

- Na którym stole? Proszę mi go pokazać!

Pielęgniarski zaprowadził nas do holu. Frontowe drzwi były szeroko otwarte. W pobliżu, pod ścianą, znajdował się duży stół z marmurowym blatem, na którym leżały listy i paczuski.

- Wszystko, co przychodzi, kładziemy na tym stole. Pielęgniarki zanoszą pacjentom ich przesyłki.

- Czy pamięta pan, o której przyniesiono tę paczuszkę?

- Musiała być jakaś piąta trzydzieści, a może trochę później. Pamiętam, że listonosz już był, a przychodzi zwykle o wpół do szóstej. Byłem bardzo zajęty, masa ludzi przyszła z kwiatami i z wizytami do pacjentów.

- Dziękuję panu. A teraz chcielibyśmy zobaczyć siostrę, która zaniósła tę paczuszkę na górę.

Była to jedna z praktykantek, młoda, ładniutka dziewczyna, szalenie podniecona tym, co się stało. Pamiętała dobrze, że przyszła na swoją zmianę o godzinie szóstej.

- Szósta - mruknął Poirot. - W takim razie paczuszka przeleżała na tym stole około dwudziestu minut.

- Słucham?

- Nic, mademoiselle. Niech pani mówi dalej. Zaniósła pani paczuszkę do panny Buckley?

- Tak. Było dla niej kilka rzeczy. Ta paczuszka i kwiatki... zdaje się, że groszek pachnący od jakichś państwa Croft, jeśli się nie mylę. Zaniósłam to wszystko razem. I była tam jeszcze jedna paczuszka, która została przesłana pocztą, i co najdziwniejsze... to była też bombonierka Fullera.

- Comment? Dwie bombonierki?

- Tak, dziwny zbieg okoliczności. Panna Buckley otworzyła obydwie. Powiedziała: "O, jaka szkoda, że nie wolno mi nic jeść". Potem podniosła wieko, by zajrzeć do środka i zobaczyć, czy są rzeczywiście identyczne, i w jednej z nich była pańska karteczka. Powiedziała od razu: "Niech siostra zabierze to zakazane pudełko. Jeszcze mogłabym się pomylić". Ojej, kto by pomyślał, że coś podobnego się zdarzy! To zupełnie jak w powieści kryminalnej, no nie? Poirot przerwał potok jej słów.

- Powiada pani, że były dwie identyczne bombonierki? A od kogo była ta druga?

- Nie było żadnego nadawcy.

- A która z nich była... niby to... ode mnie? Czy ta, co przyszła pocztą, czy ta druga?

- Ojej, tego to już nie wiem! Czy chce pan, żebym poszła na górę i spytała pannę Buckley?

- Gdyby pani zechciała... Pobiegnę na górę.

- Dwie bombonierki - mamrotał Poirot. - To dopiero pasztet.

Siostrzyczka powróciła zdyszana.

- Panna Buckley nie jest pewna. Zanim zajrzała do środka, odpakowała obydwie paczuski. Ale wydaje jej się, że ta niby pańska nie przyszła pocztą.

- Nie? - zdziwił się Poirot.
- Tak jej się przynajmniej teraz zdaje. Ale pewna nie jest.
- Diable! - zaklął Poirot, gdy znaleźliśmy się znów na ulicy. - Nikt nigdy nie jest niczego pewien. W powieściach kryminalnych owszem. W życiu nigdy. W życiu wszystko jest zawsze okropnie pogmatwane. Czy ja sam wiem cokolwiek na pewno? Skąd! Nie, nie, po tysiackroć nie!
- Lazarus? - rzuciłem.
- Tak, to dopiero niespodzianka, co?
- Czy będziesz z nim rozmawiał?
- Oczywiście. Ciekaw jestem bardzo, jak on na to zareaguje. Ale, a propos, powinniśmy udawać, że stan panny Nick jest bardzo ciężki. Nic nam to nie zaszkodzi, jeżeli udamy, że jest jedną nogą na tamtym świecie. Rozumiesz, co? Przybierzemy pogrzebowe miny. Tak, świetnie! Wyglądasz zupełnie jak karawaniarz. C'est tout a fait bien³³.
- Mieliśmy szczęście, od razu bowiem natknęliśmy się na Lazarusa. Stał przed hotelem i majstrował coś przy motorze swego samochodu.
- Poirot podszedł prosto do niego.
- Podobno wczoraj wieczorem zostawił pan bombonierkę dla mademoiselle? - zaczął bezpośrednio.
- Lazarus spojrział na niego ze zdumieniem.
- Tak.
- To bardzo ładnie z pańskiej strony.
- Prawdę mówiąc, czekoladki były od Freddie, od pani Rice. Prosiła mnie, żebym to dla niej załatwił.
- Ach tak?
- Zawiozłem je samochodem.
- Rozumiem. - Poirot milczał przez chwilę, a potem spytał: - A gdzie jest pani Rice?
- Zdaje się, że siedzi w hallu.
- Fryderyka właśnie piła herbatę. Spojrzała na nas z niepokojem.
- Czy to prawda, że Nick się rozchorowała?
- Tak, to bardzo tajemnicza historia. Niech mi pani powie, czy posłała jej pani wczoraj pudełko czekoladek?
- Tak. To znaczy, ona sama mnie o to prosiła.
- Ona panią o to prosiła?
- Tak.
- Przecież zabroniono jej przyjmowania jakichkolwiek gości. Jak się pani z nią porozumiała?
- Ona po prostu do mnie telefonowała.
- I co... i co powiedziała?
- Żebym jej kupiła kilową bombonierkę czekoladek Fullera.
- Jak brzmiał jej głos? Słabo?
- Nie, wcale nie. Nawet bardzo mocno. Ale może trochę dziwnie. W pierwszej chwili nie mogłam jej poznać po głosie.
- Dopóki sama nie powiedziała pani, że to ona, tak?
- Tak.
- Czy pani jest pewna, że to była ona?
- Fryderyka spojrziała na nas w najwyższym zdumieniu.
- Ja... ja... no pewnie, że to była Nick. Kto inny mógłby?...
- To bardzo ciekawe pytanie.
- Nie myśli pan chyba?... - Czy mogłaby pani przysiąc, że był to głos pani przyjaciółki?
- Nie - powiedziała Fryderyka powoli. - Nie mogłabym przysiąc. Głos był rzeczywiście zmieniony. Myślałam, że to może wina aparatu telefonicznego... lub choroby... bo ja wiem.
- Gdyby nie powiedziała, kto mówi, nie poznałaby jej pani?
- Nie... nie, chyba nie. Ale kto to mógł być, panie Poirot? Kto?
- Dowiemy się, madame.
- Powaga jego głosu wzbudziła w niej podejrzenia.
- Czy Nick... czy stało się co? Poirot skinął głową.

- Jest bardzo chora... bardzo niebezpiecznie chora. Te czekoladki, madame... były zatrute.

- Czekoladki, które ja jej posłałam? To zupełnie wykluczone!

- Niewykluczone, madame, skoro mademoiselle w tej chwili walczy ze śmiercią.

- O, mój Boże! - Fryderyka ukryła twarz w dłoniach. Po chwili uniosła głowę.

Drżała na całym ciele. Była blada. - Nic nie rozumiem... nie rozumiem! Wszystko inne tak, ale tego naprawdę już nie rozumiem. Nie mogły być zatrute! Nikt ich nie dotykał! Tylko ja i Jim. Panie Poirot, pan popełnia jakąś straszliwą omyłkę. - To nie ja popełniam omyłkę... nawet jeżeli karteczka z moim nazwiskiem była w bombonierce.

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Jeżeli panna Nick umrze... - powiedział i rozłożył ręce. Fryderyka wydała okrzyk grozy.

Poirot odwrócił się i wzięwszy mnie pod ramię udał się do swojego saloniku. Rzucił kapelusz na stół.

- Nic nie rozumiem, nic. Błądzą w zupełnych ciemnościach. Jak małe dziecko. Kto mógłby zyskać na śmierci mademoiselle? Madame Rice? Kto kupuje czekoladki, przyznaje się do tego, a potem opowiada jakąś nieprawdopodobną historię o rozmowie telefonicznej, w którą żaden rozsądny człowiek nie uwierzyłby nawet przez sekundę? Madame Rice! To zbyt proste, zbyt głupie, żeby mogło być prawdziwe. A madame Rice głupia nie jest. O nie!

- W takim razie?...

- Ale ona zażywa kokainę, Hastings. Jestem pewny, że to narkomanka. A w tych czekoladkach była przecież kokaina. A co miała na myśli, mówiąc: "Wszystko inne tak, ale tego naprawdę już nie rozumiem". Trzeba to wyjaśnić. A ten gładki pan Lazarus? Jaka jest jego rola w tym wszystkim? Co wie pani Rice? A wie coś na pewno! Ale nie mogę jej zmusić do mówienia. Nie można jej tak łatwo przestraszyć i skłonić do zwierzeń. Powiadam ci, Hastings, ona coś wie! Czy ta jej historyjka o rozmowie telefonicznej z Nick jest prawdziwa, czy też wymyśliła ją sobie? A jeżeli jest prawdziwa, to kto u licha telefonował? Powiadam ci, Hastings, wszystko jest bardzo tajemnicze. Błądzimy w zupełnych ciemnościach.

- Zawsze najciemniej jest przed świtem - zaryzykowałem. Potrząsnął głową.

- A ta druga bombonierka, która przyszła pocztą? Czy możemy wykluczyć, że właśnie w niej były zatrute czekoladki? Nie, nie możemy. Bo Nick sama nie jest tego pewna. Jakież to denerwujące!

Jęknął.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie pozwolił mi.

- Nie, nie. Zaoszczędź mi dalszych przysłów. Nie znoszę tego. Jeżeli jesteś moim prawdziwym przyjacielem...

- Ależ oczywiście! - zawołałem.

- To idź i kup mi talię kart. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Doskonale - odezwałem się chłodno.

Byłem pewny, że chce się mnie po prostu pozbyć.

Jednakże nie doceniłem Poirota. Gdy tegoż wieczora około godziny dziesiątej wszedłem do jego pokoju, zastałem go siedzącego przy stole i budującego domki z kart.

Był to jego stary zwyczaj. Uspokajał w ten sposób wzburzone nerwy.

- Pamiętasz? - przywitał mnie uśmiechem. - Najważniejsza rzecz to precyzja.

Karta na kartę i to dokładnie w takim miejscu, które zapewni im równowagę. I znowu następna, i następna. Idź spać, Hastings! Zostaw mnie z moim domkiem z kart. Muszę sobie rozjaśnić w głowie.

Była może jakaś piąta rano, gdy ktoś gwałtownie mnie obudził. Poirot stał nade mną i potrząsał moim ramieniem. Był wesoły i szczęśliwy. Z trudem zbudziłem się.

- Miałeś rację, przyjacielu! Miałeś całkowitą rację! Nic nie rozumiałem.

- Zawsze najciemniej jest przed świtem, tak powiedziałaś, prawda? Miałeś rację, powiadam ci! Było bardzo ciemno, a teraz świta.

Spojrzałem w okno. Świtało.

- Nie, nie, Hastings! Nie tam! W głowie! W mózgu! W szarych komórkach!

Zamilkł, a potem dodał spokojnie:

- Widzisz, Hastings, mademoiselle nie żyje.

- Co? - krzyknąłem, odzyskawszy całkowicie przytomność.

- Cicho, cicho! Jest tak, jak mówię, ale nie naprawdę. Na niby, bien entendu! Ale możemy to załatwić. No, tak, przez dwadzieścia cztery godziny nie będzie mademoiselle na świecie. Załatwię to z lekarzem i pielęgniarkami. Rozumiesz, Hastings? Morderstwo zostało dokonane. Cztery razy morderca próbował, lecz nadaremnie. Za piątym razem udało mu się. Ale teraz zobaczymy, co będzie dalej...

- To powinno być bardzo ciekawe.

XVIII. TWARZ W OKNIE

Wypadki, jakie zaszły następnego dnia, wciąż jeszcze nie są dla mnie całkowicie jasne. Obudziłem się niestety z dość wysoką gorączką. Zdarza mi się to od czasu do czasu, gdyż przed kilkanaście laty chorowałem na malarię.

W rezultacie wszystko, co działo się owego dnia, pozostało mi we wspomnieniu niby zły sen, w którym raz po raz pojawiał się u mojego wezwłowa Poirot, jak mały fantastyczny kłown z cyrku.

Przypuszczam, że bawił się doskonale. Udawał człowieka zrozpaczonego i zdezorientowanego. Jak wreszcie doszedł do rozwiązania zagadki, którą wyłożył mi w pierwszym brzasku poranka, tego nie potrafię powiedzieć. Fakt jednak pozostaje faktem.

Nie była to rzecz łatwa. Liczba podstępów i gier, jakie zastosował, musiała być kolosalna. Anglicy na ogół nie nadają się do utrzymywania na dłuższą metę wielkich kłamstw, a rola Poirota właśnie tego wymagała. Najpierw musiał skłonić doktora Grahama do wzięcia udziału w swoim planie. Gdy przekonał już doktora o konieczności zagrania komedii, musiał z kolei przekonać o tym przełożoną kliniki i kilka osób spośród personelu. Tutaj trudności musiały być olbrzymie i najprawdopodobniej zadecydowała postawa doktora Grahama.

Następnie trzeba było nakłonić policję i komisarza policji. Tutaj Poirot natknął się na opory czysto biurokratyczne. Mimo to po długich perswazjach udało mu się przekonać pułkownika Westona. Pułkownik zaznaczył, że zrzuca z siebie odpowiedzialność za rozsiewanie fałszywych pogłosek i że spoczywa ona całkowicie na barkach Poirota. Poirot oczywiście zgodził się z miejsca. Zgodziłby się na wszystko pod warunkiem, że będzie mógł przeprowadzić swój plan działania. Spędziłem większą część dnia, drzemiąc w wielkim fotelu opatulony mnóstwem koców. Co dwie, trzy godziny wpadał do mojego pokoju Poirot i komunikował mi najświeższe nowiny.

- Comment ça va, mon ami? Jakże ci współczuję. Ale może to i lepiej. Ty nie potrafisz grać farsy tak dobrze jak ja. Przed chwilą właśnie zamówiłem wieniec na trumnę. Kolosalny wieniec! Lilie, przyjacielu, ogromne, białe lilie! "Z głębokim żalem, Herkules Poirot". O, co za zabawa!

Wybiegł z pokoju.

- Wracam z niezmiernie interesującej rozmowy z panią Rice - brzmiała następna informacja. - Nosi żałobę. Ma doskonale skrojoną suknię. Jej nieszczęsna przyjaciółka! Co za tragedia! "Nick, powiada, była taka pełna życia, taka wesoła. Niemożliwe, żeby nie żyła". Zgadza się z nią. "Tak, powiadam, na tym właśnie polega ironia śmierci. Zabiera takie młode stworzenia jak Nick, a starych i bezużytecznych ludzi pozostawia na tym padole płaczu". Oh la la!

- Jak się bawisz? - spytałem słabym głosem.

- Nie bawię się. To po prostu część składowa mojego planu. Jeżeli chcesz dobrze zagrać swoją rolę, musisz w nią włożyć serce i duszę. No, ale posłuchaj dalej! Po wymienieniu zdawkowych słów żalu madame przechodzi do bardziej konkretnych spraw. Przez całą noc nie zmrużyła oka, leżąc w łóżku i myśląc o tych czekoladkach. "To niemożliwe... niemożliwe". "Madame, powiadam, nic nie jest niemożliwe. Może pani sama obejrzeć raport laboratorium". Na to ona mówi, a głos jej wyraźnie drży: "To była kokaina, prawda?" Potwierdzam to przypuszczenie. A ona na to: "O, mój Boże, nic nie rozumiem".

- Może mówi prawdę?

- Ona rozumie dobrze tylko jedno. A mianowicie, że jest zagrożona. To bardzo inteligentna kobieta. Mówiłem ci to już nieraz. O tak, grozi jej niebezpieczeństwo, a ona wie o tym dobrze.

- A jednak mimo to wydaje mi się, że po raz pierwszy wykluczasz jej winę w zupełności?

Poirot zmarszczył brwi. Uspokoił się na chwilę.

- W tym, co teraz powiedziałaś, jest coś, Hastings. Tak, tak... wydaje mi się, że w jakiś dziwny sposób części tej łamigłówki przestały do siebie pasować. Wszystkie te zamachy... Co cechowało je do tej pory? Subtelność, przebiegłość. A tutaj nie ma żadnej subtelności. Jest tylko jakieś prostactwo, które nie pasuje do madame Rice. Nie, nie, coś tu jest nie w porządku. - Usiadł przy stole. - Voila... zanalizujemy fakty. Mamy trzy możliwości. Jest bombonierka zakupiona przez panią Rice i dostarczona na miejsce przez Lazarusa. W tym wypadku wina spada na jedno z nich albo na oboje. A jeżeli chodzi o telefon od mademoiselle Nick, to należy sobie powiedzieć, że jest to historyjka całkowicie zmyślona. Mamy więc możliwość pierwszą... najprostszą.

Możliwość numer dwa: bombonierka, ta, która nadeszła pocztą. Bombonierkę tę mógł wysłać ktokolwiek. Każdy z osobników podejrzanych na naszej liście. Pamiętasz? Od A. do J. Ale skoro w tym pudełku były zatrute czekoladki, to po co ta rozmowa telefoniczna? Po co komplikować sprawę przesłaniem drugiej bombonierki?

Potrząsnąłem głową. Przy temperaturze trzydziestu ośmiu stopni trudno mi było zebrać myśli i każda komplikacja wydawała mi się szczytem nonsensu.

- Możliwość numer trzy: madame kupiła bombonierkę i ktoś wymienił ją na identyczną, zawierającą zatrute czekoladki. W tym wypadku rozmowa telefoniczna ma swoje uzasadnienie i jest nawet bardzo zgrabnym posunięciem. Madame użyta jest w tym wypadku jedynie jako instrument wykonawczy. Ma wyciągnąć cudze kasztany z ognia. Wydaje mi się, że możliwość numer trzy jest najbardziej logiczna... ale, niestety, i najtrudniejsza do wykonania. Jak można mieć pewność, że uda się zamienić bombonierki w odpowiednim momencie? Przecież pielęgniarka mógł ją zanieść prosto na górę i wcale jej nie położyć na stole w holu. Sto różnych okoliczności mogłoby uniemożliwić zamianę bombonierek. Nie, to też nie ma sensu.

- Chyba że zrobił to Lazarus - powiedziałem.

Poirot spojrział na mnie.

- Masz gorączkę, przyjacielu. Podniosła się, prawda?

Skinałem głową.

- To jednak ciekawe, jak kilka stopni ciepłoty może pobudzić intelekt. Wyrzuciłeś przypuszczenie o niezwykłej prostocie. Jest ono tak proste, że nie wpadło mi nawet do głowy. Ale zakładasz tym samym coś bardzo dziwnego. Pan Lazarus, wielki przyjaciel madame Rice, czyni wszystko, żeby zaprowadzić ją na szubienicę! Owszem, taka możliwość może zaistnieć, ale byłoby to dziwne... bardzo dziwne. Przymknąłem oczy. Byłem zadowolony, że udało mi się wymyślić coś tak inteligentnego, ale nie miałem ochoty na dalsze spekulacje myślowe.

Poirot mówił dalej, ale już nie słuchałem. Głos jego, przyjemny, monotony, usnął mnie. Gdy zobaczyłem go znowu, było późne popołudnie.

- Mój plan przyczynił się do znakomitego zwiększenia obrotów w kwaciarniach - oświadczył na wstępie. - Wszyscy zamawiają wieńce. Pan Croft, pan Vyse, kapitan Challenger...

To ostatnie nazwisko obudziło we mnie szereg skojarzeń.

- Posłuchaj, Poirot - powiedziałem - musisz mu powiedzieć. Biedak na pewno szaleje z rozpaczy.

- Zawsze czułeś do niego sympatię, prawda?

- Lubię go. To bardzo porządny chłop. Musisz go wtajemniczyć.

Poirot potrząsnął głową.

- Nie, mon ami. Nie robię żadnych wyjątków.

- Chyba nie podejrzewasz go, że ma coś wspólnego z tym wszystkim?

- Nie robię wyjątków.

- Pomyśl, jak on musi cierpieć!

- Wprost przeciwnie, wolę myśleć o tym, jaką radosną niespodziankę mu szykuję. Pomyśl, uważa swoją ukochaną za umarłą, a tu raptem dowiaduje się, że ona żyje. Jest to jedyne w swoim rodzaju, wspaniałe doświadczenie życiowe.

- Co za uparty osioł z ciebie. Powiadam ci, że on by słówka nie pisnął.

- Nie jestem taki pewny.

- Mówię ci, że to człowiek honoru. Znam się na tym.

- Tym trudniej będzie mu dotrzymać tajemnicy. Zachowanie tajemnicy wymaga wymyślania wielu wspaniałych kłamstw oraz wielkich zdolności aktorskich. Na dodatek trzeba to robić z prawdziwym zamiłowaniem. Czy kapitan Challenger potrafiłby grać komedię? Skąd? Jeżeli jest taki, za jakiego go uważasz, to z całą pewnością nie.

- A więc nic mu nie powiesz?

- Nie mam zamiaru narażać całego mojego planu na szwank dla głupich sentymentów. Nie zapominaj, mon cher, że to jest kwestia życia i śmierci. Poza tym cierpienie wyrabia charakter. Wielu naszych słynnych duchownych tak twierdzi. Nawet pewien biskup, jeśli się nie mylę.

Nie próbowałem dalej podważać jego decyzji. Wiedziałem, że nie da się przekonać.

- Nie przebiore się do kolacji - mruknął. - Jestem skończonym starym człowiekiem. Taką, rozumiesz, gram rolę. Cała moja pewność siebie załamała się. Jestem zdruzgotany, pokonany. Prawie nie tknę kolacji. Potem w swoim pokoju zjem sobie rogaliki i ptysie z kremem czekoladowym, które przezornie zakupiłem w cukierni na rogu. Et vous?

- Wezmę tabletkę chininy - powiedziałem ze smutkiem.

- Trudno, mój drogi! No, ale odwagi, jutro na pewno będziesz zdrow.

- Na pewno. Te ataki trwają zwykle dwadzieścia cztery godziny.

Nie słyszałem, jak wracał później do swojego pokoju. Widocznie spałem.

Gdy się zbudziłem, zobaczyłem, że siedzi przy stole i pisze. Przed nim leżała wygnieciona kartka papieru, na której wypisał ową listę podejrzanych - od A. do J. - a którą wtedy zmiażdżył i rzucił na podłogę.

Skinał głową w odpowiedzi na moje nieme pytanie.

- Tak, mój drogi. To ta sama karteczka. Pracuję nad nią z zupełnie nowego punktu widzenia. Przy każdym nazwisku stawiam szereg pytań. Pytania te nie muszą mieć bezpośredniego związku ze zbrodnią. Są to po prostu zagadnienia, na które nie umiem znaleźć odpowiedzi, a które nie doczekały się jeszcze rozwiązania.

Rozwiązanie to jestem zmuszony znaleźć we własnej głowie.

- Czy posunąłeś się już daleko?

- Właśnie skończyłem. Może chciałbyś posłuchać? Czy czujesz się na siłach?

- O tak. Czuję się już znacznie lepiej.

- A la bonne heure! Doskonale. Przeczytam ci moje pytania. Niektóre z nich wydadzą ci się zapewne dziecinne. - Chrzaknął. - A. Ellen. Dlaczego pozostała w domu i nie wyszła oglądać fajerwerków? Jest to bardzo dziwne. Czego się spodziewała? Czy wpuściła kogoś (na przykład J.) do domu? Czy mówi prawdę o tajnym schowku? Jeżeli takowy istnieje, to dlaczego ona nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie? (Mademoiselle twierdzi, że nie ma takiego schowka, a gdyby był, to powinna o nim wiedzieć.) Jeżeli wymyśliła go sobie, to po co? Czy czytała listy miłosne Michaela Setona, czy też jej zdumienie na wieść o zaręczynach mademoiselle było szczere? B. Mąż Ellen. Czy jest taki głupi, na jakiego wygląda? Czy zna tajemnicę Ellen (jeżeli taka tajemnica istnieje), czy też nie? Czy jest rzeczywiście niedorozwinięty umysłowo? C. Dziecko Ellen. Czy jego wyraźna radość na widok krwi jest rzeczą naturalną u dziecka w tym wieku, czy też nie, a jeżeli nie, to czy tego rodzaju zboczenie może być odziedziczone po jednym z rodziców? Jeżeli tak, to po którym? Czy strzelał kiedy ze straszaka? D. Kim jest pan Croft? Skąd właściwie pochodzi? Czy wrzucił testament mademoiselle do skrzynki pocztowej? Jakim kierował się motywem, jeżeli tego nie zrobił? E. Jak wyżej. Kim są państwo Croft? Czy ukrywają się z jakiegoś powodu? Jeżeli tak, to dlaczego? Czy są w jakiś sposób związani z rodziną Buckleyów? F. Pani Rice. Czy naprawdę wiedziała o zaręczynach mademoiselle Nick z Michaelem Setonem? Czy tylko się domyślała? Czy czytała ich listy? (W tym wypadku wiedziałyby, że mademoiselle jest spadkobierczynią Setona.) Czy pani Rice wiedziała, że dziedziczy po mademoiselle? (To wydaje mi się dość prawdopodobne. Mademoiselle zapewne zawiadomiła ją o tym, dodając, że niewiele odziedziczy.) Czy zgodne z prawdą jest twierdzenie Challengeera, że mademoiselle Nick podobała się Lazarusowi? (To mogłoby tłumaczyć pewne ochłodzenie stosunków między przyjaciółkami, jakie niewątpliwie nastąpiło w ostatnich miesiącach.) Kto jest owym "przyjacielem", który dostarczał narkotyków? Czy mógłby to być J.? Dlaczego tak nagle zrobiło jej się słabo w naszym pokoju? Czy mówiła prawdę na temat czekoladek, czy też ją sobie wymyśliła? Co miała na myśli, mówiąc: "Wszystko

inne tak, ale tego naprawdę już nie rozumiem". Jeżeli sama jest niewinna, to widać coś ukrywa. Zauważyłeś zapewne - przerwał Poirot czytanie - że pytania dotyczące pani Rice są bardzo liczne. Kobieta ta jest zagadką od początku do końca. To zmusza mnie do następującej konkluzji: albo madame Rice jest winna, albo wie czy też wydaje jej się, że wie, kto jest mordercą. Ale czy się nie myli? Czy naprawdę wie, czy też tylko podejrzewa? Jak zmusić ją do mówienia? - Westchnął. - No cóż, wracam do mojej listy pytań: G. Pan Lazarus. Ciekawe... nie mam tu prawie żadnych pytań, z wyjątkiem tych najprostszych. Czy zamienił bombonierki? Poza tym mam tylko jedno zupełnie oderwane od tematu pytanie, ale muszę je postawić: dlaczego Lazarus ofiarował pięćdziesiąt funtów za obraz, który wart był tylko dwadzieścia?

- Chciał się przysłużyć Nick - powiedziałem.

- Nie postąpiłby w ten sposób. Pamiętaj, że jest zawodowym handlarzem obrazów. Nie może kupować drożej, niż sprzedaje. Gdyby chciał jej się przysłużyć, ofiarowałby jej pożyczkę pieniężną jako osoba prywatna.

- Ale to nie ma chyba żadnego związku ze zbrodnią.

- Na pewno nie, ale mimo to chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Interesuję się psychologią, wiesz o tym. Dochodzimy do litery H. Kapitan Challenger.

Dlaczego mademoiselle Nick powiedziała mu, że jest zaręczona? Co ją zmusiło do tego wyznania? Nie powiedziała tego nikomu innemu. Czy oświadczył się jej? Jakie są jego stosunki ze stryjem?

- Ze stryjem?

- Tak, z owym podejrzanym doktorem. Czy wiadomość o śmierci Setona znana była w Admiralicji, zanim podano ją do publicznej wiadomości?

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz, Poirot? Nawet jeżeli Challenger wiedział wcześniej o śmierci Setona, to i tak nas to daleko nie zaprowadzi. To nie znaczy jeszcze wcale, że chciał zabić dziewczynę, w której się kochał.

- Zgadza się. To, co mówisz, jest zupełnie logiczne. Ale to są po prostu rzeczy, które chciałbym wiedzieć. Jestem wciąż psem, który węszy dokoła podejrzenie pachnącej rzeczy. I. Pan Vyse. Dlaczego mówił o fanatycznym przywiązaniu swojej kuzynki do rodzinnego domu? Jaki miał w tym cel? Czy otrzymał jej testament, czy też nie? Czy rzeczywiście jest on człowiekiem uczciwym?... A teraz J. Eh bien! J. jest i pozostaje nadal wielkim znakiem zapytania. Czy istnieje taka osoba, czy też nie... Mon Dieu! Przyjacielu, co ci jest?

Zerwałem się z fotela z okrzykiem przerażenia. Drżącą ręką wskazałem na okno.

- Twarz, Poirot! - krzyknąłem. - Ktoś przycisnął twarz do szyby. Straszna twarz! O, nie ma jej już, ale widziałem ją wyraźnie!

Poirot podszedł do okna i otworzył je. Wychylił się.

- Nie ma nikogo - powiedział w zamyśleniu. - Czy jesteś pewny, że coś widziałeś?

- Najzupełniej pewny! To była okropna twarz!

- Jest tu balkon. Każdy mógł wejść na ten balkon bez większego trudu, by podsłuchać naszą rozmowę. Mówisz, że była to okropna twarz. Ale powiedz, jaka?

- Biała, z wybałuszonymi oczami, prawie że nieludzka. - Mon ami, pamiętaj, że masz gorączkę. Rozumiem, że widziałeś twarz. Bardzo brzydką twarz. Ale jeżeli mówisz, że nie była ludzka, to już przesadzasz. Widziałeś twarz przyciśniętą do szyby. To już deformuje. Poza tym sam fakt zobaczenia nagle twarzy w szybie jest dostatecznie zaskakujący.

- Cóż za koszmarna twarz! - powtórzyłem z uporem.

- Czy była to twarz znajoma?

- Skądże!

- Hm... ale mogła być. I tak byś jej nie poznał w tych warunkach. Ciekawe, tak, tak, bardzo ciekawe! - Złożył starannie swoje papiery. - Jedno w tym wszystkim jest dobre. Jeżeli właściciel tej twarzy podsłuchiwał, to przynajmniej nie dowiedział się, że mademoiselle Nick żyje, bośmy o tym nie wspomnieli.

- Ale chyba przyznasz, że jak dotąd rezultaty tego twojego genialnego manewru nie są zbyt rewelacyjne. Panna Nick nie żyje i nic wielkiego się nie stało.

- Wcale nie oczekiwałem, że coś od razu się stanie. Powiedziałem, że trzeba mi dwudziestu czterech godzin. Mon ami, mam wrażenie, że jutro wiele rzeczy się wyjaśni. Jeśli nic, to znaczy że się myliłem od początku do końca. Z niecierpliwością czekam na jutrzejszą pocztę.

Nazajutrz rano obudziłem się osłabiony, ale już bez gorączki. Byłem głodny. Kazaliśmy sobie podać śniadanie na górę.

- No, cóż? - powiedziałem złośliwie, gdy Poirot przeglądał pocztę. - Czyżby listonosz zawiódł twoje oczekiwania?

Poirot, który przed chwilą otworzył dwie koperty wyraźnie zawierające rachunki, nie odpowiedział. Wydawało mi się, że jest przygnębiony, a nie jak zwykle pewny siebie.

Zacząłem przeglądać swoją pocztę. Pierwszy list był zaproszeniem na zebranie spirytystów.

- Jeżeli wszystko inne nas zawiedzie - zaśmiałem się - będziemy musieli zwrócić się do spirytystów. Ciekawe, dlaczego oni nie zajmują się chwytnością morderców? Cóż prostszego? Wywołuje się ducha osoby zamordowanej, a on wskazuje mordercę.

- Nam niewiele by to pomogło - zamyślił się Poirot. - Bardzo wątpię, czy biedna Madzia wie, czyja ręka nacisnęła spust. Nawet gdyby mogła mówić, nie powiedziałałaby nam nic ciekawego. Tiens! To dziwne!

- Co takiego?

- Wspomniałeś o duchach umarłych właśnie w chwili, gdy otwierałem ten list. Rzucił go w moją stronę. List był od matki Madzi Buckley i brzmiał, jak następuje:

Probostwo Langley

Drogi Panie Poirot!

Po powrocie do domu zastałam list od naszej biednej córki, pisany po przybyciu do St. Loo. Nie wyobrażam sobie, żeby list ten mógł Pana szczególnie zainteresować, ale przesyłam go na wszelki wypadek.

Dziękuję raz jeszcze za wszystko, co Pan dla nas uczynił, i pozostaję Pańska oddana

Jean Buckley

Załączony list prawdziwie mnie wzruszył. Był taki bezpośredni, tak prosty, niczym nie zapowiadający zbliżającej się tragedii:

Droga mamo!

Zajechałam szczęśliwie. Podróż była zupełnie wygodna. Do samego Exeter oprócz mnie znajdowały się w przedziale jeszcze tylko dwie osoby.

Pogoda piękna. Nick jest zdrowa i wesoła, może trochę nerwowa, ale zupełnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego wezwała mnie telegraficznie. Gdybym przyjechała we wtorek, też by się nic nie stało.

Kończę na dziś. Idziemy na podwieczorek do sąsiadów. Są to jacyś Australijczycy, którzy wynajęli ten mały domek przy bramie. Nick mówi, że są szalenie mili.

Przyjeżdżają tu pani Rice i pan Lazarus. On jest synem tego antykwariusza.

Wrzucę ten list do skrzynki za bramą. Wyjmują listy za chwilę. Napiszę znów jutro rano. Twoja kochająca córka

Madzia

PS Nick powiada, że wzywała mnie telegraficznie z ważnego powodu. Ma mi powiedzieć po podwieczorku, o co chodzi. Jest jakaś dziwna i okropnie nerwowa.

- Głos umarłych - powiedział Poirot powoli. - I nic nam nie mówi.

- Skrzynka do listów za bramą. Croft mówił, że do niej wrzucił kopertę z testamentem.

- Tak powiedział? No tak. Ciekaw jestem, rzeczywiście jestem ciekaw!

- Nic ciekawego nie ma poza tym w twojej poczcie?

- Nie, Hastings. Niestety, nic. To okropne! Znowu gubię się w ciemnościach. Znowu nic nie wiem i nie rozumiem.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Poirot podniósł słuchawkę.

Od razu zauważyłem zmianę na jego twarzy. Mówił wprawdzie tonem niezwykle spokojnym, ale po oczach jego poznałem, że jest niezwykle podniecony.

Odpowiadał krótko, tak że zupełnie nie mogłem się domyślić, o co chodzi.

Wreszcie powiedział: "bardzo dobrze" i "dziękuję bardzo", i odłożył słuchawkę.

- Mon ami! - wykrzyknął. - Czy nie mówiłem ci? Zaczyna się już coś dziać!

- Co takiego?

- To był pan Vyse. Powiadomił mnie, że w dzisiejszej poczcie znalazł kopertę zawierającą testament panny Buckley, z datą dwudziestego piątego lutego.

- Co? Jej testament?

- Évidemment.

- A więc znalazł się?

- W samą porę, co?

- Czy myślisz, że Vyse mówi prawdę?

- Czy też uważam, że ma ten testament u siebie od dawna? To chciałeś powiedzieć? Nie wiem. Raczej dziwna historia, ale jedno było pewne: kiedy rozejdzie się wiadomość, że panna Nick nie żyje, zaczną się dziać różne rzeczy. I widzisz, już się zaczyna!

- To niebywałe! - wykrzyknąłem. - Miałeś zupełną rację. To zapewne ten testament, w którym jako główny spadkobierca figuruje Fryderyka Rice?

- Vyse nic nie mówił o treści testamentu. Na to jest zbyt wielkim formalistą. Ale przypuszczam, że to ten sam testament. Powiada, że jest podpisany przez dwóch świadków, Ellen Wilson i jej męża.

- A więc jesteśmy znów tam, skąd wyszliśmy! - zawołałem. - Fryderyka Rice! - Ta sama zagadka.

- Fryderyka - mamrotałem bez sensu. - To właściwie ładne imię.

- W każdym razie ładniejsze niż Freddie, a tak nazywają ją przyjaciele - zauważył Poirot. - Ce n'est pas joli³⁴ dla młodej kobiety.

- Niewiele jest zdrobnień od Fryderyka - powiedziałem. - To nie to co Magdalena. Magda, Magdusia, Madzia!...

- Masz rację. No i co, już jesteś zadowolony? Widzisz, że się jednak coś zaczyna dziać.

- Ależ naturalnie! Powiedz mi jednak, czy spodziewałeś się tego?

- Nie, niezupełnie. Nie obiecywałem sobie nic konkretnego. Powiedziałem tylko, że oczekuję pewnych rezultatów. Zakładałem, że stwarzając pewne fakty, przyczynię się do wyjścia na jaw przyczyn tych faktów.

- O tak! - powiedziałem z szacunkiem

- Co to ja chciałem powiedzieć, kiedy przerwał mi dzwonek telefonu? - zastanawiał się Poirot. - Aha, ten list mademoiselle Madzi. Chciałbym jeszcze raz na niego zerknąć. Coś mnie w nim uderzyło, ale co?...

Podał mi list.

Przeczytał go kilka razy po cichu. Ja spacerowałem przez ten czas po pokoju, a potem stanąłem przy oknie i zacząłem przyglądać się jachtom manewrującym na zatoce.

Nagle usłyszałem okrzyk Poirota. Odwróciłem się. Poirot chwycił się za głowę i kołysząc się w prawo i w lewo, jęczał w rozpacz:

- O, byłem ślepy... i to jak ślepy!

- Co się z tobą dzieje?

- Wszystko jest takie proste! Takie proste! A ja, dureń, nic nie widziałem!

- Na litość boską, Poirot, co cię tak nagle olśniło?

- Poczekaj chwilę, nic nie mów! Muszę sobie to wszystko ułożyć w głowie. Muszę przemyśleć wszystko w świetle mojego nagłego odkrycia.

Chwycił listę pytań i poruszając wargami, przebiegł ją wzrokiem z góry do dołu, kilkakrotnie gwałtownie skinąwszy głową.

Następnie położył kartkę na stole, rozparł się w fotelu i zamknął oczy. Byłem przekonany, że zasnął.

Nagle westchnął i otworzył oczy.

- No, oczywiście - powiedział - wszystko zgadza się doskonale. To, co dotychczas wydawało się zupełnie niewytłumaczalne, jest teraz jasne jak słońce. Części łamigłówek są na swoich miejscach.

- To znaczy, że wiesz już wszystko?

- Prawie wszystko. W pewnych sprawach miałem rację, w innych byłem jak najdalej od prawdy. Ale teraz masa rzeczy się wyjaśniła. Zaraz wyślę telegram z dwoma pytaniami. Odpowiedź na te pytania właściwie już znam. Muszę mieć jednak potwierdzenie. Odpowiedź na nie jest tutaj! - Stuknął się palcem w czoło.

- A jak otrzymasz odpowiedź oficjalną? - spytałem z zaciekawieniem.

Skoczył na równe nogi.

- Przyjacielu, czy pamiętasz, jak mademoiselle Nick powiedziała nam, że chciałyby wystawić kiedyś sztukę w Samotnym Domu? Zrobimy to właśnie dzisiaj. Sztuka ta zostanie wyreżyserowana przez Herkulesa Poirot. Mademoiselle będzie w niej grała swoją rolę. - Uśmiechnął się. - Rozumiesz, Hastings, w sztuce tej wystąpi duch. Tak, duch. Podobno w Samotnym Domu nigdy nie widziano ducha. Ale dzisiaj go zobaczą. Nie - rzucił, gdy zauważył, że pragnę o coś zapytać. - Nic więcej nie powiem. Dziś wieczorem, Hastings, zagramy w Samotnym Domu komedię i wyjawimy całą prawdę. A teraz do roboty... Mam jeszcze moc do zrobienia. I jak szalony wybiegł z pokoju.

XIX. POIROT REŻYSERUJE SZTUKĘ

Dziwna to była grupa ludzi, którzy zgromadzili się tego wieczoru w salonie Samotnego Domu.

Prawie przez cały dzień nie widziałem Poirota. Nie było go na kolacji, zostawił mi tylko karteczkę, w której pisał, że mam się zjawić w Samotnym Domu o godzinie dziewiątej. Strój wieczorowy, dodał, nie jest obowiązujący.

Wszystko to miało raczej cechy idiotycznego snu.

Gdy przyszedłem, zaprowadzono mnie do jadalni, a gdy rozejrzałem się po pokoju, zauważyłem, że zgromadzili się tu wszyscy z listy Poirota, od A. do I. (z wyjątkiem oczywiście J., jako osoby nieznannej).

Nawet pani Croft siedziała w fotelu na kółkach. Uśmiechnęła się do mnie i skinęła głową.

- To prawdziwa niespodzianka - powiedziała wesoło. - Dawno już nie byłam wśród ludzi. Myślę, że będę musiała od czasu do czasu wychodzić z domu. Pan Poirot mnie namówił. Proszę, niech pan siądzie koło mnie, kapitanie. Wydaje mi się, że w tym wszystkim jest coś niesamowitego, ale pan Vyse tak nalegał.

- Pan Vyse? - spytałem, raczej zaskoczony.

Charles Vyse oparł się o kominek, a obok niego stał Poirot, który mówił coś bardzo poważnym tonem.

Rozejrzałem się dokoła. Tak, byli tam wszyscy. Ellen, która wprowadziła mnie do pokoju (spóźniłem się parę minut), zajęła miejsce na krześle tuż obok drzwi.

Nieopodal na innym krześle siedział sztywno wyprostowany i zasapany jej mąż, a ich syn, Alfred, niespokojnie wiercił się na krzeselku pomiędzy rodzicami.

Pozostałe osoby zajęły miejsca dokoła stołu: Fryderyka w swojej czarnej sukni, Lazarus tuż obok niej, a po drugiej stronie stołu kapitan Challenger i Croft.

Charles Vyse zajął miejsce pana domu, a Poirot wsunął się na krzesło znajdujące się obok Lazarusa.

Jako reżyser Poirot nie zamierzał widocznie odgrywać jednej z głównych ról w sztuce. Najwyraźniej w świecie rolę tę powierzył Vyse'owi.

Jakąż to niespodziankę szykuje im mój Poirot? - pomyślałem sobie.

Młody adwokat chrząknął i wstał. Był jak zwykle zrównoważony, spokojny, pewny siebie.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj w niezwyklej raczej okolicznościach - zaczął. - No cóż, okoliczności są rzeczywiście niezwykle. Mam na myśli, oczywiście, okoliczności towarzyszące śmierci mojej kuzynki, panny Buckley. Nastąpi jeszcze sekcja zwłok, chociaż nie ulega chyba wątpliwości, że została otruta, i to z premedytacją. Jednakże to jest już sprawa policji, a nie nasza, i nie będę się nad tym rozwodził. Przypuszczam, że policja wolałaby, żeby się do tych spraw w tej chwili nie wtrącać. Zazwyczaj odczytuje się testament zmarłej osoby zaraz po pogrzebie, ale ze względu na specjalną prośbę pana Poirot odczytam go państwu teraz. Dlatego też zaprosiliśmy państwa do tego domu. Jak już zazaczyłem, okoliczności są niecodzienne i usprawiedliwiają tym samym pewne odstępstwo od normalnej procedury. Sam testament znalazł się w moim posiadaniu w sposób również niecodzienny. Chociaż widnieje na nim data z lutego, otrzymałem go pocztą dopiero dzisiaj rano. Jednakże jest on niewątpliwie pisany ręką mojej kuzynki i chociaż sformułowany w sposób raczej niekonwencjonalny, ma niewątpliwie moc prawną.

Zamilkł i chrząknął głośno. Wszystkie oczy spoczywały na jego twarzy. Wyciągnął z długiej koperty kartkę. Była to kartka zwykłego papieru listowego.

- Testament jest bardzo krótki - powiedział Vyse. Zrobił pauzę, a potem zaczął czytać: - Testament Magdali Buckley. Wszystkie wydatki związane z moim pogrzebem należy pokryć z moich funduszków. Czynię wykonawcą niniejszego kuzyna mojego, Charlesa Vyse. Zostawiam wszystko, co znajduje się w moim posiadaniu w chwili mojej śmierci, pani Mildred Croft z wdzięczności za wszystkie przysługi oddane ojcu mojemu, Filipowi Buckleyowi, które to przysługi nie dadzą się opłacić żadną sumą. Podpisano - Magdala Buckley. Świadkowie - Ellen Wilson, William Wilson. Byłem zupełnie zaskoczony. Podobnie zareagowali zapewne wszyscy. Tylko pani Croft kiwała głową ze zrozumieniem.

- To prawda - powiedziała cicho. - Nie miałam zresztą zamiaru o tym mówić. Filip Buckley był przez pewien czas w Australii i gdyby nie ja... no, ale nie wchodźmy w szczegóły. To była zawsze nasza tajemnica i niechaj dalej nią pozostanie. Ale ona wiedziała o tym. To znaczy Nick. Ojciec musiał jej powiedzieć.

Przyjechaliśmy tu, ponieważ chcieliśmy obejrzeć sobie ten dom. Zawsze byłem ciekawa, jak też wygląda ten Samotny Dom, o którym Filip tyle opowiadał. I ta jego ukochana córka wiedziała o wszystkim, i była dla nas rzeczywiście nadzwyczajna. Chciała, żebyśmy zamieszkali tu, u niej. Ale nie zgodziliśmy się na to. Namówiła nas więc, żebyśmy zajęli domek przy bramie, i nie chciała wziąć od nas pensa za komorne. Udawaliśmy oczywiście, że płacimy, żeby nie było gadania, ale ona zwracała nam wszystko. A teraz - to! Jeżeli kto kiedy jeszcze powie, że nie ma wdzięczności na świecie, to powiem mu, że się myli. To chyba najlepszy dowód.

Wszyscy milczeli zaskoczeni. Poirot spojrział na Vyse'a.

- Czy pan o tym wiedział? Vyse potrząsnął głową.

- Wiedziałem, że Filip Buckley był w Australii. Ale nigdy nie słyszałem o żadnych szczegółach.

Spojrział pytająco na panią Croft. Ta potrząsnęła głową.

- Nie, nie powiem ani słowa. Nigdy nikomu nic nie mówiłam i nie mam zamiaru mówić teraz. Sekret ten zejdzie wraz ze mną do grobu.

Vyse nic nie odpowiedział. Siedział i cichutko bębnił palcami po stole.

- Przypuszczam, że pan Vyse jako najbliższy krewny mógłby zakwestionować ważność testamentu - powiedział Poirot. - O ile mi wiadomo, wchodzi tu w grę wielka fortuna, o której panna Buckley nic nie wiedziała, kiedy spisywała ten testament.

Vyse spojrział na niego zimnym wzrokiem.

- Testament ten ma pełną moc prawną. Nie zamierzam bynajmniej kwestionować woli mojej kuzynki.

- Co za uczciwy człowiek z pana - odezwał się Croft. - I Postaramy się, żeby pan na tym nie stracił.

Charles Vyse wzdrygnął się nieco po wysłuchaniu tej dobrodusznej, lecz niezbyt może taktownej uwagi.

- Cóż, staruszek - powiedział Croft ze źle ukrywaną radością w głosie. - To prawdziwa niespodzianka. Nick nigdy mi o tym nie wspominała.

- Kochana, dobra dziewczyna - szepnęła pani Croft. - Chciałabym, żeby mogła spojrzeć na nas teraz i zobaczyć naszą radość. Kto wie, może właśnie to czyni.

- Być może - zgodził się Poirot. Nagle widocznie przyszło mu coś na myśl.

Rozejrzał się dokoła. - Mam pomysł. Siedzimy dokoła okrągłego stołu. Urządźmy sobie seans.

- Seans? - powiedział pan Croft nieco zaszokowany. - Ależ chyba to...

- O tak, tak. To będzie szalenie ciekawe. Hastings ma wybitne skłonności mediumistyczne. (Dlaczego przyczepił się do mnie? - pomyślałem sobie.) Może otrzymamy jakiś znak z tamtego świata. Okazja jest naprawdę niezwykła. Czuję, że okoliczności nam sprzyjają. Czy nie czujesz tego, Hastings?

- Tak - powiedziałem z przekonaniem.

- O właśnie! Wiedziałem o tym! Szybko! Zgaśmy światło! Wstał i wyłączył światło. Wszystko to zrobił tak szybko, że nikt nie zdążył zaproponować. Przypuszczam, że wszyscy byli jeszcze sparaliżowani wrażeniem, jakie wywarł na nich testament.

W pokoju nie było zupełnie ciemno. Zasłony były nie zasunięte, a okna otwarte, gdyż noc zrobiła się duszna i parna. Przez okna dochodziło słabe światło

pobliskiej latarni. Po kilku chwilach mogłem już odróżnić kontury poszczególnych

mebli. Nie wiedziałem dokładnie, co mam robić, i kłamię w duszy Poirota za to, że nie uprzedził mnie o swoich zamiarach.

Wobec tego zamknąłem oczy i zacząłem głośno oddychać.

Po chwili Poirot uniósł się i na palcach podszedł do mojego krzesła. Następnie powrócił na swoje miejsce, szepcząc:

- W porządku. Zapadł już w trans. Zaraz zobaczymy.

Takie siedzenie i czekanie po ciemku ma w sobie jednak coś niesamowitego. Sam poczułem lekkie zdenerwowanie i pewny jestem, że reszta towarzystwa odczuwała to samo. A jednak ja jedyny miałem przynajmniej mgliste wyobrażenie o tym, co za chwilę nastąpi. Wiedziałem o tej najważniejszej rzeczy. Ja jeden. Ja jeden byłem w posiadaniu najważniejszego faktu!

Mimo to poczułem, że lęk zapiera mi dech, gdy zauważyłem, że drzwi jadalni powoli się uchylają.

Otwierały się bezszelestnie (musiały być świeżo naoliwione), a wrażenie to było zupełnie okropne. Otworzyły się wreszcie na oścież, lecz przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Zimny podmuch wiatru owiał pokój. Przypuszczam, że był to po prostu przeciąg spowodowany otwartymi oknami, ale trudno było oprzeć się wrażeniu, że jest to ów lodowaty powiew, o którym zawsze czyta się w powieściach o duchach.

I nagle ujrzeliśmy wszyscy! W drzwiach stanęła postać w bieli. Nick Buckley... Szła powoli, bezszelestnie, powłóczyłym, niezwykłym krokiem, jak zmaterializowana zjawa...

Zrozumiałem wtedy, że ma wielkie zdolności aktorskie. Nick zawsze chciała grać w sztuce w Samotnym Domu. Teraz grała swoją rolę i byłem przekonany, że bawi ją to niezmiernie. Grała zresztą wspaniale.

Popłynęła na środek pokoju i wtedy cisza została przerwana.

Z fotela na kółkach, stojącego obok mnie, rozległ się okrzyk grozy. Pan Croft jęknął głucho. Kapitan Challenger zaklął po marynarSKU. Charles Vyse odsunął się wraz z krzesłem od stołu. Lazarus nachylił się do przodu, tylko Fryderyka nie ruszyła się z miejsca i nie wydała żadnego dźwięku.

Ellen skoczyła na równe nogi i wydała z siebie dziki okrzyk.

- To ona! - wrzasnęła. - Wróciła! Chodzi! Zamordowani zawsze potem wędrują po świecie! To ona! To ona!

I zaraz rozległ się suchy trzask przekręcanego kontaktu i w pokoju zapłonęło światło.

Poirot stał pod ścianą, przy kontakcie, z miną zadowolonego pogromcy dzikich zwierząt, któremu właśnie udał się świetnie spektakl. A na środku pokoju stała Nick, otulona w białe prześcieradła.

Pierwsza odezwała się Fryderyka. Wyciągnęła rękę i dotknęła przyjaciółki.

- Nick! - powiedziała. - Jesteś... prawdziwa? Był to niemalże szept.

Nick roześmiała się i zrobiła kilka kroków naprzód.

- O tak! - odparła. - Jestem zupełnie prawdziwa. - Zwróciła się do pani Croft: - Bardzo dziękuję za wszystko, co zrobiła pani dla mojego ojca, ale obawiam się, że jeszcze nie będzie pani mogła korzystać z tego, co zapisane jest pani w tym testamentie.

- Mój ty Boże! - jęknęła pani Croft. - Mój ty Boże! - Kręciła się niespokojnie w fotelu. - Zabierz mnie stąd, Bert! Zabierz mnie! To był głupi żart i tyle.

Naprawdę.

- Dziwny żart - uśmiechnęła się Nick.

Drzwi otworzyły się znowu cicho i wszedł Japp. Zamienił szybkie spojrzenie z Poirotem, jak gdyby zapewniając go o czymś. Po czym twarz jego rozjaśniła się nagle i zrobił kilka kroków w kierunku fotela na kółkach.

- Halo, halo! - zawołał. - Cóż to? Moja stara znajoma, Milly Merton! Jak Boga kocham! No i co, znowu robisz te swoje stare sztuczki?

Zwrócił się do zgromadzonych dokoła stołu osób, nie zwracając uwagi na krzykliwe protesty pani Croft.

- Jedna z najzręczniejszych fałszerek, jakie znamy. Milly Merton! Wiedzieliśmy, że miała wypadek samochodowy, kiedy ostatnio uciekała przed nami. No, ale jak widać, nawet uszkodzenie kręgosłupa nie potrafi powstrzymać naszej Milly od jej starych sztuczek. To prawdziwa artystka!

- Czy ten testament był sfałszowany? - zawołał Vyse.

- Oczywiście, że sfałszowany - powiedziała Nick z oburzeniem. - Chyba nie wyobrażacie sobie, że spisałam taki idiotyczny testament. Zapisałam Samotny Dom Charlesowi, a wszystko inne Fryderyce.

Mówiąc to, podeszła do przyjaciółki i wtedy właśnie się stało!

Wybuch płomienia zza okna i gwizd kuli. Potem drugi. Jęk zza okna i odgłos ciężkiego upadku...

I Fryderyka wyprostowana, smukła, i wąski strumyczek krwi, ściekający z jej ramienia...

XX. J.

Wszystko to stało się tak szybko, że nikt nie mógł się zorientować w sytuacji. Poirot z okrzykiem wściekłości podbiegł do okna. Challenger za nim.

Po chwili wrócili, niosąc zemdłonego człowieka. Powoli i ostrożnie ułożyli go w głębokim fotelu. Ujrzałem jego twarz i wydałem okrzyk grozy.

- Ta twarz... ta twarz, to twarz z okna!

Był to ten sam człowiek, którego zobaczyłem przez okno tamtego wieczoru.

Poznałem go od razu. Zrozumiałem teraz, że gdy Poirot oskarżył mnie o przesadę, miał rację. Była to mimo wszystko twarz ludzka.

Jednakże na tej twarzy malowało się coś takiego, co tłumaczyło moje ówczesne przerażenie. Była to twarz człowieka zgubionego... odmienna od zwykłej ludzkiej twarzy.

Twarz biała, miękka, zniszczona... nie twarz, lecz raczej bezduszna maska.

Po policzku ściekał strumyczek krwi.

Fryderyka podeszła powoli i stanęła przed dziwnym człowiekiem.

Poirot zastąpił jej drogę.

- Pani jest ranna? Potrząsnęła głową.

- Kula musnęła mi ramię, to nic.

Odsunęła Poirota łagodnie i nachyliła się nad leżącym mężczyzną.

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Tym razem udało się, mam nadzieję - powiedział ze złośliwym uśmiechem. Nagle głos mu się załamał i zabrzmiał jak głos dziecka. - O, Freddie, nie miałem zamiaru. Nie chciałem cię skrzywdzić. Byłaś dla mnie zawsze taka dobra!

- Dobrze już, dobrze... Uklękła przy fotelu.

- Nie chciałem!...

Głowa mu opadła. Nie skończył zdania. Fryderyka spojrzała na Poirota.

- Tak, madame - powiedział łagodnie. - Nie żyje.

Wstała powoli i patrzyła w milczeniu na zmarłego. Dotknęła jego czoła, łagodnie, jak gdyby z litością. Potem westchnęła i odwróciła się do nas.

- To był mój mąż - szepnęła.

- J.? - szepnąłem

Poirot usłyszał i skinął głową.

- Tak - powiedział cicho. - Zawsze wiedziałem, że musi być jeszcze J. Mówiłem to od początku, prawda?

- To był mój mąż - powtórzyła Fryderyka. Miała śmiertelnie zmęczony głos. Siadła na krześle, które podsunął jej Lazarus. - Chyba lepiej powiem wam teraz wszystko. Był zupełnie, ale to kompletnie zdeprawowany. Był narkomanem. I mnie nauczył zażywać kokainę. Od chwili gdy go opuściłam, walczę z tym nałogiem. Myślę, że teraz... nareszcie... jestem już wyleczona. Ale to trudne, bardzo trudne! Nikt nie wie, jakie trudne! Nie mogłam się od niego uwolnić. Zjawiał się zawsze niespodziewanie i żądał pieniędzy. Groził. Szantażował mnie. Mówił, że jeżeli mu nie dam pieniędzy, zabije się. Zawsze tym groził. Potem zaczął mówić, że mnie zastrzeli. Był nieodpowiedzialny. Był chory umysłowo... Sądzę, że to on strzelił do Madzi Buckley. Myślał pewnie, że to ja. Powinnam była to od razu powiedzieć. Ale nie byłam przecie pewna. Poza tym te dziwne wypadki, które miała ostatnio Nick, zmyliły mnie. Pomyślałam, że to pewnie jednak nie on. Że to może ktoś zupełnie inny. A potem, pewnego dnia, zobaczyłam karteczkę z jego charakterem pisma na stole u pana Poirot. Była to część listu, jaki od niego dostałam. Zrozumiałam wtedy, że pan Poirot jest na tropie. Od tej pory wiedziałam, że to już tylko kwestia czasu... Ale nie rozumiem tej historii z czekoladkami. Czyżby chciał otruć Nick? Poza tym nie rozumiałam, jak mógł w

ogóle mieć coś wspólnego z tą sprawą. Łamałam sobie głowę... - Ukryła twarz w dłoniach, a potem wyprostowała się, opuściła ręce i powiedziała tonem pełnym goryczy: - I to wszystko...

XXI. K.

Lazarus szybko podszedł do Fryderyki.

- Kochanie - powiedział tylko. - Kochanie!

Poirot zbliżył się do kredensu, nalał szklanek wina, zaniósł ją Fryderyce i stał przy niej, dopóki nie wypila. Oddała mu szklanekę i uśmiechnęła się.

- Już mi lepiej - powiedziała. - Ale co zrobimy dalej? Spojrzała na Jappa, ale inspektor potrząsnął głową.

- Jestem na urlopie, proszę pani. Po prostu przyjechałem tu, by przysłużyć się staremu przyjacielowi, to wszystko. Ta sprawa zajmuje się tutejsza policja. Spojrzała na Poirota. \

- A pan Poirot jest szefem tutejszej policji?

- Oh! Quelle idee! Ja jestem tylko zwykłym, skromnym doradcą.

- Panie Poirot - spytała Nick - czy nie moglibyśmy zatuszować tej całej sprawy?

- Czy pani sobie tego życzy, mademoiselle?

- Tak. Ostatecznie ja jestem tu najbardziej zainteresowana. A teraz nikt nie będzie już przecież czyhał na moje życie.

- To prawda. Nikt już nie będzie teraz na panią napadał.

- Pan może myśli o Madzi. Nic przecież jej już nie wskrzesi. Jeżeli to się opublikuje, Fryderyka będzie miała straszne przykrości. A przecież ona na to nie zasługuje.

- Powiada pani, że ona na to nie zasługuje?

- Naturalnie, że nie. Mówiłam panu od początku, że miała okropnego męża. Sam pan się dziś przekonał, co to za człowiek. No cóż, już nie żyje. Niechaj się na tym sprawa zakończy. Niech policja dalej szuka człowieka, który zabił Madzię. Nie znajdą go i tyle.

- A więc o to pani chodzi, mademoiselle? O zatuszowanie wszystkiego?

- O tak! Bardzo pana o to proszę.

Poirot spojrzał powoli po wszystkich twarzach.

- A co państwo powiadają?

Każdy z obecnych wypowiedział się po kolei.

- Ja się zgadzam - powiedziałem, gdy wzrok Poirota spoczął na mnie.

- I ja - dodał Lazarus.

- To najlepsze wyjście - powiedział Challenger.

- Zapomnijmy wszyscy o tym, co miało miejsce w tym pokoju - brzmiała stanowcza wypowiedź pana Crofta.

- Nie dziwię się, że pan tak mówi - zaśmiał się Japp.

- Niech pani się nie mści na mnie, kochana - zaszlochała pani Croft, patrząc ze strachem na Nick, która spoglądała na nią złym wzrokiem.

- Ellen?

- Ja i William nic nie powiemy. Im mniej się mówi, tym lepiej.

- A pan, panie Vyse?

- Takiej sprawy nie wolno tuszować - powiedział Charles Vyse. - Wszystkie fakty muszą być podane do wiadomości odpowiednim czynnikom.

- Charles! - krzyknęła Nick.

- Przykro mi, moja droga. Ale ja patrzę na to z prawniczego punktu widzenia.

Poirot roześmiał się nagle.

- A więc siedem głosów za i jeden przeciw. A nasz zacny Japp zachowuje neutralność.

- Jestem na urlopie - uśmiechnął się Japp. - Nie liczę się.

- Siedem głosów za. Tylko pan Vyse sprzeciwia się w imieniu praworządności. Wie pan, panie Vyse, jest pan człowiekiem z charakterem.

Vyse wzruszył ramionami.

- Sprawa jest zupełnie jasna. Pozostaje nam tylko jedno wyjście. - O tak. Pan jest człowiekiem uczciwym. Eh bien... ja też przyłączam się do obrońców praworządności. Ja też jestem za tym, by prawda wyszła na jaw.

- Panie Poirot! - krzyknęła Nick.

- Mademoiselle, pani sama wciągnęła mnie w tę sprawę. Zająłem się nią wyłącznie na pani życzenie. Nie może mnie pani teraz zmuszać do milczenia. - Podniósł groźnie palec do góry swoim charakterystycznym gestem. - Siadajcie, państwo... wszyscy! Powiem wam całą prawdę.

Siedliśmy posłusznie, speszeni jego stanowczą postawą.

- Ecoutez! Mam przed sobą listę osób związanych w jakiś sposób ze zbrodnią, która się wydarzyła. - Uszeregowałem je według liter alfabetu, od A. do J. J. oznaczało osobę nieznaną, związaną ze zbrodnią poprzez jedną ze znanych osób na liście. Do dzisiejszego wieczoru nie wiedziałem, kim jest J., ale byłem pewny, że osoba taka istnieje. Wypadki, jakie miały miejsce przed chwilą, potwierdziły słuszność mojej hipotezy.

Jednak wczoraj zorientowałem się nagle, że popełniam jeden wielki błąd. Po prostu pomiąłem jedną osobę. Wobec tego dodałem do mojej listy jeszcze, jedną literę, literę K.

- Jeszcze jedną nieznaną osobę? - spytał Vyse z lekką ironią.

- Niezupełnie. J. przyjąłem jako symbol osoby nieznannej. Jeszcze jedna osoba nieznaną byłaby po prostu oznaczona jeszcze jedną literą J. K. ma zupełnie inne znaczenie. K. oznacza osobę, która powinna była figurować na mojej pierwotnej liście, a którą jednak pomiąłem.

Nachylił się do Fryderyki.

- Niech pani będzie spokojna, madame. Mąż pani nie był mordercą. To osoba oznaczona literą K. zabiła pannę Madzię.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ale kogo ma pan na myśli?

Poirot skinął na Jappa. Ten wystąpił naprzód i zaczął mówić tonem, jakim zwykł zeznawać w sądzie.

- Działając na podstawie otrzymanych informacji, zająłem dziś wczesnym wieczorem stanowisko w tym domu. Wprowadził mnie tu po kryjomu pan Poirot. Ukryłem się za firanką w salonie. Podczas gdy wszyscy byli już zgromadzeni w tym pokoju, jakaś młoda kobieta weszła do salonu i zapaliła światło. Podeszła do kominka, nacisnęła sprężynę i otworzyła tajny schowek, który znajdował się w boazerii w ścianie. Wyjęła stamtąd pistolet i z pistoletem w ręku opuściła pokój. Poszedłem za nią, uchyliłem drzwi i przez szparę obserwowałem jej dalsze ruchy. W holu znajdowały się płaszcze osób tu zebranych. Młoda kobieta wytarła starannie rewolwer chusteczką do nosa, po czym włożyła go do kieszeni jednego z płaszczy. Płaszcz ten stanowi własność pani Rice... Nick wydała z siebie przeraźliwy okrzyk.

- To kłamstwo! To wierutne kłamstwo! Poirot wskazał na nią palcem.

- Voila - powiedział. - Oto osoba oznaczona literą K. To mademoiselle Nick zastrzeliła swoją kuzynkę, Madzię Buckley.

- Czy pan zwariował? - krzyknęła Nick. - Dlaczego ja miałabym zabić Madzię?

- Ażeby odziedziczyć pieniądze, jakie pozostawił jej w spadku Michael Seton.

Nazywała się także Magdala Buckley i to ona była zaręczona z Michałem Setonem, a nie pani.

- Jest pan... jest pan! - Nick drżała na całym ciele i nie mogła wydobyć z zaciśniętej krtani ani słowa.

Poirot zwrócił się do Jappa:

- Czy zawiadomił pan policję?

- Tak jest. Są już w hallu. Mają nakaz aresztowania.

- Wszyscy powariowaliście! - krzyczała Nick. Przysunęła się do Fryderyki. - Freddie, daj mi swój zegarek, proszę cię! Daj mi go na pamiątkę.

Powoli Fryderyka odpięła klamerkę złotego, wysadzanego drogimi kamieniami zegarka i wręczyła go przyjaciółce.

- Dziękuję. A teraz, mam nadzieję, skończymy wreszcie z tą głupią komedią!

- Owszem, skończymy. Komedię tę sama pani zaplanowała i wyreżyserowała. Ale, widzi pani, nie trzeba było dawać głównej roli Herkulesowi Poirot. To, mademoiselle, było pani wielkim błędem!

XXII. KONIEC OPOWIADANIA

- Czy chcecie, żebym wam wszystko wytłumaczył?

Poirot spojrział dokoła z zadowolonym uśmiechem i z wyrazem sztucznej skromności, który znałem aż nazbyt dobrze.

Siedzieliśmy teraz w salonie. Służba wycofała się taktownie, a państwo Croft zostali zabrani przez policję. Pozostała tylko Fryderyka, Lazarus, Challenger, Vyse i ja.

- Eh bien, przyznaję się, że byłem na mylnym tropie. Zupełnie mylnym. Ta mała Nick nabrała mnie na całego. O, madame, gdy powiedziała mi pani, że przyjaciółka pani jest chytrym kłamczuchem, miała pani całkowitą rację.

- Nick zawsze kłamała - powiedziała Fryderyka Rice ze spokojem. - Dlatego też nie chciałam uwierzyć w te jej cudowne ocalenia od śmierci.

- A ja... idiota... uwierzyłem.

- Ale czy to rzeczywiście były same kłamstwa? - spytałem. Przyznaję, że byłem zupełnie zaskoczony.

- Były oczywiście zmyślane, ale w sposób bardzo wiarygodny.

- Co takiego?

- Spełniały swoją rolę. Wszyscy mieliśmy wrażenie, że życiu panny Nick grozi rzeczywiście wielkie niebezpieczeństwo. Ale zacznę od samego początku. Opowiem wam wszystko po kolei, tak jak fakty następowały po sobie, a nie w porządku, w jakim odkrywałem poszczególne części tej łamigłówki.

Na początku mamy do czynienia z panną Nick Buckley, młodą, piękną, lekkomyślną dziewczyną, fanatycznie przywiązaną do swojego domu rodzinnego.

Charles Vyse skinął głową.

- Mówiłem panu.

- I miał pan rację. Mademoiselle Nick kochała Samotny Dom. Ale nie miała pieniędzy. Na domu ciążyła duża hipoteka. Musiała mieć pieniądze za wszelką cenę, a nie wiedziała, jak je zdobyć. Poznała młodego Setona w Le Touquet. Seton okazuje jej sympatię. Nick wie, że jest on prawdopodobnie spadkobiercą swojego słynnego stryja i że stryj ten jest milionerem. Dobrze więc, gwiazda jej sprzyja, tak przynajmniej sobie wyobraża. Ale uczucia Setona nie są poważne. Uważa ją za miłą dziewczynę, dobrego kompana. Spotykają się w Scarborough. Seton zaprasza ją do swojego samolotu, ale potem następuje katastrofa: Seton poznaje Madzię i... zakochuje się od pierwszego wejrzenia. Mademoiselle Nick jest zupełnie złamana. Ta kuzynka Madzia, której nigdy nawet nie uważała za ładną! Ale dla Setona Madzia jest "inna". Z tysięcy wybrana. W tajemnicy przed światem zaręczają się. Wie o tym tylko jedna osoba. Osobą tą jest mademoiselle Nick. Biedna Madzia jest szczęśliwa, że może mówić o tym przynajmniej z jedną osobą. Najprawdopodobniej czyta swojej kuzynce listy narzeczonego. W ten sposób Nick dowiaduje się o testamencie Setona. Z początku nie zwraca na to uwagi, ale cały czas o tym pamięta. Następuje nagła i niespodziewana śmierć sir Matthew Setona. A zaraz potem rozchodzi się pogłoska, że Michael Seton zaginął w locie dokoła świata. I natychmiast w głowie Nick powstaje szaleńczy plan. Seton nie wiedział o tym, że i ona ma na imię Magdala. Zna ją jedynie jako Nick. Testament jego jest rzeczywiście bardzo niedbale napisany. Wspomina tylko imię i nazwisko swojej spadkobierczyni. W oczach świata Seton jest przyjacielem Nick. Z nią właśnie łączono jego osobę, przynajmniej w pewnych kołach towarzyskich. Jeżeli Nick stwierdzi, że była z nim potajemnie zaręczona, nikt nie będzie wątpił o prawdziwości jej słów. Ale by móc to urzeczywistnić, trzeba usunąć z drogi Madzie. Czasu jest mało. Zaprasza Madzię na kilkudniowy pobyt w Samotnym Domu. Następnie urządza te "wypadki". Przecina sznur, na którym wisi obraz. Głaz prawdopodobnie sam się urwał, a Nick tylko wymyśliła sobie, że znajdowała się tuż pod nim. A potem... potem widzi moje nazwisko w gazecie (mówiłem ci, Hastings, że każdy zna Herkulesa Poirot) i śmie czynić ze mnie swojego współnika. Kula przeszywa kapelusz tuż pod moim nosem. Kapelusz znajduje się u moich stóp. O, to naprawdę dobrze zaaranżowana komedyjka! I ja daję się nabrać! Wierzę w grożące jej niebezpieczeństwo. Bon! Ma po swojej stronie bardzo cennego świadka. A ja na dodatek pomagam jej, proponując, by natychmiast sprowadziła jakąś przyjaciółkę. Zgadza się i zaraz wysyła telegram do panny Madzi, prosząc, by przybyła o dzień wcześniej. Jak łatwo wszystko idzie! Zostawia nas przy stole i usłyszawszy przez radio, że Seton rzeczywiście zginął, wprowadza swój plan w czyn. Ma dość czasu, by zabrać z pokoju Madzi listy Setona, by wybrać z nich te, które odpowiadają jej zamiarowi. Chowa je w swoim pokoju. Później wraz z Madzią

opuszczają pokaz fajerwerków i wchodzą do domu. Każę kuzynce włożyć swój szal. Następnie skrada się za nią i strzela do niej. Szybko wraca do domu, wkłada pistolet do skrytki w boazerii (o której istnieniu w jej mniemaniu nikt nie wie). Pędzi na górę. Tam czeka, aż usłyszy głosy z ogrodu. Wie już, że zwłoki zostały odkryte. Pędzi na dół i wychodzi przez okno francuskie do ogrodu. O, jakże świetnie zagrała teraz swoją rolę! O tak, wspaniała, tragiczną rolę. Ellen powiedziała nam kiedyś, że jest to niedobry dom. Skłonny jestem zgodzić się z nią. Dom ten natchnął mademoiselle Nick do zbrodni.

- Ale te zatrute czekoladki! - przerwała Fryderyka. - Wciąż nie rozumiem, skąd się wzięły.

- To była część tego samego planu. Zamach na życie Nick już po zabójstwie Madzi potwierdził moje założenie, że śmierć jej była pomyłką ze strony zbrodniarza. Gdy Nick doszła do wniosku, że sytuacja dojrzała, zadzwoniła do pani Rice i poprosiła ją, by kupiła jej bombonierkę.

- A więc to był jej głos?

- Ależ oczywiście! Jakże często najprostsze wytłumaczenie jest właśnie prawdziwe. N'est pas? Zmieniła swój głos troszeczkę - to wszystko. W razie przesłuchania, pani nie byłaby zupełnie pewna, czy to ona, czy nie ona. A gdy bombonierka nadeszła, wszystko znowu było bardzo proste. Nadziewa trzy czekoladki kokainą (miała przy sobie ukrytą kokainę), zjada jedną z nich i oczywiście natychmiast choruje, ale nie za bardzo. Wie doskonale, ile wziąć kokainy i które objawy przesadzić.

A wizytówka! Moja wizytówka! Ach! Sapristi!... To bezczelność! To była naprawdę moja wizytówka. Ta sama, którą posłałem jej wraz z kwiatami. To proste, prawda? No, ale też trzeba było o tym pomyśleć...

Zapadło milczenie. Po chwili Fryderyka spytała:

- Ale dlaczego włożyła pistolet do kieszeni mojego płaszcza?

- Wiedziałem, że pani o to spyta, madame. Niech mi pani powie szczerze: czy nie przyszło pani nigdy na myśl, że mademoiselle Nick pani nie lubi? Czy nie czuła pani nigdy, że właściwie ona pani... nienawidzi.

- Trudno powiedzieć - zamyśliła się Fryderyka. - Nie jesteśmy ze sobą zbyt szczerze. Kiedyś bardzo mnie lubiła.

- Niech pan powie, panie Lazarus (nie pora teraz na fałszywą skromność), czy było coś kiedyś pomiędzy panem a nią?

- Nie - Lazarus potrząsnął głową. - Przez pewien czas podobała mi się nawet. Ale bardzo szybko... sam nie wiem dlaczego... przeszło mi to.

- O tak - Poirot pokiwał głową. - To była jej tragedia. Na pierwszy rzut oka podobała się mężczyznom... a potem... przechodziło im to. Zamiast lubić ją coraz bardziej, pan zakochał się w jej przyjaciółce. Znienawidziła panią, gdyż pani miała teraz bogatego przyjaciela. Ubiegłej zimy, kiedy sporządzała testament, nawet bardzo panią lubiła. Ale to się radykalnie zmieniło. Przypomniała sobie o testamencie. Nie wiedziała jeszcze, że Croft go schował, że dokument ten nigdy nie został wysłany do adwokata. Pani (tak przynajmniej rozumiano by to) miała więc powód, aby pragnąć śmierci Nick. Dlatego też zadzwoniła do pani z prośbą o zakupienie czekoladek. Dzisiaj odczytano by właśnie tamten testament, który czyni z madame głównego spadkobiercę... Następnie w jej płaszczu znalazłby się pistolet... Pistolet, którym zabito Madzię Buckley. Jeżeliby madame sama go znalazła, zapewne starałaby się go ukryć, a tym samym rzuciłaby na siebie jeszcze większe podejrzenie.

- Musiała mnie strasznie nienawidzić - szepnęła Fryderyka.

- O tak, gdyż miała pani to, czego jej najbardziej brakowało: umiała pani wzbudzać uczucia ludzkie i nie tracić ich.

- Może jestem nieco oszołomiony - odezwał się Challenger - ale niezupełnie zrozumiałem tę historię z testamentem.

- A bo to zupełnie inna historia i całkiem prosta. Croftowie siedzą sobie tutaj. Nagle okazuje się, że panna Nick ma mieć operację. Nie sporządziła jeszcze testamentu. Croftowie widzą przed sobą szansę małego zarobku. Przekonują ją o konieczności spisania testamentu i ofiarowują się zanieść go na pocztę. Jeżeliby coś się z nią stało... gdyby umarła... zaprezentowałiby sfałszowany testament. Pani Croft jest główną spadkobierczynią dzięki usługom, jakie rzekomo niegdyś,

przed laty, oddała ojcu panny Nick w Australii. Wiedzieli bowiem, że stary Buckley mieszkał tam przez pewien czas.

Ale panna Nick doskonale przeszła operację usunięcia ślepej kiszki i sfałszowany testament na nic się nie zdaje. Oczywiście chwilowo. Następnie rozpoczynają się zamachy na jej życie. Croftowie znów nabierają nadziei. Wreszcie zawiadamiam wszystkich o śmierci Nick. Nie mogą się powstrzymać, żeby nie wykorzystać tak niebywałej okazji. Natychmiast wrzucają do skrzynki pocztowej sfałszowany testament i adresują go do pana Vyse. Oczywiście, byli przekonani, że jest znacznie bogatsza, niż była w rzeczywistości. Nie mieli pojęcia o hipotece.

- Bardzo chciałbym wiedzieć - przerwał Lazarus - jak pan właściwie doszedł do tego wszystkiego. Kiedy zaczął pan podejrzewać właściwe osoby?

- Aa, tutaj wstydzę się bardzo. To trwało długo... bardzo długo. Byłem zdziwiony różnymi wydarzeniami, to prawda. Były rozbieżności pomiędzy tym, co mówiła mi panna Nick, a tym, co mówili inni ludzie. Niestety, wierzyłem zawsze pannie Nick. Aż wreszcie naszło mnie prawdziwe objawienie. Mademoiselle Nick popełniła błąd. Chciała być za mądra. Kiedy poprosiłem, żeby sprowadziła jakąś przyjaciółkę, zgodziła się, ale ukryła fakt, że już poprzednio zaprosiła pannę Madzie do siebie. Wydawało jej się, że tak będzie mniej podejrzane... ale to był właśnie błąd. Albowiem natychmiast po przyjeździe do Samotnego Domu Madzia Buckley wysłała do rodziców list, w którym napisała jedno niewinne zdanie, które dało mi wiele do myślenia. Zdanie to brzmiało: "Zupełnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego wezwwała mnie telegraficznie. Gdybym przyjechała we wtorek, też by się nic nie stało". Dlaczego wtorek? To mogło oznaczać tylko jedną rzecz.

Mianowicie, że we wtorek Madzia przyjechałaby tak czy owak do Samotnego Domu. W tym jednak wypadku mademoiselle Nick wyraźnie skłamała... a w każdym razie ukryła przede mną prawdę. Po raz pierwszy spojrzałem na nią innym wzrokiem. Zacząłem analizować jej zeznania. Zamiast wierzyć im bez zastrzeżeń, zacząłem powątpiewać w każde z nich. Przypominałem sobie wszystkie nielogiczności. I powiedziałem sobie: "A załóżmy, że to ona kłamie, a nie tamci!" I doszedłem do wniosku, że zabójstwo Madzi Buckley nie było przypadkiem. Ale kto mógłby pragnąć jej śmierci? Wtedy wpadło mi coś do głowy - przypomniałem sobie kilka głupich uwag, jakie Hastings wypowiedział parę minut przedtem. Powiedział mianowicie, że wiele jest zdrobnień imiona Magdalena... Magda, Magdusia, Madzia itd. I przyszło mi na myśl, żeby zainteresować się, jakie było prawdziwe imię Madzi Buckley! Wtedy nagle wszystko stało się jasne. Tout d'un coup³⁵! Załóżmy, pomyślałem, że ma na imię Magdała? Jest to imię typowe dla rodziny Buckleyów. Tak powiedziała mi sama panna Nick. Dwie Magdale Buckley... Raz jeszcze przebiegłem myślą treść listów Michaela Setona. Tak, to było zupełnie możliwe. Wspominał tam Scarborough... Madzia też była w Scarborough, i to razem z Nick. Jej matka mi o tym wspominała. To wyjaśniło sprawę, która mnie bardzo dręczyła. Dlaczego listów tych był tak mało? Jeżeli dziewczyna już przechowuje listy miłosne, to przechowuje wszystkie. Dlaczego wybrała tylko kilka? Czy było w nich coś szczególnego? I przypomniałem sobie, że w żadnym nie było imienia. Każdy zaczynał się inaczej, ale nigdy imieniem adresatki. W ani jednym nie było imienia "Nick". I było jeszcze coś. Coś, co powinienem był zauważyć od razu, a co wprost narzucało prawdę.

- Co takiego?

- Panna Nick poddała się operacji ślepej kiszki dwudziestego siódmego lutego. Jest tam list z datą drugiego marca, w którym Seton nie mówi ani jednym słowem o swoim niepokoju i w ogóle nie wspomina nawet operacji. To powinno mi być od razu wskazać, że listy te pisane były do innej osoby. Następnie przejrzałem sobie raz jeszcze listę pytań, którą w swoim czasie sporządziłem. I odpowiedziałem sobie na te pytania w świetle moich nowych odkryć. We wszystkich niemal wypadkach odpowiedź była prosta i przekonywająca. I wyjaśniłem sobie jeszcze jedno zagadnienie, które mnie dręczyło: dlaczego panna Nick kupiła sobie czarną suknię? Odpowiedź na to brzmi, że ona i jej kuzynka musiały być jednakowo ubrane, ze szkarłatnym szalem jako dodatkowym elementem. Żadna dziewczyna nie ubrałaby się w żałobę, póki nie miałyby zupełnie pewności, że jej ukochany nie żyje. To byłoby nieprawdziwe... nienaturalne. I tak ja z kolei wyreżyserowałem mój dramacik. To, o czym marzyłem, rzeczywiście się zdarzyło. To, na co liczyłem, rzeczywiście się zmaterializowało. Nick Buckley jak najbardziej

stanowczo zaprzeczała istnieniu jakiegoś tajnego schowka. A jednak, jeżeli rzecz taka istniała - a nie widziałem powodu, dlaczego Ellen miałyby kłamać - to Nick musiała o tym wiedzieć. Dlaczego zaprzeczała tak gwałtownie? Czyżby tam właśnie schowała pistolet? Po to właśnie, żeby w odpowiedniej chwili go wyjąć i za jego pomocą rzucić podejrzenie o zbrodnię na kogo innego? Dałem jej do zrozumienia, że poszlaki w stosunku do madame są bardzo poważne. To było oczywiście bardzo po jej myśli. Jak przewidziałem, nie potrafiła sobie odmówić postawienia kropki nad i. Zresztą dla niej samej było to bezpieczniejsze. Ostatecznie Ellen mogłaby w końcu znaleźć schowek, a w nim pistolet. Gdy byliśmy wszyscy zgromadzeni w jadalni, pomyślała sobie, że moment jest odpowiedni na to, by wyjąć pistolet z ukrycia i włożyć go do kieszeni płaszczka przyjaciółki... I tak przegrała. Fryderyka wzdygnęła się.

- Ale mimo wszystko - powiedziała - cieszę się, że dałam jej zegarek.

- O tak.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Poirota.

- I o tym też pan wie?

- A Ellen? - przerwałem. - Czy ona coś podejrzewała, czy wiedziała?

- Nie. Pytałem ją o to. Powiedziała mi, że zdecydowała pozostać owej nocy w domu, gdyż, jak się wyraziła, wiedziała, "że coś się dzieje". Prawdopodobnie Nick zbyt gwałtownie namawiała ją, żeby sobie obejrzała fajerwerki. Wiedziała, że Nick nie znosi madame. Dodała jeszcze, iż "czuła w kościach, że stanie się coś złego". Ale wyobrażała sobie, że stanie się coś złego raczej z madame. Znała temperament mademoiselle, która według niej była bardzo dziwnym dzieckiem.

- O tak! - szepnęła Fryderyka. - Myślmy właśnie o niej w ten sposób, jak o dziwnej małej dziewczynce, która nie potrafiła dać sobie rady z samą sobą. Przynajmniej ja będę zawsze tak o niej myślała.

Poirot uniósł jej dłoń i przycisnął do ust.

Charles Vyse poruszył się niespokojnie na krześle.

- To będzie bardzo nieprzyjemna historia - powiedział. - Muszę się rozejrzeć za obrońcą dla niej.

- To zbyt ciche - powiedział Poirot cicho. - A mam wrażenie, że się nie mylę. - Zwrócił się nagle do Challengeera. - To tam ukrywacie proszek? W zegarkach, prawda?

- Ja... ja... - zająknął się marynarz.

- Mnie pan nie oszukał swoją powierzchownością i swoimi manierami. To Hastings dał się nabrać, ale ja nie. Zarabiacie sobie nieźle na handlu narkotykami, co? Pan i pański stryjasek z Harley Street?

- Panie Poirot! - Challengeer wstał z krzesła. Mój przyjaciel patrzył na niego bez zmrużenia powiek.

- To pan jest owym uczynnym "przyjacielem". Niech pan przeczy, jeżeli pan chce. Ale radzę panu opuścić ten dom natychmiast, jeżeli nie chce się pan dostać w ręce policji.

I ku mojemu wielkiemu zdumieniu Challengeer wyszedł, a raczej wypadł jak szalony z pokoju. Patrzyłem za nim z otwartymi ustami. Poirot roześmiał się.

- Mówiłem ci, mon ami. Twój instynkt zawsze ci źle dyktuje. C'est epatant36!

- A więc w zegarku znajdowała się kokaina... - zacząłem.

- Tak, tak. Dlatego też, gdy panna Nick potrzebowała w klinice kokainy, miała ją dosłownie pod ręką. A wobec tego, że zużyła wtedy swoje zapasy, poprosiła teraz madame o zegarek, który był pełny.

- Czy to znaczy, że Nick nie może się obejść bez kokainy?

- Non, non! Panna Nick nie jest narkomanką. Zażywała kokainę bardzo rzadko, raczej dla zabawy. Ale dzisiaj kokaina potrzebna jej jest dla innych celów. Tym razem na pewno zażyje pełną dawkę.

- Masz na myśli?...

- To najlepsze wyjście z sytuacji. To zawsze lepsze niż stryzynek. Ale cicho. Nie powinniśmy tak mówić w obecności pana Vyse, który jest apostołem praworządności i porządku. Oficjalnie nie wiem o niczym. Mogę tylko zgadywać, co znajduje się pod kopertą tego zegarka.

- Pańskie przypuszczenia zawsze się sprawdzają, panie Poirot - powiedziała Fryderyka.

- Muszę już iść. - Charles Vyse podniósł się z krzesła i z mina pełną chłodnego oburzenia na postępowanie Poirota opuścił pokój.

Poirot popatrzył na Fryderykę, potem na Lazarusa.

- A państwo się chyba teraz pobierzecie, co?

- O tak, jak najprędzej.

- A jeżeli chodzi o mnie, panie Poirot - uśmiechnęła się Fryderyka - nie jestem taką straszną narkomanką, za jaką mnie pan uważa. Biorę już tylko minimalne dawki. Jestem pewna, że teraz... kiedy wiem, że wszystko mi się tak szczęśliwie układa, nie będę już nigdy zależna od zegarka na ręku.

- Życzę pani wiele szczęścia, madame - powiedział Poirot ciepło. - Wycierpiała się pani dosyć. I mimo to ma pani w sercu litość i dobroć...

- Zaopiekuję się nią - powiedział Lazarus. - Finansowo jestem w tej chwili w impasie, ale mam wrażenie, że uda mi się jakoś z tego wybrnąć. A jeżeli nie? Cóż, Fryderyka nie boi się biedy... ze mną.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Jest późno. - Poirot spojrział na zegarek. Wstaliśmy wszyscy.

- Spędziliśmy dziwną noc w tym dziwnym domu - ciągnął Poirot. - Zgadza się z Ellen. Jest tu coś niedobrego. - Spojrział na portret starego Nicholasa Buckleya. I nagle odciągnął na bok Lazarusa. - Przepraszam pana bardzo, ale pozostało mi tylko jedno pytanie bez odpowiedzi: dlaczego ofiarował pan pięćdziesiąt funtów za ten obraz? Będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli mi pan odpowie. Po to, rozumie pan, żeby nie było nie dopowiedzianych rzeczy.

Lazarus patrzył przez dłuższą chwilę na Poirota z nieporuszoną twarzą. Potem uśmiechnął się.

- Widzi pan, jestem antykwariuszem - powiedział.

- Właśnie.

- Obraz ten nie wart jest więcej niż dwadzieścia funtów. Wiedziałem, że jeżeli ofiaruję Nick pięćdziesiąt, ona natychmiast wezwie ekspertów, każe go ocenić i dowie się oczywiście, jaka jest jego prawdziwa wartość. Gdy następnym razem zaproponuję jej kupno obrazu, nie będzie już wzywała ekspertów. Rozumie pan?

- Dobrze, i co dalej? - spytał Poirot.

- Obraz wiszący na przeciwległej ścianie wart jest co najmniej pięć tysięcy funtów - powiedział Lazarus krótko.

- Aa! - Poirot odetchnął głęboko. - Teraz wiem już wszystko - powiedział rozpromieniony.

1 Uspokój się (franc.).

2 Uczucie (franc.).

3 Jeszcze nie. To mnie bawi (franc.).

4 Młodość (franc.).

5 Zły przypadek, pech (franc.).

6 Niezręcznie (franc.).

7 To zupełnie proste (franc.).

8 To ładnie (franc.).

9 Bezustannie siebie o to pytam. Co to jest? (franc.).

10 Kokietka (franc.).

11 Niezręczny (franc.).

12 To złośliwość (franc.).

13 Oto czego nam trzeba (franc.).

14 Biedne dziecko (franc.).

15 Napar z ziół (franc.).

16 Zapalenie płuc (franc.).

17 Ogień sztuczne (franc.).

18 Ale co ci jest? (franc.).

19 Dla innych (franc.).

20 Co za pomysł (franc.).

21 To nierozsądne (franc.).

22 To jest o wiele trudniejsze (franc.).

23 Bóg chce tego, czego chce kobieta (franc.).

24 Słuchaj (franc.).

25 Dość tego! (franc.).

26 To niezwykle (franc.).

- 27 Ten poczciwy pan Croft jest zawsze w porządku (franc.).
- 28 Ta mała (franc.).
- 29 Wiem to dobrze (franc.)
- 30 To niepotrzebne (franc.).
- 31 Taka młoda dziewczyna (franc.).
- 32 To niesłychane! (franc.).
- 33 Zupełnie dobrze (franc.).
- 34 To nie jest ładne (franc.).
- 35 Nagle (franc.).
- 36 To świetne (franc.).